

Gert Godeng
TOM 8.
LILIE Z JERUZALEM

Przełożyła Elżbieta Frączak*Nowotny
Autor: Gert Nygardshaug (Gert Godeng)
Tytuł oryginału: Liljerfra Jerusalem

Elipsa Sp.zo.o.

1

Chłopiec czeka na dzień, w którym na niebie
pokażą się cztery słońca, nieznajomy bez twarzy prosi go o pomoc i noc staje się ciemna

To był jeden z tych dni, gdy na niebie mogły pokazać się cztery słońca. Ahrad nie wiedział dokładnie, kiedy to ma się stać; dziadek mówił mu niegdyś, że zwykle zdarza się to trzy, cztery dni po pierwszym naprawdę gorącym dniu wiosny. Więc gdy pewnego dnia upał sprawił, że powierzchnia wody stała się gładka jak lustro, następnego ranka, kiedy jego dwie młodsze siostry poszły na targ, chłopiec udał się na brzeg; stanął nad wodą i skierował wzrok w stronę żółto*brunatnych gór na południowym zachodzie; nie było jeszcze ósmej i górskie wąwozy i jary skąpane były w jasnofioletowej słonecznej poświacie; przypatrywał się bacznie wysokim szczytom i schodzącym do morza zboczom; przechodziły łagodnie w białe wybrzeże nasycone solą w miejscach, gdzie słońce nie miało dostępu. W swoim czternastoletnim życiu Ahrad dwukrotnie miał okazję widzieć poczwórne słońce, przedziwny fenomen, który zdarzał się bodajże tylko raz w roku i był darem Allaha dla tych, którzy byli tego świadkami: mogli bowiem spodziewać się dobrego, szczodrego roku. Niewielu jednak wiedziało, gdzie go wypatrywać, a cztery tańczące na niebie słońca można było zobaczyć tylko z jednego miejsca na brzegu; dokładnie tam stał teraz Ahrad. Dziadek pokazywał mu kiedyś, gdzie ma kierować wzrok: w stronę gładkiej powierzchni wody tuż pod Bliźniaczą Skałą na południowym zachodzie; właśnie tam mogły się nagle pojawić cztery słońca, które, odbijając się w spokojnej tafli wody, sprawiały wrażenie, jakby tańczyły wokół siebie. Zjawisko to można było obserwować przez kilka minut; poprzedzało wschód prawdziwego słońca; gdy wyłoniło się ono zza górskich szczytów na północnym wschodzie, cztery słońca znikaly aż do następnego roku. Bez wątplenia był to dobry znak. Ahrad pamiętał, że kiedy miał osiem lat, zobaczył razem z dziadkiem tańczące na niebie słońca, i tego właśnie roku jego obie kozy wydały na świat po trzy koźlęta każda. Kolejny raz, kiedy zobaczył tańczące słońca, miał dwanaście lat; był wtedy sam, obsługiwał pompę przy solankach; dziadek nie żył już wówczas od roku. I co się wydarzyło? Ceny soli na rynku niemal się podwoiły; obie jego siostry mogły kupić sobie materiał na nowe sukienki, a on sam * sandały z najprzedniejszej wielbłądziej skóry. Teraz znów wypatrywał; może pokażą mu się dzisiaj, może jutro? Stał dziesięć minut, przyglądając się gładkiej tafli wody bez jednej zmarszczki; żadnego ruchu, tylko suche, przyjemne ciepło poranka, ale słońca nie pokazały się na niebie, nie zatańczyły na wodzie pod Bliźniaczą Skałą.

Dolał ropy, naoliwił starą pompę i puścił ją w ruch; tu, w niewielkiej szopie na brzegu, miał swoją pracę, podobnie jak wcześniej jego ojciec i dziadek; pracę, która przynosiła mu dokładnie tyle, że starczało na utrzymanie niewielkiej rodziny: jego i dwóch siostr, jednej dziesięcio*, drugiej dwunastoletniej. Kiedy umarł dziadek, z Mahaki, niewielkiej wioski na południu, przybyli wujowie i ciotki, by zabrać ich do siebie, posłać do szkoły i wychować we

właściwej wierze, ale Ahrad się nie zgodził; a ponieważ był równie uparty jak jego stary osiołek, pozostawiono rodzeństwo w spokoju; musiał tylko obiecać, że co piątek cała trójka będzie chodzić do meczetu w pobliskim miasteczku, trzy kilometry plażą wzdłuż brzegu, tam, gdzie był ten duży hotel turystyczny. Ahrad wiedział, że jest w stanie utrzymać siostry i siebie, bo doskonale poznał tajniki starej pompy, a poza tym czyż nie odłożył wystarczająco dużo pieniędzy, żeby wkrótce móc kupić nową? tak było i był z tego dumny; zadowolony myślał o pieniądzach, które przechowywał w pudełku owiniętym w starą derkę. Kiedy uruchamiał pompę, po tym, jak wcześniej bezskutecznie wypatrywał na niebie tańczących słońc, pomyślał, że być może już w przyszłym tygodniu powinien się udać do tahala w wiosce i zamówić nową; kiedy będzie miał dwie pompy, zarobi dwa razy tyle, oczywiście jeśli ceny soli nie spadną. Ahrad pokiwał głową i uśmiechnął się sam do siebie; wsłuchiwał się w jednostajne pomrukiwanie pompy, która już zaczęła pracę: zasysała słoną wodę z morza i filtrowała ją, tak że do stojącego pod nią wiadra wpadała sól; była znacznie lepsza niż ta wyprodukowana w fabryce, słyszał to od wielu ludzi, którzy znali się na rzeczy; stał więc tak, wsłuchując się w pracę silnika i lekko astmatyczny pomruk wentyli, które * odkąd pamiętał * zawsze tak brzmiały; po chwili wyszedł z szopy na brzeg, pompa radziła sobie sama, a on musiał jeszcze nakarmić osła i cztery kozy; zerknął na dom, w którym mieszkali, mały domek z bielonymi ścianami w cieniu daktylowej palmy, obok niewielka szopa, w której osioł i kozy mogły schować się przed prażącym słońcem; domek i dwie szopy, ta na górze i ta tutaj, na brzegu, były jedynymi zabudowaniami w okolicy. Ahrad ruszył w stronę osła, gdy nagle się zatrzymał.

Usłyszał jakiś dźwięk.

Nie pompy.

Jakiś warkot.

Ale na niebie nie widać było żadnego samolotu.

Warkot przybierał na sile.

Chłopiec odwrócił się i spojrzał na północ.

Potem skierował wzrok w stronę wioski i wtedy zobaczył nadjeżdżający samochód, jeepa, jadącego przy samym brzegu, gdzie piasek był najtwardszy; Ahrad wiedział jednak, że samochód nie dojedzie dalej niż do wapiennych skał jakieś dwieście metrów od domu, tam będzie musiał się zatrzymać * i tak też się stało. Ahrad zdziwił się : samochód? tutaj samochody pojawiały się raz na parę lat, jak ci ludzie się nazywali? archeologowie? ci, którzy byli tu zeszłej jesieni; szukali czegoś tam, wśród skał, ale zostali usunięci przez policję, która zabroniła wszelkich dalszych poszukiwań. Policjanci z miasteczka poprosili jego, Ahrada, żeby natychmiast dać znać, jeśli zobaczy, że jacyś Europejczycy czegoś tu szukają; czego? Ahrad nie miał pojęcia, ale policjanci pokazali mu zagrodzony teren w skalnym wąwozie, gdzie nikomu, pod żadnym pozorem, nie wolno było wchodzić; jeśli zobaczy, że ktoś zbliża się do tego miejsca, ma natychmiast dać znać, tak powiedział mu izraelski policjant, a wszystko, co izraelscy policjanci mówili, było ważne i należało się temu bezwzględnie podporządkować, tego Ahrad nauczył się jeszcze w dzieciństwie. Czyżby archeologowie wrócili? Chłopiec przysłonił oczy dłonią, wpatrując się w samochód, który zatrzymał się przy skałach; silnik został wyłączony, a z jeepa wyszedł ktoś i wolnym krokiem ruszył w stronę domu, w którym mieszkał Ahrad. Chłopiec stanął w cieniu, sięgnął po leżącą pod ścianą glinianą misę, wsypał do niej kdsalim, karmę dla osła, potem dał kozom hakhlati; chciał, żeby obcy widział, że jest bardzo zajęty; zmarszczył nos, przechodząc obok wiadra ze sfermentowanymi daktylami, o których jego siostry najwyraźniej zapomniały; cały czas zerkał w bok, widział, że nieznajomy się zbliża, minął już szopę na brzegu i szedł teraz ścieżką w stronę domu; chłopiec czuł, że serce bije mu mocno w piersi, czyżby się bał? Ahrad nie był bojaźliwy, nie pamiętał, kiedy ostatnio się bał; pewnie wtedy, sześć lat temu, kiedy jego ojciec spadł z Góry Proroka, na którą się wdrapał w poszukiwaniu zaginionej kozy, i

zabił się; wtedy po raz ostatni Ahrad się bał, potem już nigdy; przecież był odpowiedzialny za swoje dwie młodsze siostry, które kochał nad życie; tak więc nie bał się i teraz, widząc, jak nieznajomy szybkim krokiem mija dom i kieruje się prosto w jego stronę; nie bał się, ale jednak nie miał odwagi przyjrzeć mu się dokładniej, bo nauczył się spuszczać wzrok, gdy w pobliżu byli obcy, nie przyglądać się zbyt nachalnie; czy to jakiś turysta? Europejczyk? a może przedstawiciel jakiejś organizacji? Palestyńczyk? Izraelczyk?

* Ty tu mieszkasz? * spytał mężczyzna. Jego głos nie był ani szczególnie wysoki, ani też szczególnie niski, może jedynie nieco schrypnięty. Mówił w miejscowym języku, kalecząc go.

Chłopiec się odwrócił.

Mężczyzna miał na sobie jasnobrązowe khalabe, wokół głowy zamotał haktiaran, twarz była niemal całkowicie zakryta, przez wąską szczelinę widać było jedynie oczy; ręce trzymał pod szatą, na tyle obfita, że mógł tam ukryć niemal wszystko: co chowasz pod swoim khalabe? pomyślał Ahrad i w tym momencie poczuł strach; uczucie, o istnieniu którego właściwie już zapomniał, teraz nieoczekiwanie się pojawiło, dlaczego? dlaczego ma się bać nieznajomego? Uświadomił sobie, że unika jego wzroku; nie śmiał spojrzeć w oczy człowiekowi, którego twarz była całkowicie zakryta, więc patrzył w ziemię, na maleńkie mrówki wędrujące między kamieniami.

* Spytałem: czy ty tu mieszkasz, nie potrafisz mówić?

* Mieszkam tu ja i moje dwie siostry.

* Gdzie one są?

* We wsi. Na targu.

Ahrad słyszał ciężki oddech zza chusty; było gorąco, nad wodą już unosiły się gęste opary, nie było śladu wiatru; jemu upał co prawda nie dokuczał, ale wiedział, że obcy, którzy przybywali nad wielką wodę pośrodku pustyni, ciężko go znosili, podobnie jak nieznajomy, który stał przed nim, manipulując czymś pod swoją khalabe.

* Chodź, pójdźmy do cienia. Chcę ci coś powiedzieć!

Mężczyzna odwrócił się i ruszył szybkim krokiem w stronę cysterny stojącej w cieniu pod daktylowcem. Uciekaj, Ahradzie, uciekaj! mówił mu jakiś wewnętrzny głos. Uciekaj jak najszybciej potrafisz; schowaj się, biegnij do wioski! Me Ahrad nie uciekł; nie posłuchał głosu, bo zbyt słabo znał strach i lęk i miał za mało doświadczenia, by właściwie odczytać sygnały, które docierały do niego od nieznajomego; dlatego podszedł spokojnie do cysterny i wziął mosiężną miskę, którą Kaila, jego najmłodsza siostra, właśnie zaczęła czyścić, umieścił ją między kolanami i sięgnął po oussah, używany zwykle do czyszczenia; tymczasem nieznajomy, nadal dysząc, usiadł obok na zniszczonej cedrowej ławce; nagle wyciągnął rękę i szybkim ruchem rzucił zwitek szekli na ziemię obok chłopca. Ahrad przestał pucować miskę, zerknął na zwinięte w rulon banknoty: dużo pieniędzy, pomyślał, bardzo dużo pieniędzy.

* Będą twoje, jeśli mi pomożesz.

* Jak miałbym pomóc?

* Pokaż mi jaskinie.

* Jaskinie?

* Nie udawaj głupka! Wiesz, o czym mówię. Jaskinie, które archeologowie odkryli tu ubiegłej jesieni!

Ahrad nie zdziwił się; oczywiście, że nieznajomy szuka jaskiń; domyślił się tego, jak tylko zobaczył samochód, Uciekaj, Ahradzie!, wołał głos w jego głowie, ale on nie ruszył się z miejsca, dalej siedział spokojnie. Oczy! spotkał wzrok mężczyzny i ciarki przeszły mu po krzyżu, coś się nie zgadza: takie oczy?! spokojnie odłożył miskę, podniósł zwitek szekli i podał go mężczyźnie.

* Nie * powiedział stanowczo. * Nie mogę. Policjanci mi zabronili, a ja muszę słuchać policjantów.

* Policja! * warknął mężczyzna zza chusty. * Nie przejmuj się policją. Nikt o niczym się nie dowie. Zaufaj mi!

* Jak mogę zaufać komuś, kogo nie znam?

* Kretyn! Jeśli nie przyjmiesz pieniędzy, głupio zrobisz!

* Najlepiej będzie, jeśli pan stąd odejdzie.

Ahrad poczuł się nagle silny, był przecież głową rodziny, co prawda był jeszcze chłopcem, ale dla swoich siostr był mężczyzną, na którym * jak długo będzie żył * zawsze będą mogły polegać; a raz dane słowo obowiązywało, nawet jeśli zostało dane izraelskiemu policjantowi; nie wiadomo, co mógłby zrobić, gdyby się dowiedział, że on je złamał; kara mogła być straszna; tak więc Ahrad czuł się silny, oddając nieznanemu zwitek; odwrócił się i ruszył w stronę szopy i pompy: musi sprawdzić zawartość wiadra, uzupełnić paliwo, poza tym musi też wyczyścić wąż, sól często osadza się na ściankach wewnątrz, może zatkać otwór, przynajmniej raz w tygodniu czyścił go kwasem, miał też w zapasie inne węże; odetchnął z ulgą, kiedy zobaczył, że mężczyzna nie ruszył się z ławki: oczy, coś było nie tak z jego oczami! Ahrad znalazł pojemnik z kwasem i podłączył wąż do kompresora, szybko się z tym upora, zerknął do wiaderka z solą: ojej! było niemal w połowie pełne, może uda mu się zebrać dzisiaj ponad dwa kilogramy; zabrał się do uzupełniania paliwa, zastanawiając się, co dalej? zerknął w stronę ławeczki, mężczyzna zniknął! zerknął w stronę samochodu stojącego przy skałach, ale nikogo nie zobaczył: co się z nim stało? pomyślał i znów poczuł strach, dziwne uczucie, właściwie całkowicie mu obce, i nagle * jakby przewidując, że coś się wydarzy * podszedł do stolika, który stał w szopie, i wziął zeszyt, w którym codziennie zapisywał, ile kilogramów soli udało mu się danego dnia pozyskać; wyrwał z niego kartkę i napisał na niej dużymi literami: „OCZY, MĘŻCZYŻNA, OBCY, MA DZIWNE OCZY. NIE ROZUMIEM. NIE CHCĘ IŚĆ DO GROTY”. Położył kartkę na pustym wiadrze obok drzwi i wyszedł z szopy; wzdrygnął się, bo nagle poczuł, że chwyta go jakaś ręka i rzuca o ścianę tak gwałtownie, że pękła jedna z na wpół spróchniałych desek.

* Pospiesz się, kretynie! * usłyszał i zobaczył wycelowany w niego pistolet, trzymany niewidzialną ręką ukrytą pod khalabe.

* Ja... muszę pilnować pompy * odezwał się Ahrad drżącym głosem.

* Masz mi pokazać, gdzie są groty, nie rozumiesz?!

Mężczyzna otworzył kopniakiem drzwi do szopy, a Ahrad zamknął oczy, przeczuwając, co zaraz się wydarzy: nieznajomy wyrwał z pompy silnik, który chwilę jeszcze warczał i kasłał, by po chwili ucichnąć, z węży zaczęła lecieć woda: odór ropy i oliwy zmieszał się z lekko słodkim zapachem soli, przewrócone wiadra turlały się po ziemi, zawartość się rozsypała.

* Chcesz, żebym to wszystko podpalił?

* Nie * wyszeptał Ahrad.

* Pokażesz mi drogę?

Ahrad dotknął obolałego ramienia i spokojnym krokiem zaczął iść ścieżką w stronę domu, mężczyzna szedł za nim. Biegnij, Ahradzie! mówił mu głos, ale już nie tak stanowczo jak wcześniej, bo właściwie nie miał już szansy na ucieczkę: mężczyzna zacząłby strzelać, podpaliłby szopę: co wtedy stanie się z jego siostrami? musi być rozsądny; zaczął się zastanawiać, ile czasu zajmie mu dotarcie do wąwozu i zagrodzonego, zamkniętego terenu; może kilka godzin, albo trochę dłużej, jeśli będzie szedł powoli; dużo dłużej, jeśli nadłoży drogi, ale co się stanie, kiedy w końcu tam dotrą? ucieknie, ukryje się w jakimś skalnym labiryncie wśród kamieni, wróci, przebije opony w samochodzie mężczyzny, pobiegnie do miasteczka, ostrzeże siostry i zawiadomi policję * tak właśnie robi: Spokojnie, Ahradzie, uspokajał sam siebie: poradzisz sobie, biegasz szybciej niż kozy i jesteś bardziej przebiegły niż najstarszy wielbłąd Ibrahima; podszedł do cysterny i stanął.

* Ruszaj, pokaż mi drogę! * usłyszał warknięcie.

* Jeśli dostanę pieniądze * powiedział Ahrad, udając, że jednak dał się przekupić.

- * Kiedy dotrzemy na miejsce, nie wcześniej. Ahrad zawahał się, spojrzął na cysternę.
- * Woda musi się zagotować, żeby była zdatna do picia * powiedział cicho.
- * O co ci chodzi? * doszedł go głos zza chusty.
- * Bez wody umrzemy. Tam jest dwa razy bardziej gorąco niż tutaj.
- * No dobrze, ale tym bardziej się pospiesz. Przygotuj tyle wody, żeby starczyło nam na cały dzień.

Ahrad przyniósł wiadro, nappełnił je, potem wszedł do domu, rozpałił ogień i powiesił nad nim kociołek z wodą, znalazł dwie menażki, które można było przypiąć do paska; w głowie cały czas kłębiły się różne myśli: zastanawiał się, jaką wybrać drogę, próbował przypomnieć sobie okolice, miejsca, w których mógłby uciec; strach już go opuścił, wiedział, że musi załatwić sprawę tak, żeby nie narażać siostr na niebezpieczeństwo: kiedy one wrócą? pewnie dopiero po południu, na pewno pójdą odwiedzić swoje przyjaciółki, będą siedzieć i plotkować. Woda zaczęła się gotować, przelał ją do menażek, które włożył do skórzanego worka razem z kahasim, suchym kozim serem i kilkoma sucharami; mężczyzna na zewnątrz krążył niespokojnie; dochodziła dziewiąta i słońce stało już wysoko na niebie, zapowiadał się gorący dzień; Ahrad dał znak, że jest gotowy, i znów usłyszał mruczenie zza chusty: dlaczego mężczyzna ukrywa swoją twarz? kha*labe było tak uszyte, że sięgało ziemi, tak że nawet stopy mężczyzny pozostawały niewidzialne, jednak po śladach butów chłopiec mógł się domyślić, że to były drogie buty: skąd pochodzi mężczyzna? czego chce? po co tu przyjechał? czym zajmowali się archeologowie, tego Ahrad nie wiedział; nie potrafił zrozumieć, po co komuś wiedza o tym, co działo się tyle lat temu, że nawet najstarsi ludzie tego nie pamiętali. Szli pod skalnymi ustępami, Ahrad pierwszy, nieznajomy za nim, trzymali się ścieżki wydeptanej przez kozy; nie doszłoby do tego wszystkiego, gdyby dzisiaj rano zobaczył cztery słońca na niebie, pomyślał i zrobiło mu się ciężko na duszy, tym bardziej, że teraz też narażał się na niebezpieczeństwo: co będzie, jeśli natkną się na policyjny patrol? co wtedy? myśli kłębiły mu się w głowie, chociaż wiedział, że musi myśleć trzeźwo, musi zyskać na czasie, wybrać miejsce, gdzie łatwo będzie się zgubić; znał kilka takich miejsc, znał te strony jak własną kieszeń, poznał je, wędrując tu z dziadkiem, ale to było dawno temu; chłopiec zamknął oczy, próbując przywołać w pamięci różne miejsca: jeśli za Górą Niebios skręcą w lewo, dojdą wkrótce do celu, jeśli zaś skręcą w prawo, wejdą do wąwozu, co znacznie wydłuży ich marsz; to trudna droga, ale też pełna dobrych kryjówek; mężczyzna nadal szedł jakieś trzy, cztery kroki za nim; chłopiec przyspieszył, mężczyzna też; muszą zostawić go w tyle, pomyślał, żebym zdążył uciec i ukryć się, zanim on strzeli; kiedy minęli Górę Niebios ze Skalą Wstydu na szczycie, Ahrad * tak jak zaplanował * skręcił w prawo; po jakimś czasie nieznajomy zawołał:

* Stój! Chłopiec stanął.

Mężczyzna odwrócił się plecami do chłopca i ukrył ręce, w których najwyraźniej coś trzymał: jakiś papier? Ahrad oddychał szybko, rozglądał się, może teraz ucieknie? nie, do najbliższej kryjówki było dobre pięćdziesiąt metrów.

* Idiota! Myślałeś, że mnie oszukasz? Poszedłeś w złym kierunku!

* W złym? * spytał Ahrad, czując, że głos go zawodzi.

* Tak, w złym. Musimy kierować się na zachód, nie na wschód!

* Ale to jest... skrót * zaoszczędzimy sporo czasu.

* Żadnych skrótów. W twoich przebiegłych arabskich oczach widzę, że kłamiesz! Musimy iść tędy! * powiedział mężczyzna, wskazując właściwy kierunek.

Ahrad czuł, że zaczyna się trząść; jego szczupłe ciało drżało pod poplamionym olejem khalabe: mężczyzna zna teren, ma rysunki, wie, jak powinni iść; jak ja teraz ucieknę? zastanawiał się. Przyspieszył kroku, mijali wąskie doliny, szli po kamienistych ścieżkach, za chwilę będą musieli wdrapać się na dość strome zbocze, potem teren zrobi się płaski, żółto*brązowy płaskowyż bez żadnej roślinności; rosła tu tylko między kamieniami moussta,

sucha, sztywna trawa, którą*o dziwo * lubiły kozy; chłopiec przyspieszył, ale mężczyzna cały czas podążał trzy, cztery kroki za nim: jak długo obcy wytrzyma takie tempo? zastanawiał się; może w końcu osłabnie, upał stawał się coraz większy, może zasłabnie i upadnie, a wtedy on ucieknie; ucieknie od tych okropności, które przyniósł mu poranek. Bał się, bardzo się bał, zamykał oczy, chcąc przywołać obraz dziadka; dziadek uspokoiłby go i powiedział, co powinien zrobić; ale widział tylko szarość.

* Stój!

Ahrad stanął i odwrócił się.

* Nie idź tak szybko i daj mi wody!

Chłopiec wyjął menażkę ze skórzanego worka, który niósł przerzucony przez ramię, i podał mężczyźnie.

* A niech to, co za upał! * powiedział nieznajomy, odwrócił się i zaczął pić. Najwyraźniej nadal nie zamierzał pokazać mu swojej twarzy: jak on wygląda? zastanawiał się Ahrad, popijając wodę z drugiej menażki.

* Ile drogi nam jeszcze zostało?

* Jeszcze kawałek, co najmniej godzinę marszu * odpowiedział.

Szli dalej, Ahrad przyspieszył i wkrótce dotarli do zbocza, zaczęli wspinać się, zbocze było strome, co rusz spadały jakieś kamienie: może weźmie kamień i rzuci nim w obcego? nie odważy się, mógłby nie trafić i co wtedy? nie może mnie zastrzelić, pomyślał nagle, jeśli to zrobi, nie znajdzie tego, czego szuka! przyszło mu nagle na myśl; ależ był głupi! okropnie głupi! zaraz się zatrzyma, stanie i powie, że dalej już nie idzie! Ahrad poczuł przypływ odwagi, zaczął się zastanawiać, jak całą tę historię opowie siostrze: opowie im, jak uciekł od nieznajomego, jak wyprowadził go w pole, jak w końcu postawił na swoim; poczuł przypływ energii i znów przyspieszył: mężczyzna był co najmniej dziesięć metrów za nim, męczył się w ciężkim terenie; chłopiec słyszał, jak ciężko dyszał i sapał; zaraz dotrą do płaskowyżu, wtedy usiądzie i powie, że dalej nie idzie.

* Zaczekaj!

Ahrad nie odwrócił się, nie zatrzymał, tylko dalej się wspinał; nagle rozległ się przerażający huk, coś zaiskrzyło obok jego prawej dłoni, strzał odbił się echem od pobliskich skał: mężczyzna strzelił! Ahrad zeszytniał, nie miał odwagi się odwrócić, słyszał, jak podążający za nim nieznajomy dyszy i ziewa.

* Jak tylko dotrzemy na górę, zrobimy chwilę przerwy, ty mały łobuzie; wtedy spróbuję wbić ci do głowy coś, co twój mały arabski mózdzek najwyraźniej nie jest w stanie pojąć! * odezwał się mężczyzna zachrypłym głosem.

* Inszallah * wyszeptał Ahrad ledwie słyszalnie.

Wspinali się dalej, teraz już wolniej, mężczyzna tuż za chłopcem; pomysły, które Ahrad miał jeszcze przed chwilą, znikły w jakiejś gęstej szarej mgłę; po chwili byli już na górze; roztaczał się stąd piękny widok na morze, na dziwne morze Bahr Lut, Morze Martwe, w którym żadne ryby ani rośliny nie były w stanie żyć, ale które było najbardziej błękitne i najpiękniejsze ze wszystkich jezior i mórz na całym świecie, tak mówił jego dziadek; Ahrad kochał to morze i nie wyobrażał sobie świata poza tą wodą otoczoną żółtymi skałami, otoczoną białym wybrzeżem; usiadł i przyglądał się niebieskiej tafli w dole, wędrował wzrokiem po górskich szczytach; nie czuł jednak żadnej radości; oparł się o kamień, napił się wody, która przyniosła nieco ulgi jego suchym, spękany wargom; zamknął oczy i zaczął szeptać modlitwę, której ostatnio nauczył się w meczecie; błagał Allacha: „Bądź dla mnie łaskawy, zwracam się w stronę Aibla, w stronę świętego miejsca modlitwy! Gdziekolwiek jestem, zawsze zwracam swoją twarz w tę stronę, bo tam jest prawda objawiona nam przez Pana; a przecież Allah nie pozostaje obojętny na nasze czyny i błagania!”. Sprawdzał, czy stary, zniszczony egzemplarz Świętej Księgi, który odziedziczył po dziadku, jest na swoim miejscu pod khalabe; zawsze nosił go ze sobą; schylił się i położył na ziemi, opierając czoło o

zwirową ścieżkę, poczuł łyzy i wtedy nagle kopniak sprawił, że poleciał do przodu, ostry kamień rozorał mu policzek, z którego poleciała krew; wstał i spojrzał na nieznanego.

* Przeklęty poganinie! Słuchaj mnie uważnie * powiedział mężczyzna, siadając nieopodal Ahrada. Oddychał ciężko.

* Może jeszcze nie zrozumiałeś, że tutaj panami są synowie Izraela; wam Arabom nie starcza na to rozumu. Jednak Izraelczycy także nie wiedzą wszystkiego i nie na wszystko zasługują * roześmiał się.

* Nie wiedzą wszystkiego, bo widzisz, toczą się dyskusje na temat różnic między faryzeuszami, saduceuszami i eseneńczykami. Nie wszystko złoto, co się błyszczy. Jest napisane: „Szukajcie, a znajdziecie”. To, co jest w tych grotach, należy do nas. Dlatego chcę, żebyś mnie tam zaprowadził, rozumiesz?

Ahrad rozumiał, ale nie zamierzał spełnić żądania obcego; nie podda się; w tej chwili nie był co prawda w stanie go zatrzymać, musiał wskazać mu drogę; potem jednak wróci do sióstr; pójdzie na komisariat i zezna, co zrobił; poniesie karę, chociaż nie był do końca pewien, czy Allah zechce go ukarać; otarł krew z policzka; zobaczył, że nieznajomy zbliża się do niego; miał zmrużone oczy.

* Nie ufam ci * warknął. * Nie ufam ani tobie, ani żadnemu Arabowi z rodu Henoksa! Daj mi rękę!

Zanim Ahrad zdążył pomyśleć, odruchowo wyciągnął lewą rękę; zobaczył, jak nieznajomy przykładą do niej lufę pistoletu; po chwili rozległ się huk, który odbił się echem od skał; Ahrad nie czuł bólu; zdziwiony przypatrywał się czerwonej dziurce w swojej dłoni, z której sączyła się krew, cofnął dłoń; nadal nic nie czuł, i wtedy nagle przed jego oczami pojawiło się coś czerwonego, jakiegoś czerwonego pola, jakby czerwone płomienie ognia; poczuł, że gdzieś leci, leżał na plecach i spadał w dół, ogarnęła go czerwień, wszystko dookoła stało się czerwone * i wtedy nadszedł ból.

* Wstawaj, tchórzu! * usłyszał głos, zobaczył pochylającą się nad nim postać. * Przekonałeś się, że nie żartuję! Jeśli zamiast zaprowadzić mnie do grot, zaczniesz coś kombinować, przedziurawię ci kolana i zostawię tu, żebyśgnił!

Ahrad zaczął powoli wstawać, położył przestrzeloną dłoń na piersi, ale nie miał odwagi na nią spojrzeć; czuł tylko, jak ból promieniuje aż do łokcia i dalej do ramienia, jak ręka pulsuje, boli, i nagle pomyślał, że może jednak dobrze się stało: będzie mógł pokazać rękę policjantowi i powiedzieć, że mu grożono, że opierał się tak mocno, że nieznajomy przestrzelił mu dłoń, co było prawdą! w ten sposób uniknie kary; zrobił krok w stronę mężczyzny, podszedł do niego tak blisko, że tamten aż się wzdrygnął. Oczywiście, co jest z jego oczami? Ahrad odwrócił się plecami do nieznanego i zaczął powoli iść, mężczyzna ruszył za nim; weszli w wąski wąwóz, posuwali się teraz wśród potężnych kamieni i stromych skał; chłopiec wskazywał drogę; niekiedy obcy kazał mu się zatrzymać, żeby móc sprawdzić coś na kartce, którą miał schowaną pod khalabe; ręce, ręce mężczyzny mignęły chłopcu przed oczami: Co to za ręce? szybko jednak przestał o nich myśleć, dokuczala mu postrzelona ręka, nie krwawiła, ale zrobiła się sztywna, martwa, nawet nie próbował zgiać palców, chciał, żeby jak najszybciej było po wszystkim; żeby mógł wrócić do domu, ale czy nieznajomy pozwoli mu wrócić? może domyśli się, że chłopiec zamierza iść na policję? myśli znów zaczęły kłębić mu się w głowie, siłą woli się opanował, odsunął od siebie strach, skupił się na siostrach, które były całkowicie zależne od niego i tego, ile zarobi, obsługując pompę: Myśl, Ahradzie, myśl, tyle razy słyszałeś, jaki z ciebie sprytny chłopak! szli dalej; nieznajomy cały czas trzymał się blisko niego, weszli w kolejny wąski jar, minęli wysoką skałę, Mleczny Kamień, Ahrad rozpoznał ten dziwny, ogromny głaz, który z jednej strony był cały biały, jakby ktoś oblał go mlekiem; wkrótce dotrą na miejsce, pomyślał; znów czuł pulsowanie chorej ręki; czuł też, jak krew tętni mu w uszach; zwolnił, niemal stanął i odwrócił się.

* Trzeba pić więcej wody * powiedział spokojnie.

- * Dobrze, dobrze, wiem * mruknął mężczyzna zza chusty.
 - * Człowiek nie czuje, kiedy się odwadnia.
 - * Dziękuję za troskę, pospiesz się.
 - * Można zemdleć.
 - * Pewnie chciałbyś.
 - * Nie * odpowiedział Ahrad spokojnie. * Pomógłbym ci. Mnie i moim siostrą potrzebne są pieniądze, które mi obiecałeś.
- Obcy roześmiał się.
- * Przebiegły Arab. Wszyscy jesteście tacy sami.
 - * Jeśli dostanę pieniądze, nic nikomu nie powiem * zapewnił Ahrad, starając się, by jego głos brzmiał szczerze.
 - * Tak, tak * odpowiedział mężczyzna i pociągnął kilka łyków wody.
 - * Nie musiałeś do mnie strzelać.
 - * Przestań filozofować i ruszaj dalej.

Ahrad znów przyspieszył kroku i wkrótce znaleźli się przy Zielonych Zboczach, gdzie obok moussty rosły też pincha ak'ha, płaskie, zielone, podobne do kaktusa rośliny; zaraz potem wąska dolina rozdzielała się na osiem korytarzy, Ahrad wiedział, że muszą iść trzecim, licząc od lewej strony, stamtąd było już tylko pół kilometra do jaskini; zostało mu niewiele czasu, wiedział, że musi się skoncentrować na jednym: jeśli chce ujść z życiem, musi zyskać zaufanie mężczyzny. Trzymał okaleczoną rękę na piersi, nawet mu tak bardzo nie dokuczala, tylko bał się poruszyć palcami; może już nic nigdy nie będzie w stanie nimi ruszać?

* Kiedy wrócimy, możesz u nas przenocować. Shabee i Kaila przygotowują nam gorący cosh; w domu mamy cały worek ryżu i suszone kurze mięso.

Nieznajomy nie odpowiadał, tylko oddychał głośno.

* Najchętniej jak najszybciej zapomnielibym o wszystkim, jakby ten dzień w ogóle nie istniał, jakbyśmy w ogóle się nie spotkali.

* Milcz, smarkaczu! Daleko jeszcze?

* Nie. Może dziesięć minut drogi.

* Nie tak szybko. Jest gorąco.

* Tam jest cień. W grotach będzie można odpocząć. Zachrypli śmiech.

Szli teraz przez teren pocięty jarami i wąwozami; Ahrad wiedział, że wkrótce dotrą do niewielkiego, ale dość stromego zbocza, będą musieli wspiąć się na wzgórze, będą też musieli przejść przez tak wąski wąwóz, że nawet dwa wielbłądy nie mieściły się tam obok siebie; i właśnie tam w głębi były jaskinie i zagrodzony teren, który w zeszłym roku znaleźli archeologowie, a którego teraz nikomu nie wolno było odwiedzać; zbliżało się południe, słońce stało wysoko na niebie, a skały były tak nagrzane, że parzyły przy dotknięciu: Mów, Ahradzie, mów! ale jego usta były tak suche, że nawet woda nie była w stanie ich zwilżyć, czuł narastającą panikę: Uciekaj! Uciekaj! On nie da rady za tobą biec, a jeśli będzie chciał strzelać, to spudłuje! ale Ahrad nie zaczął uciekać, tylko szedł dalej jak w transie: zaschło mu w ustach, miał spękane wargi, ściśnięte gardło.

* Chyba nie chcesz mnie skrzywdzić? * usłyszał własny słaby głos, niemal szept.

Żadnej odpowiedzi.

* Ja też nie zrobię ci nic złego. Tylko odgłos kroków na piasku.

* Wiem, że jesteś miły. Po prostu bardzo ci na czymś zależy i chcesz to znaleźć, a ja ci pomogę. Słyszę, że Allah mi to szepcze.

Cisza, stado pustynnych kruków gdzieś wysoko nad nimi na niebie; Ahrad pokonał ostatni stromy kawałek, stanął na szczycie i wyciągnął zdrową rękę do mężczyzny; chciał mu pomóc, ale obcy nie przyjął jego wyciągniętej dłoni; radził sobie sam, idąc na kolanach; kiedy w końcu dotarł na szczyt, położył się na plecach, oddychał ciężko: teraz! pomyślał chłopiec: rzuć się na niego, uderz go w głowę ciężkim kamieniem! ale w pobliżu nie było żadnego

kamienia, chłopiec stał i rozglądał się bezradnie; mężczyzna podniósł się, sięgnął po butelkę z wodą i długo pił; Ahrad wyciągnął rękę:

* Tam są groty.

* Jakbym nie wiedział.

* Nie mogę się już doczekać kolacji; będzie cosh * powiedział chłopiec z udawanym podnieceniem.

* Gównu. Ośle gównu! * odpowiedział mężczyzna schrypniętym głosem.

* Mogę ci też podarować kilogram najlepszej soli na świecie, sam ją pozyskuję i wszyscy mówią, że tak dobrej nigdzie nie ma.

* Po co mi sól? Mnie jest potrzebne coś zupełnie innego i wkrótce będę to miał! *

Mężczyzna podszedł do dużego głazu i usiadł w jego cieniu. * Pięć minut * dodał.

Co jeszcze mógłby powiedzieć? miał wrażenie, że jego słowa nie docierały do nieznajomego; wiedział, że nie udało mu się zdobyć jego zaufania, poczuł, że znów chwyta go panika; nagle dostrzegł coś, na widok czego serce niemal zamarło mu w piersi: na kamieniu, tuż obok głowy mężczyzny, zobaczył węża! ruszał się, sunął po kamieniu, chcąc najwyraźniej wpełznąć na głowę mężczyzny, a potem ukryć się w jego ubraniu: „Miłosierny Allahu, usłyszałeś moje pełne rozpaczny błagania, spraw, żeby to był jadowity wąż, śmiertelnie jadowity; niech ukąsi mężczyznę i niech ten jak najszybciej umrze!”. Wszystko w nim śpiewało; stał cicho, niemal bał się oddychać, to był tah'rabuli, wąż, przed którym ostrzegał go dziadek, którego wcześniej widział tylko raz w życiu: był jadowity! Ahrad znów poczuł, że wszystko w nim śpiewa: mężczyzna siedział nieruchomo, próbował opanować oddech, wąż sunął po kamieniu, czy podpełz*nie do siedzącego pod kamieniem mężczyzny? Przestraszył węża, żeby ugryzł go przy najmniejszym ruchu! rozkazywał mu głos.

* Patrz, jakie ładne kwiaty kaktusa, tam, w rowie! * niemal krzyknął; zaczął wymachiwać rękami, kopnął nogą żwir i rzucił skórzany worek tuż obok mężczyzny.

* W worku jest chleb i jedzenie, bierz, co chcesz!

* Zamknij się, nie jestem głodny!

Mężczyzna odwrócił się nieco, wąż szykował się do ataku, zamierzał ukąsić mężczyznę w głowę: nie tutaj, trochę niżej, tak żeby ząb z jadem przeszedł przez materiał! Ahrad zamknął oczy, nie miał odwagi patrzeć, jeszcze chwila i będzie wolny, był o tym przekonany. Allah jest wielki, wysłucha go; w przyszłym tygodniu będzie codziennie chodził do meczetu, odda też połowę swoich oszczędności imamowi; otworzył oczy i spojrzał: wąż pełzał teraz po głowie mężczyzny, który wyraźnie coś poczuł, zaczął trząść głową, początkowo ostrożnie, potem coraz gwałtowniej; wąż nie użądlił go, tylko spadł mu na kolana; mężczyzna poderwał się i zaczął krzyczeć; Ahrad cofnął się, wąż wylądował na ziemi i błyskawicznie zniknął za kamieniem; mężczyzna krzyczał i biegał w kółko; najpierw zdarł z głowy chustę, potem zdjął khalabe; chłopiec patrzył przerażony na człowieka, który nagle miał i ciało, i twarz, i nie wierzył własnym oczom: to niemożliwe! pomyślał, i to była ostatnia myśl czternastoletniego Ahrada, bo sekundę później rozległ się strzał z pistoletu, który był wycelowany prosto w niego; padły trzy strzały, które echo setki razy odbiło od kamiennych zboczy.

Na koszuli Ahrada pojawiły się trzy brązowe dziury.

Mniej więcej pośrodku na piersi.

Szybko zapadła noc, ciemna, bez gwiazd.

Widok na Morze Martwe Nathan B. Carver

Było późne popołudnie, karawana rozbiła obóz na płaskowyżu z widokiem, który zapierał dech w piersiach wszystkim nam, którzy byliśmy tu po raz pierwszy. Zachód słońca nad tym dziwnym jeziorem, zwanym przez Arabów Bahr Lut, jest nie do opisanego: feeria kolorów od purpury do głębokiej czerwieni, a na koniec fiolet. Cały dzień wędrowaliśmy przez trudno dostępne tereny, wąskie jary między skałami, jak byśmy przedzierali się przez labirynt.

Wielokrotnie pytałem naszego wspaniałego przewodnika, Afaza Marana, czy aby naprawdę wie, dokąd nas prowadzi. On jednak tylko się uśmiechał, powtarzając coś, czego żaden z nas, Anglików, nie rozumiał. Raz zdarzyło się jednak, że zatrzymał karawanę i długo stał przed wąskim jarem, wyraźnie się zastanawiając. Położył dłonie na żółtej porowatej skale i jakby szedł po omacku.

Zastanawialiśmy się, czy w skale są jakieś wrota, które otworzą się na dźwięk magicznych słów: „Sezamie, otwórz się!”, ale tak się nie stało. Tym niemniej nasz przewodnik mamrotał pod nosem, że są tu podobno jakieś tajemnicze jaskinie, w których nikt jeszcze...

Fragment artykułu zaczerpnięty z Travelling Wilderness, Londyn, marzec 1939.

Skarphedin Olsen odczytuje alchemiczny tekst, rozkoszuje się serem i słyszy huk, ale nie zauważa chłopca przemykającego pod drzewami. Kiedy detektyw Skarphedin Olsen wchodził po schodach prowadzących do Biblioteki Uniwersyteckiej na Drammensveien przy Sol*li Plass, był w kiepskim nastroju; powodów ku temu było kilka: jego kiepski nastrój mógł oczywiście mieć związek z pogodą, która bynajmniej nie wskazywała na to, że jest już początek kwietnia, bowiem od kilku dni gęsta mgła * o tej porze roku zjawisko raczej niespotykane * spowijała całe miasto: co to mogło oznaczać? krople wody kapały z gałęzi topól, lip i leszczyny, na których wcale jeszcze nie widać było pąków liści; a gdzie podział się śpiew ptaków, zwiastunów wiosny? ptaki milczały; siedziały cicho, zbite w stada na koronach drzew, które przez to wydawały się nieco mniej nagie; tak więc paskudna pogoda mogła tłumaczyć zły humor Olsena, chociaż mogły też istnieć inne powody: na przykład fakt, że śledcza Anna Lovli, która była nie tylko dobrą koleżanką Olsena, ale ostatnio także jego bliską przyjaciółką, na tyle bliską, że ich wzajemne relacje można było określić wręcz jako „intymne”, nagle przeprowadziła się do Kautokeino i poślubiła tamtejszego wojewodę, co zaskoczyło cały personel KRIPOS, Centrali Policji Kryminalnej na Helsfyr, a Skarphedina w szczególności.

* Wychodzisz za męża? * spytał.

* Tak * odpowiedziała.

* Dlaczego nie za mnie?

* Bo ciebie nie jestem w stanie pojąć, jesteś zbyt ulotny, Skarp*hedinie.

* Nie jesteś w stanie mnie pojąć?

* Tak. Jesteś zbyt głęboki.

* Głęboki?

Nic więcej nie zostało powiedziane. Anna Lovli przeniosła się do wojewody w Kautokeino i wyszła za niego, a wszystko to wydarzyło się niedługo przed pojawieniem się mgły nad Oslo; oczywiście trudno dopatrywać się tu jakiegoś związku, co zresztą Skarphedin Olsen doskonale rozumiał. Kiepski nastrój detektywa mógł więc mieć dwie przyczyny, jednak najbardziej prawdopodobne było to, że wynikał z czegoś zupełnie innego, a mianowicie z faktu, że właśnie tego ranka, w środę, piątego kwietnia, szef policji kryminalnej, Arthur Krondal, rzucił na biurko detektywa teczkę z dokumentami, na której widniał napis „TRUMNA”, skrót autorstwa samego Krondala, oznaczający: Trudna Robota, Ukryć. Możliwie Najbardziej (przed) Amatorami. Brzmiało to dość tajemniczo, ale dobrze oddawało sedno sprawy: chodziło mianowicie o dochodzenia, które w żadnym wypadku nie mogły zostać ujawnione przed ich zakończeniem, innymi słowy, chodziło o sprawy drażliwe; dla kogo drażliwe? zastanawiał się Olsen, zresztą nie po raz pierwszy; nigdy jednak nie otrzymał zadowolającej odpowiedzi, bo w tej kwestii obowiązywało milczenie. Teraz był w drodze do gmachu Biblioteki Uniwersyteckiej, parsknął niezadowolony na widok siedzącej na schodach młodej pary zakochanych. Chudy, wkrótce pięćdziesięciosiedmioletni detektyw, z twarzą poroaną licznymi zmarszczkami, zatrzymał się chwilę przy oknie, wyjrzał i zobaczył tramwaj

sunący Drammensveien w stronę Solli Plass, wyciągnął chusteczkę z kieszeni płaszcza i wysmarkał nos: czyżby chwyciło go przeziębienie? następnie udał się do czytelnicy, gdzie oczywiście nie było wolnych miejsc; pokręcił się chwilę bez celu, po czym zwrócił się do bibliotekarki; kobieta * zajęta inną sprawą * spojrzała na niego niechętnie, kiedy jednak zobaczyła jego kwaśną minę i wyciągniętą w jej stronę legitymację policyjną, szybko zmieniła podejście: skinęła głową, kiedy Olsen zażądał materiałów dotyczących alchemii, tematu, z którym bez większej ochoty czy szczególnego entuzjazmu musiał się zapoznać, właśnie w związku ze sprawą, za którą szef rano uczynił go odpowiedzialnym, teraz tak cierpiał. Dziesięć minut później znów stał w oknie, z którego rozciągał się widok na Drammensveien; patrzył sceptycznie na stos leżących przed nim na parapecie dziesięciu, może dwunastu książek; w większości były to stare wydania, pisane po niemiecku, po łacinie, pismem gotyckim. Miałby to czytać? Nigdy w życiu, pomyślał i postanowił, że uszczęśliwi tym swojego siostrzeńca, Fredrica Drum, cieszącego się sławą jednego z najlepszych szefów kuchni w stolicy; był właścicielem niewielkiej restauracji, „Kasserollen” na Frognerveien, „Rondel” * świetna nazwa dla restauracji, pomyślał Skarphedin i poczuł, jak drgają mu kąciki ust; tak, utwierdził się w przekonaniu, że to coś w sam raz dla Fredrica, który poza kuchnią interesował się właśnie takimi sprawami; przekaże mu tę stertę, postanowił, stojąc w oknie uniwersyteckiej biblioteki; od niechcienia zaczął kartkować leżące przed nim tomy.

* Fulcanelli, kto to jest, do licha? * warknął niezadowolony sam do siebie, sięgając do kieszeni swojego granatowego płaszcza po okulary do czytania. Dźwięk, który z siebie wydał, był na tyle głośny, że stojąca obok bibliotekarka zmarszczyła czoło i spojrzała na niego srogo; detektyw zerknął na nią spod oka; kobieta szybko przeniosła wzrok na inną ofiarę; tak więc Skarphedin Olsen mógł w ten kwietniowy czwartek, nie niepokojony przez nikogo, zostawiwszy za sobą mgłę spowijającą Oslo, Annę Lovli i jej sprawy, dalej stać w oknie i mamroczać coś pod nosem, przeglądając tekst, który * chociaż zdawał się mieć niewiele wspólnego ze zdrowym rozsądkiem * ku zdziwieniu detektywa coraz bardziej go intrygował: „Paracelsus rozpuścił trzy sztabki ołowiu, owinął niewielki kamień, który otrzymał od nieznanego, w воск i wrzucił go do rozpuszczonego metalu. Kamień zamienił się w złoto. Transmutacja klasy drugiej... Baruch de Spinoza, wielki panteista, dał się przekonać Paracelsusowi. Jego Textus Occultus da się rozczytać, jeśli sięgnie się po jego podstawowe dzieło filozoficzne... Opary rtęci muszą być hermetycznie zamknięte... Nasz przyjaciel, Tomotei Schroder, zmarł, zanim nastąpił proces krystalizacji, ponieważ pojemnik okazał się przeciekać. Dotarł już wówczas do ostatniego z Wielkich Kręgów”.

* Przeciekał! * powtórzył Skarphedin niepotrzebnie głośno. Wyciągnął z wewnętrznej kieszeni niekształtne zawiniątko. Rozpakował.

W pomieszczeniu rozeszła się silna woń. Dotarła do kobiety stojącej za biblioteczną ladą.

* Stilton * powiedział detektyw, pokiwał głową i uśmiechnął się łagodnie.

* Wyśmienity stilton * dodał.

* Spróbuj pani? * spytał i wyciągnął rękę z zawiniątkiem w kierunku kobiety. Ta złapała się za nos i zaczęła energicznie kręcić głową.

* Nie to nie. Nie wie pani, ile traci.

Wkładał małe kawałki sera do ust, stał i mlaskał, zastanawiając się, jak długo można przechowywać stilton w kieszeni, gdzie przecież panuje temperatura zbliżona do temperatury ciała; raczej niezbyt długo, góra kilka dni, potem ser stanie się przejrzały. Ta kulinarna dygresja w żadnym jednak razie nie odciągnęła jego uwagi od książki o Fulcanellim i alchemii; przeciwnie, wręcz wzmogła jego ciekawość, pozwalając mu spojrzeć nieco jaśniej na przydzieloną mu z pozoru beznadziejną sprawą. Stał, mlaskał, rozkoszując się pysznym dojrzałym serem; czytał szeptem leżącą na okiennym parapecie książkę; od czasu do czasu czuł na sobie ostrzegawczy wzrok bibliotekarki, która wyraźnie miała ochotę kazać mu odłożyć ser i ściszyć głos, ale za każdym razem rezygnowała z dalszych uwag.

„Nasze metody są proste, wymagają jednak dużej cierpliwości i pełnego skupienia. Czytamy Einsteina, Bohra i Plancka, lecz naszym wzorem pozostaje Fulcanelli, ostatni z Wielkich. Wszystko, co dotyczy istoty materii, jest w równym stopniu w naszych głowach, jak w centrum Kasjopei... Złoto i srebro jest we wszystkim, jeśli tylko starczy nam czasu... Nie ma jednej Wielkiej Księgi, jest natomiast wiele ważnych ksiąg zapisanych złotymi zgłoskami... Potrzebujemy dziesięć kilogramów ołowiu, sto kilogramów zawierającej arszenik rudy żelaza, litr kwasu cytrynowego i tygiel. I ruch... Telihard de Chardin powiedział, że prawdziwa fizyka polega na umieszczeniu człowieka w jednolitym kontekście. To właśnie usiłujemy zrobić”.

Książka została napisana w 1958 roku; detektyw pokręcił głową, by rozjaśnić umysł: jego wizyta w Bibliotece Uniwersyteckiej tego ponurego wiosennego dnia miała wyraźnie określony cel: chodziło o powierzona mu sprawę, która wymagała nie tylko dyskrecji, ale i wiedzy: przynajmniej pobieżnej znajomości ezoteryki, przede wszystkim zaś alchemii. Zapoznał się z bogatą literaturą, co nieco poprawiło mu humor, nadal jednak poszukiwał czegoś, jakiegoś choćby najmniejszego punktu zaczepienia, by móc posunąć się w sprawie, która może nawet kryła w sobie morderstwo.

Nie było ciała.

Było niemal puste mieszkanie na Starym Mieście.

I około czterech litrów zakrzepłej ludzkiej krwi.

Krew znaleziono na podłodze wspomnianego mieszkania.

W grę mogło wchodzić poważne przestępstwo.

Zostało wszczęte dochodzenie.

Było też wiele innych faktów; sprawa przedstawiała się następująco: we wtorek, czwartego kwietnia, dokładnie dwie doby temu, mieszkańcy Saxegaardsgata 1 na Starym Mieście w Oslo wezwali policję, aby wyrazić niepokój o starszego pana na wózku, który mieszkał na parterze. Starszy pan, zdaniem jego sąsiadów, mógł mieć koło osiemdziesiątki, jednak sam dbał o siebie i mimo swojego kalectwa odmawiał wszelkiej pomocy ze strony opieki społecznej: żywność dostarczano mu zwykle ze sklepu pod drzwiami mieszkania przez gońca, teraz zaś * co każdy mógł zobaczyć * pod drzwiami stały dwa pełne kartony produktów spożywczych, więc co to mogło znaczyć? Policja natychmiast wyważyła drzwi do mieszkania, które zajmował Aron Rhymfaxe, bo tak nazywał się rzeczony mężczyzna, i co znaleziono? Całkowicie puste, niezamieszkanе, opróżnione ze wszystkich sprzętów mieszkanie; nic nie wskazywało na to, żeby w ostatnim czasie ktokolwiek tu mieszkał, nie znaleziono żadnego zmarłego starca; na podłodze w pokoju była jednak ogromna plama, która okazała się plamą krwi; by zostawić taką plamę, potrzeba było około czterech litrów krwi, a to * trzeba przyznać * dość pokaźna ilość. Funkcjonariusze i policyjni technicy wykonali kawał dobrej roboty i oprócz wspomnianych czterech litrów krwi znaleźli także w kominku osiem nienaruszonych zeszytów zapisanych tajemniczym pismem, w którym często powtarzało się słowo „alchemia”; pełne dziwnych rysunków zeszyty pokazano różnym uczonym, mężczyznom i kobietom, do których zwrócono się o radę, ponieważ nikt ze stołecznej policji nie potrafił podać dokładnego znaczenia słowa „alchemia”; niektórzy twierdzili, że miało ono coś

wspólnego z sodomią; inne mądre głowy uważały, że chodziło raczej o rodzaj pedofilii, wszystko to jednak miało miejsce na samym początku dochodzenia, kiedy to przerzucano się różnymi obcymi słowami mogącymi oznaczać różne przestępstwa. Wkrótce jednak uczeni, do których się zwrócono, uznajmili, że alchemia nie figuruje w kodeksie karnym jako przestępstwo, że chodzi o bardzo starą gałąź wiedzy, poprzedniczkę jednocześnie i fizyki, i chemii, głównym zadaniem alchemików było zaś otrzymywanie złota poprzez warzenie/mieszanie/filtrowanie rozlicznych składników zgodnie z przepisami, które okryte były tajemnicą i dostępne jedynie wtajemniczonym; wszystko to oczywiście było czystą

fantazją, średniowiecznym przesądem; jednak faktem było także, że oprócz plamy krwi na podłodze, technicy znaleźli w mieszkaniu także dwie kupki czegoś, co przypominało proszek: brązowy i żółty, a badania w laboratorium szybko wykazały, że kupka brązowego proszku zawierała 34 gramy drobno zmielonej rudy żelaza o dużej zawartości arseniku, pochodzącej z kopalni w Folldal; druga, żółta kupka zawierała 75 gramów złotego pyłu o niespotykanej wysokim stopniu czystości, co oczywiście czyniło sprawę dość wyjątkową, ale czy to właśnie sprawiło, że lokalny komisariat przekazał ją Centrali Policji Kryminalnej w Oslo? zastanawiał się Skarphedin Olsen, i czy właśnie fakt, że złoto występowało w tej niespotykanej czystej postaci, sprawił, że ich szef natychmiast uznał sprawę za tajną? czy też chodziło jeszcze o coś innego, o czym Olsen nic nie wiedział, jak na przykład o to, że Aron Rhymfaxe nie występował w spisie ludności ani w ogóle w żadnym innym spisie. Kim był starszy pan jeżdżący na wózku?

i czy te cztery litry krwi to była jego krew? jeśli tak, oznaczałoby to, że doszło do morderstwa, ale w takim razie gdzie jest ciało i kim był morderca? no i jaki był motyw? Tak właśnie wyglądała sytuacja, kiedy Olsen w ów kwietniowy czwartek stał w oknie, kartkując pobieżnie książkę o wielkim alchemiku, niejakim Fulcanellim, próbując wyrobić sobie jakieś pojęcie o tym, czym zajmowała się alchemia, by móc posunąć dalej rozpoczęte dochodzenie. Zjadł do końca ser i uznał, że skoro wypożyczył książki, to równie dobrze może je zabrać ze sobą; nagle poczuł silne wibracje na piersi w miejscu prawej wewnętrznej kieszeni, wzdrygnął się i przeklinając w duchu, wyciągnął z kieszeni telefon komórkowy; zauważył, że szyby w oknach drżą, a mgła spowijająca Drammensveien jakby zafalowała.

* Słucham! * odezwał się nienaturalnie głośno.

* Cześć, mówi Jon. Posłuchaj, ślęczę nad tymi beznadziejnymi zeszytami i nic nie rozumiem, jest jednak coś...

* Tak? * podchwycił Skarphedin. Miał wrażenie, że jego kolega, Jon Furhelle, jest zmęczony.

* Zauważyłem, że pewne nazwisko ciągle się powtarza i że ma to związek z jakimś złotem, tak więc jeśli będziesz studiował literaturę dotyczącą alchemii, zwróć uwagę na słowa Khirbet Qumran, mogę przeliterować. Sprawdziłem w encyklopedii i okazało się, że jest to nazwa jakiegoś miejsca na Bliskim Wschodzie, gdzieś w pobliżu Morza Martwego, nazwa jakiegoś klasztoru czy czegoś takiego.

* Ach tak. Dobrze, zanotowałem. Masz jeszcze coś?

* Nie * odpowiedział Furhelle i zakończył rozmowę. Skarphedin stał, trzymając w ręku telefon komórkowy; patrzył

na niego, jakby to było jakieś wyjątkowe zwierzę; parsknął pod nosem i schował go z powrotem do kieszeni, nastawiwszy wcześniej dzwonek na zwykłą moc. Klasztor nad Morzem Martwym, co to ma z tym wspólnego? chociaż przeczuwał, że w sprawie, którą się zajmowali, mogło być wiele ślepych tropów, i że jeśli na wczesnym etapie śledztwa nie oddzielił rzeczy istotnych od nieistotnych, mogą później wpaść w pułapkę, tylko jak to zrobić? Nic dziwnego, że Furhelle był zmęczony; jego też ogarniała niemoc na myśl o konieczności zapoznania się z książkami, które miał przed sobą; a jednak nie ruszył się od okna wychodzącego na Drammensveien. Przerzucił kolejną kartkę: „... siarczan sodu używany jest jako katalizator w stadium trzecim, pisze Johan Rudulf Glauber, Heidelberg 1658, ... jeśli ołów początkowo jest szary, po jakimś czasie powinien zrobić się jaśniejszy, bardziej złocisty, mogą także wytworzyć się drobne perelki, całkowicie złote... Pamiętaj sprawdzić położenie planet i bądź cierpliwy”.

Skarphedin zamknął książkę z hukiem i odłożył na stos tomów leżących na parapecie; gdyby detektyw wyrzął teraz przez okno i spojrzał w stronę Bygcki Alle, dojrzałby we mgle, pod krzakami koło fontanny, małego chłopca w niebieskiej puchowej kurtce, szarych spodniach i

czzerwonych botkach, który właśnie wyszedł ze swojej kryjówki i ruszył w stronę fontanny; doszedł do niej, nachylił się i zaczął pić wodę. Tego jednak Skarphedin nie widział; nie widział także, że chłopiec ma jasne, średniej długości włosy, i że mokre kosmyki oblepiają mu czoło, że pociąga nosem, drżą mu usta i lada chwila gotów jest się rozpłakać: okrągła twarzyczka była twarzą sześciolatka, małego, ładnego chłopca o miękkich wargach, niebieskich oczach i zadartym nosku, który stał teraz obok fontanny i nadal pociągał nosem, a jego małym ciałkiem wstrząsało łkanie, jakby zaraz miał wybuchnąć płaczem, płacz jednak nie nadszedł, dał się natomiast słyszeć drżący szept: * Mamo! Tato! * słowa, których nikt nie usłyszał, bo najbliższy człowiek, spieszący się dokądś mężczyzna, był dobre dwadzieścia metrów od niego; tak więc chłopiec wrócił na miejsce koło krzaku i usiadł na kamieniu, obejmując mocno rękami swoją maskotkę, ale i tego Skarphedin Olsen nie był w stanie dostrzec, bo w tym momencie, gdy właśnie chował książki do teczki, jego wzrok przykuł tekst na ostatniej stronie jednej z nich, tej o Fulcanellim:

„Andre Fulcanelli pozostaje wielką tajemnicą naszych czasów. Przed drugą wojną światową pracował w jednym z paryskich laboratoriów. Twierdził, że jest w stanie wyzwolić energię atomową w wyniku czysto geometrycznego procesu, bez użycia elektryczności czy technik próżniowych. Ostrzegał ówczesnych naukowców w Paryżu przed czymś, co właściwie było rodzajem bomby atomowej, a mianowicie radioaktywnym polonem. Nie potraktowano go poważnie, uważano go bowiem za alchemika * marzyciela. Po wojnie Fulcanelli zniknął bez śladu”.

Skarphedin Olsen zastygł na chwilę w bezruchu.

Gdzieś z tyłu głowy dzwonił jakiś dzwonek ostrzegawczy.

Zamknął oczy.

Ale nagły przebłysk świadomości zniknął.

Stał jeszcze chwilę w oknie i patrzył przed siebie; ser został zjedzony, a jego dręczyło przecucie czegoś złego, czegoś bolesnego, co może się wkrótce wydarzyć. Po południu mgła nad Oslo zdawała się dalej gęstnieć, spowijając wszystko swoim obrzydliwym biało*szarym welonem, mokrym i zimnym; detektyw marzył, kiedy zbiegał ze schodów biblioteki, otulił się szczelniej swoim granatowym płaszczem.

* Witaj, wuju! * pozdrowił go Fredric radośnie. Skarphedin Olsen zamknął z trzaskiem drzwi do restauracji

„Kasserollen”, sympatycznego, niewielkiego lokalu na Frognerveien, stworzonego przez młodego kucharza Fredrica Drum, za radą swojego starego wuja Skarphedina Olsena. Lokal był kameralny, urządzone ze smakiem; były tu trzy stoliki z miejscem dla czterech osób i jeszcze trzy dwuosobowe; nic więcej, ale tak właśnie miało być, bo tu liczyła się jakość, to właśnie wbijał Fredricowi do głowy Skarphedin, i tak też było. Fredric Drum okazał się nadzwyczaj twórczym szefem kuchni i znakomitym znawcą win: szybko rozniosło się, że ma nosa do dobrych win i umie je rozpoznawać, wygrał nawet kilka konkursów w tej dziedzinie.

* Wuju jak wuju * warknął detektyw, opadając na krzesło przy ich dodatkowym, prywatnym stoliku w głębi lokalu, nieco osłoniętym od pozostałych stolików, blisko wejścia do kuchni, tuż za barem; nie był zachwycony, kiedy Fredric tytułował go wujem; do otwarcia restauracji pozostały jeszcze dwie godziny i w kuchni dwóch młodych pomocników zajętych było przygotowywaniem dzisiejszych potraw.

* Jak twoja wysypka? * spytał Fredric.

* Wysypka?

* Tak, te dziwne okrągłe ranki, które masz na piersi.

* Jeśli chodzi ci o te blizny, to już mnie nie swędzą.

* Znikły?

* Z czasem znikną; nie rozmawiajmy już o nich.

* Spróbuj * powiedział Fredric, stawiając przed nim mały talerzyk.

* Przystawka?

* Tak, przystawka. Wątróbka z bażanta ze śmietaną z ziołami na cienkich, nasączonych sherry plasterkach jabłka. Podawana z kieliszkiem dobrego Sauterna.

* Brzmi nieźle!

Przez chwilę detektyw patrzył przed siebie pustym wzrokiem, po czym skupił się na stojącym przed nim smakołyku: powąchał, zaczął głośno mlaskać, po czym nadział na widelec niewielki kawałek różowej bażanciej wątróbki; plasterki jabłka też wyglądały zachęcająco, a śmietana z ziołami była łagodna w smaku; całość została udekorowana listkiem szczawiu i trzema, może czterema porzeczkami, wypił łyk wina i pokiwał głową, nagle w połowie przystawki Skarphedin podskoczył na krzesło, odłożył widelec i wywołał Fre*drica z kuchni.

* Do diabła! Dodałeś szafranu do śmietany!

* Co? * spytał Fredric niepewnie.

* Tak nie można!

* Nie?

Skarphedin zmusił Fredrica do zajęcia drugiego krzesła, po czym wygłosił krótką, zwięzłą przemowę na temat równowagi i harmonii, zwracając uwagę na to, jak specyficzny charakter niektórych dań może zostać całkowicie zniszczony przez zastosowanie niewłaściwych przypraw, w tym przypadku szafranu, bo niezależnie od tego, że jest to przyprawa droga i szalenie ekskluzywna, to zdecydowanie nie pasuje do tej potrawy, czyli do bażanciej wątróbki. Jak należałoby podkreślić jej smak? Czy Fredric to wie? Chyba tak, skoro podał ją na plasterku jabłka, z listkiem szczawiu i porzeczkami, które to produkty w naturze występują w otoczeniu dzikiego ptactwa, czego z pewnością nie da się powiedzieć o szafranie! Fredric przytaknął.

* Dziękuję, wuju * powiedział i natychmiast znów zniknął w kuchni.

To podstawowa sprawa, pomyślał Skarphedin, zjadając resztę wątróbki; chłopak musi się jeszcze sporo nauczyć, ale on przecież wszystkiego go nie nauczy. „... prawdziwa fizyka polega na umieszczeniu człowieka w jednolitym kontekście...”, przypomniał sobie nagle zdanie z książki i zaczął nerwowo bębnić palcami w blat stolika pokryty białym obrusem: może Fredric będzie w stanie mu pomóc? miał przy sobie te beznadziejnie stare tomiszczą, a chłopak jest sprytny. Fulcanelli, Paracelsus, Glauber, o ile pamięć go nie myli, nazwiska te występowały także w znalezionych zeszytach należących do Arona Rhymfaxe; ciekawe, kim był ten mężczyzna i jak naprawdę się nazywał? To imię i nazwisko występowało co prawda zarówno na tabliczce na drzwiach, jak i na skrzynce na listy, ale w rejestrze ludności go nie było, zastanawiał się detektyw, nadal bębniąc nerwowo w blat stolika. Zerknął na zegarek, dochodziło wpół do piątej: Ungbeltd powinien już skończyć przesłuchiwanie sąsiadów na Saxegaardsgata; powinno z nich coś wyniknąć, chociażby to, jak długo ten rzekomy Rhymfaxe tam mieszkał, tylko dlaczego nie było go w rejestrze ludności? Nieistniejąca osoba. Czyżby dlatego, że nie przyjął pomocy opieki społecznej? tak, tak, ta sprawa z pewnością przysporzy jeszcze wielu kłopotów, pomyślał detektyw i pokiwał głową. Siedział w ciepłe przy restauracyjnym stoliku, popijał dobrego Sauterna i nasłuchiwał głosów dochodzących z kuchni. Nieraz rozwiązywał już trudne sprawy, poza tym miał zdolnych współpracowników, śledczych z Centrali Policji Kryminalnej przy ulicy Fre*drik Selmersvei 4 w Helsfyr; obecnie jego zespół składał się z czterech osób, byli to: Peder Ungbeltd, Tor Jonson, Jon Furhelle i on sam, dlaczego więc jest taki niespokojny? skąd dręczy go przecucie, że wydarzy się coś niedobrego? Nie mógł pozbyć się myśli, że ma to jednak coś wspólnego z tą beznadziejną i, łagodnie mówiąc, nieprzyjemną mgłą, która nie przepuszcza wiosennego słońca, co wpływa na jego samopoczucie i powoduje niepokój. Mgła spowija całą Frognerveien, czy wobec tego goście trafią do restauracji? ledwie o tym pomyślał, kiedy zobaczył, że drzwi się otwierają, najpierw powoli, a potem na całą szerokość, tylko że nikt się

nie pojawił; żaden przedwczesny gość nie stanął w drzwiach; Skarphedin poczuł podmuch zimnego wiatru, jakby coś mokrego musnęło mu policzek, uniósł się na krześle i warknął:

* A to co, do licha... ?

* Co się stało, wujku? * spytał Fredric, wyglądając z kuchni.

* Drzwi, do diabła! * wskazał palcem Skarphedin.

* Ach tak, są niemożliwe * powiedział Fredric łagodnie.

* Niemożliwe?

* Tak, od czasu do czasu same się otwierają.

* Ach tak.

* Trzeba będzie założyć porządny zamek.

Fredric podszedł do drzwi, zamknął je, wrócił i usiadł przy stoliku; za kilka minut należało się spodziewać pierwszych gości; zerknął z zainteresowaniem na książki, które Skarphedin wyjął z torby i położył na stoliku.

* Alchemia? * spytał zdziwiony, otwierając jeden z oprawnych w skórę tomów:

Bibliographia Alkymistae, Regensburg 1759. * Chyba nie będziesz mnie namawiał, żebym zajął się tego rodzaju kuchnią?

Twarz detektywa rozpromieniła się; chwycił dłoń Fredrica, położył na stosie książek i zaczął mu tłumaczyć, że zajmuje się bardzo niezwykłą sprawą, która między innymi wymaga od niego wiedzy o czymś, co określa się mianem alchemii; ma to bardzo niewiele wspólnego ze współczesnymi czasami, tym niemniej oczekuje się od niego jako od osoby prowadzącej dochodzenie, że przedstawi w skrócie istotę tej zawiłej materii, czy Fredric to rozumie? no i czy rozumie, jak cenny w całym tym procesie jest czas? Fredric rozumiał, dlatego też bardzo uprzejmie spytał wuja, czy mógłby zapoznać się ze sprawą, a ten zgodził się przekazać mu książki, by w wolnej chwili mógł spróbować zgłębić ich treść i po jakimś czasie, powiedzmy jutro, zdać mu krótką i zwięzłą relację ukazującą ich mądrość, a także przekazać mu informacje dotyczące życia i działań pewnego alchemika, człowieka o nazwisku Fulcanelli. Fredric cały czas przytakiwał z zartobliwym błyskiem w oku. Poza tym, ciągnął dalej Skarphedin, jest też osiem zeszytów zapisanych całkowicie niezrozumiałymi słowami; zeszyty te przechowywane są obecnie w jego biurze w Hels*fy, ale jeszcze tego wieczoru goniec może dostarczyć je Fredricowi, bo wuj chętnie usłyszałby jego zdanie także na ten temat, i niech zwróci przy tym szczególną uwagę na następujące słowa: „Khirbet Qumran” * zapisał na kartce, którą podał Fredricowi, oświadczając, że teraz musi już lecieć, bowiem o 18.00 odbywa się zebranie zespołu zajmującego się dochodzeniem.

Skarphedin wstał.

Fredric nadal siedział przy stoliku; zaczął kartkować księgi, zdawał się wyraźnie zainteresowany.

* Alchemia * mamrotał pod nosem młody szef kuchni. * To wcale nie jest takie bez sensu.

* Co takiego? * mruknął Skarphedin.

* Alchemicy nie zajmowali się tylko złotem * mówił Fredric jakby sam do siebie. * Jak ci zapewne wiadomo, zdałem kiedyś, na zasadzie absolutnego hobby, kilka egzaminów z zakresu wymarłych języków. Kiedy otrzymujemy zadanie złamania jakiegoś kodu, często korzystamy z dawnych tekstów autorstwa alchemików. Są to nieraz bardzo ciekawe materiały i bynajmniej nie dotyczą wyłącznie złota.

* No to świetnie! * wykrzyknął rozpromieniony Skarphedin. * Ty właściwie już sporo wiesz.

* A sama sprawa czego dotyczy?

* O to mnie nie pytaj!

* Czyli „TRUMNA” * skonstatował Fredric, wzruszając ramionami.

* Skąd znasz to określenie? * wzdrygnął się Skarphedin.

* No właśnie, ciekawe * rzucił Fredric i zniknął w kuchni. Zamierza czytać, mieszając w garnkach, pomyślał Skarphedin, stojąc jeszcze chwilę w progu; no i skąd zna to określenie? Nie przypominał sobie bowiem, żeby kiedykolwiek informował siostrzeńca o wymyślonym przez Krondala terminie; pokręcił głową; płytki, określiła go kiedyś Anna Lovli, ciekawe, co miała na myśli? Sięgnął ręką do piersi i zaczął się drapać, przekłete blizny! zaklął w duchu, po czym zdecydowanie szarpnął drzwi, otworzył i wyszedł w mgłę, kierując się w stronę najbliższego postoju taksówek, żeby jak najprędzej wrócić do Centrali; nagle źle się poczuł, zwolnił, oparł się o żelazny parkan przy skrzyżowaniu z Eckersbergsgate; przypomniał sobie chłód ciągnący od drzwi: co to było? sięgnął do policzka, otarł czoło, poczuł, że marznie, pewnie początek przeziębienia, pomyślał i znów ogarnęło go to dziwne uczucie: jakby zaczął unosić się w powietrzu, a przecież trzymał się parkanu; widział siebie z odległości dobrych dziesięciu metrów; widział, jak stoi, trzymając się parkanu, tyle że go tam nie było: widział Skarphedina Olsena, jednego z najbardziej doświadczonych śledczych Policji Kryminalnej, jednego z najbardziej zaufanych ludzi w Centrali, prawą rękę szefa, od dawna zresztą, bo pracował tam już dobre dwadzieścia lat, słynącego z twardych, ale skutecznych metod pracy, które doprowadziły do rozwiązania wielu trudnych spraw; dlaczego więc stoi tu teraz i ma wrażenie, że rozplywa się we mgle? Przecież jest zdrowy, doszedł już do siebie po stracie żony Lise i ich córki Kathrine; szok po ich śmierci spowodował u niego krótkotrwałe zaburzenia natury psychicznej, które jednak dzięki pomocy lekarzy i cierpliwości kolegów z pracy udało mu się przezwyciężyć; miał to już za sobą! Zły czas minął, więc dlaczego stoi tu teraz, mając wrażenie, że jest częścią mgły, że się zdematerializował; że jest ulotny, tego określenia Anna Lovli też kiedyś użyła, dlaczego?

Detektyw pokręcił zdecydowanie głową.

Puścił pręty ogrodzenia.

Stał teraz sam.

Wrócił do własnego ciała.

Oczywiście cały czas w nim był, prychnął pogardliwie; wyciągnął chustkę i wydmuchał nos tak głośno, że przechodząca obok kobieta z pudełkiem przestraszona odskoczyła na bok: Olsen, przywołał siebie do porządku, masz sprawę, niezwykle ciekawą; zresztą większość spraw, które do niego trafiały, była wyzwaniem dla jego rozumu; to znaczy * do tej pory tak było, a teraz? Może się mylił, ale miał wrażenie, że ostatnio z coraz większą niechęcią pokonywał korytarze Centrali Policji Kryminalnej; patrzył na pokoje przesłuchań, na odrażające czerwone linoleum, po którym ciągle chodził, wędrując z pokoju do pokoju z ciężkimi aktami pod pachą; zdecydowanie lepiej czuł się ze swoim siostrzeńcem w jego restauracji, gdzie często siadywali, rozkoszując się świetnie skomponowanymi daniami, którym towarzyszyły idealnie dobrane wina, i rozmawiali na najróżniejsze tematy; jaka więc przyszłość go czeka? Niedługo skończę sześćdziesiąt lat, pomyślał, i, do diabła, jestem bardzo konkretny, wcale nie ulotny! krzyczał w nim jakiś głos. Zniknij, mgło! pomyślał i mgła natychmiast jakby nieco się rozproszyła, na tyle, że znów był w stanie dojrzeć dachy domów na Haxthausensgate; nagle z rozmyślań wyrwał go dźwięk własnego telefonu komórkowego.

* Słucham? * powiedział, stając przy oknie wystawowym.

* Cześć, to znów ja, Jon.

* Dobrze, jestem już w drodze.

* Stało się chyba coś ważnego.

* Co takiego?

* Wybuch... Bomba w samochodzie... Zamach...

* O czym ty, do diabła, mówisz?

Skarphedin otulił się szczelniej płaszczem i przywarł do okna wystawowego, słuchając, co Jon Furhelle miał mu do powiedzenia: okazało się mianowicie, że dosłownie przed chwilą

ekspłodowała bomba umieszczona w samochodzie zaparkowanym na rogu Cato Guldbergsvei i Gabels gate; niestety młode małżeństwo, które było w samochodzie, zginęło na miejscu; paskudna sprawa. Furhelle usłyszał wiadomość, kiedy * jak to miał w zwyczaju, gdy pracował nad nudnymi sprawami, w tym przypadku ośmioma gęsto zapisanymi zeszytami * podłączył się do wewnętrznego radia policyjnego; śledził rozgrywający się dramat minuta po minucie, bez większego uszczerbku dla wykonywanej przez niego pracy; wzdrygnął się jednak, usłyszawszy, że para, która zginęła w zamachu, zaledwie przed kilkoma dniami wróciła do Norwegii po dłuższym pobycie w rejonie Morza Martwego, a jakby tego nie było dosyć, przebywali w małej wiosce, w Khirbet Qumran; dziwny zbieg okoliczności, pomyślał Furhelle i doszedł do wniosku, że może Olsen, jeśli jest gdzieś w pobliżu, uzna za celowe udać się na miejsce wypadku; mogły przecież pojawić się jakieś nowe informacje, no i w końcu mógł też istnieć jakiś związek między obiema sprawami.

Detektyw stał i wpatrywał się w aparat jeszcze dobrą chwilę po tym, jak Furhelle zakończył rozmowę: eksplozja, a więc to był ten huk, który słyszał, stojąc w oknie Biblioteki Uniwersyteckiej, tuż przed pierwszym telefonem od Furhelle. Dwoje zabitych! zamach bombowy? w Norwegii? skierowany przeciwko małżeństwu, które właśnie przyjechało z Izraela, znad Morza Martwego, z Khirbet Qumran? Ostatnie dwa słowa, których wcześniej nigdy nie słyszał, teraz nagle zaczęły pojawiać się niebezpiecznie często, czyżby rzeczy*wiście istniał jakiś związek? Skarphedin otulił się płaszczem i ruszył szybkim krokiem w stronę Bygdo Alle; wkrótce zobaczył pierwsze taśmy policyjne i migające światła policyjnych wozów, które przebijały się przez mgłę, dając kolorowe nierzeczywiste światło. Skarphe*din zerknął na zegarek; za kwadrans szósta, co znaczy, że od wybuchu minęły już dwie godziny; musiał torować sobie drogę wśród sporej grupy gapiów, w końcu jednak dotarł do funkcjonariusza pilnującego wjazdu na Gabels gate; wyciągnął policyjną legitymację i przekroczył biało*czerwoną taśmę, poczuł odłamki szkła pod stopami; zatrzymał się jakieś trzydzieści metrów od ciągle jeszcze dymiącego wraku czegoś, co kiedyś było samochodem, a konkretnie, jak dowiedział się po chwili, hondą Accord, model 1977; odsunął czubkiem buta resztki pękniętych opon; nie mógł nie zauważyć śladów krwi zarówno na asfalcie jezdni, jak i na chodniku; wszędzie pracowali policjanci, śledczy POT, służb specjalnych, czyżby w grę wchodził akt terroryzmu? Zabezpieczono spory teren i zajęto się okolicznymi mieszkańcami, którzy byli w szoku; wszędzie widać było wybite szyby, rozchodził się przykry zapach, a nad wrakiem unosił się szary dym; cichym głosem wydawano polecenia strażakom, strażnikom miejskim i śledczym: Skarphedin wyprostował się i omijając porzucane części samochodu, ruszył w stronę osoby stojącej w środku niewielkiej grupy urzędników Policji Kryminalnej z Oslo; osoby, którą dobrze znał, więc doskonale wiedział, że mimo potężnej, nieco męskiej budowy ciała, niskiego głosu i władczego tonu, osoba ta ma także zupełnie inne cechy, którymi jednak nie afiszowała się w obecnej sytuacji, a mianowicie kobiecy wdzięk i dużą pokorę wobec zawodu, który sobie wybrała: Skarphedin Olsen nie znał żadnej innej funkcjonariuszki, która potrafiłaby być bardziej kobieca niż Rakel Starkabel, i niewielu funkcjonariuszy, którzy przewyższaliby ją skutecznością działania i odwagą w krytycznych momentach.

Pomachał ręką.

Kobieta spojrzała na niego zdziwionym wzrokiem.

Pokiwał jej głową.

Chwilę potem detektyw Skarphedin Olsen i szefowa działu Rakel Starkabel stali w bramie, rozmawiając półgłosem; trwało to zaledwie dziesięć minut, ale właśnie w tym czasie zaczęło padać; wielkie

krople deszczu nie zdołały jednak rozproszyć mgły gnębiącej mieszkańców Oslo już od wielu dni; a podobno miało być jeszcze gorzej.

Andre Fulcanelli znika bez śladu

Paryż, 4 sierpnia (PP, IPI) * Zniknięcie znanego kontrowersyjnego fizyka, Andre Fulcanelliego, staje się coraz bardziej tajemnicze. Fizyk zniknął już siedem miesięcy temu; na początku lutego opuścił laboratorium i wszelki ślad po nim zaginął.

W swoim środowisku zawodowym Fulcanelli był postacią kontrowersyjną; twierdził bowiem, iż technika próżniowa pozwoliła mu znaleźć argumenty zaprzeczające tezie o absolutnej stabilności materii, jednak * jak powszechnie wiadomo * mimo silnych nacisków nie godził się przed wybuchem wojny udostępnić wyników swoich badań ministerstwu obrony.

Andre Fulcanelli ma 64 lata, jest wysokim, szczupłym mężczyzną o młodzieńczym wyglądzie.

Krótką notatką z „Liberation”, Paryż, sierpień 1946.

Pojawia się nazwisko Augusta Strindberga, okazuje się, że nikt nie sprawdził zawartości pojemników

na śmieci, ale Olsen się uśmiecha

Była już prawie siódma wieczorem, kiedy czterech śledczych wchodzących w skład zespołu zebrało się w niewielkiej sali zebrań przylegającej do pokoju Skarphedina Olsena: Jon Furhelle z trudem otwierał oczy, trzymając rękę na stosie papierów, Tor Jonson ziewał i drapał się w krocze, zaś Peder Ungbeldt otworzył pudełko mentolowych pastylek, włożył trzy do ust i natychmiast tego pożałował, widząc spojrzenie, które posłał mu Skarphedin.

* Miętusy? * spytał detektyw, patrząc spod oka na Ungbeldta, który od razu schował pudełko z powrotem do kieszeni na piersi i podniósł rękę przeproszającym gestem, uprzedzając w ten sposób wykład na temat niszczącego wpływu zapachu mentolu na wrażliwe kubeczki smakowe w jamie ustnej, którego jego kolega nie omieszkałby wygłosić; teraz jednak Olsen położył dłoń na teczce zawierającej wszystkie dotychczasowe raporty w sprawie i nakazał wszystkim pełne skupienie.

* Tor, przejrzałeś raporty. Mamy jakiś punkt zaczepienia?

* „Nie uciekaj przede mną, wężu, bo ja nie jestem człowiekiem...” * warknął Tor Jonson; poprawił się na krześle, włożył na nos okulary do czytania, wziął teczki i zaczął przeglądać papiery.

* Mamy raport Maltstuenta, a ponieważ on nie ma skłonności do pomijania czegokolwiek, więc jest dużo szczegółów. Mieszkanie, w który mieszkał zaginiony mężczyzna, zostało dosłownie przeczesane, każda drobinka kurzu została zbadana pod mikroskopem: znaleziono zwykły kurz, ale także i inne rzeczy, jak wynika z raportu Maltstuenta. Ciekawe są jego uwagi dotyczące * używając jego własnej terminologii * fragmentariae cosmeticae łazienki; tak więc znaleziono tam ślady mydła marki „Lano”, resztki płynu do płukania ust „Cool*mint” i pianki do golenia oraz różnych innych kosmetyków nie budzących szczególnego zainteresowania, ale były tam także resztki kremów koloryzujących oraz, co dziwne, na dolnej ramie lustra, tuż nad umywalką, mikroskopijne ślady szminki, karminowy róż marki Chri*stian Dior; Maltstuen jest tego pewien, ponieważ firma ta jako jedyna nadal używa do produkcji sproszkowanych martwych wszy; poza tym Maltstuen uważa, że ślad jest stosunkowo świeży. Inne ślady znalezione w kuchni i sypialni są moim zdaniem raczej mało interesujące. Furhelle i Olsen notowali, a Jonson mówił dalej:

* Mieszkanie było opróżnione ze wszystkich mebli, sprzętów gospodarstwa domowego, wszystkiego, co mogłoby wskazywać, że ktoś je niedawno zamieszkiwał. Tym niemniej znaleziono cztery dziwne rzeczy: wazon z siedmioma stosunkowo świeżymi liliami, który stał na parapecie w kuchni; osiem zeszytów leżących w kominku; pokaźną kupkę żelaznych opiłków na progu sypialni, a także * co nie mniej ważne * kupkę złotego pyłu w jednym z narożników pokoju. Cytuję notatki Maltstuenta, zachowując jego terminologię:

* Item 1: Wazon, huta szkła w Hadeland, model Aurora, rok produkcji 1963*68, zawierający wodę sprzed trzech do siedmiu dni oraz sześć lili odmiany „Journey's End”; jest to gatunek hybrydowy, wyhodowany w Nowej Zelandii; na wszystkich liliach znaleziono fragmenty zarodników chlamydii i grzybnie; analiza nie została jeszcze ukończona. Lilie są względnie świeże.

Skarphedin zmarszczył czoło, ale nic nie powiedział.

* Item 2: Osiem zeszytów typu Andvord nrT*237638, gęsto zapisanych; notatki dotyczą alchemii, pisane są ołówkiem typu Penol.

* Item 3: 34 gramy drobno zmielonych żelaznych opiłków o dużej zawartości arszeniku; pochodzą prawdopodobnie z kopalni Folldal w Hjerkin;

* Item 4: 75 gramów złotego pyłu o wyjątkowo dużym stopniu czystości; być może to tellurem złota, sylvanit, który występuje na tureckim wybrzeżu likijskim. * Jonson zrobił przerwę.

* Złoto i lilie * powiedział Skarphedin, bębniąc palcami w blat. * „Journey's End”, jakżeby inaczej. Krew. Tor, co Maltstuen o tym pisze?

* Jest cały rozdział poświęcony analizie krwi; to chyba bardzo rzadka grupa, RH minus z antygenem D; przeprowadzono też badania DNA, ale wyniki będą znane dopiero za kilka dni; przesłaliśmy wszystkie dane z adnotacją „pilne” do ekspertów w Santiago de Compostela, w Hiszpanii. Większość ciałek krwi zdaje się być skryształizowana, powód tego * na tym etapie badań * jest trudny do ustalenia. Chodzi o prawie cztery litry ludzkiej krwi, która mogła być rozlana na podłodze przez trzy do ośmiu dni.

* Włosy? Odciski palców? * spytał Ungbeldt, stukając palcem w pudełko z miętusami w kieszeni na piersi.

* Wynik negatywny * odpowiedział Jonson. * I to wydaje się podejrzane. Po zapoznaniu się z raportami mam wrażenie, że mieszkanie zostało bardzo dokładnie wyczyszczone ze wszystkich śladów, natomiast świadomie zostawiono pewne, łatwe do zauważenia tropy, bo jak inaczej określić zeszyty z notatkami z dziedziny alchemii, złoty pył, ludzką krew i lilie z Nowej Zelandii? Tak więc po przestudiowaniu raportów i wyników badań technicznych jestem niemal pewien, że pozostawione ślady mają nas do czegoś zaprowadzić, podrzucić jakiś pomysł, tylko w jakim celu?

* Albo wręcz przeciwnie * wymamrotał Furhelle. * Może raczej mają nas wyprowadzić w pole; będziemy łamać sobie głowy, oddalając się od sedna sprawy.

* Właśnie, właśnie! * zawołał Skarphedin, biorąc do ręki stos zdjęć z mieszkania, pokazujących miejsca, w których znaleziono omawiane wcześniej rzeczy; siedział chwilę, przypatrując się im.

Następnie podał je pozostałym, wstał z krzesła, wziął do ręki mazak i na wiszącej na tablicy białej kartce papieru napisał: Szminka

Kremy koloryzujące Zarodniki chlamydii i grzybnie Skryształizowana krew

* To * powiedział* są być może, powtarzam: być może, konkretne ślady, których powinniśmy się trzymać, oczywiście w ramach zdrowego rozsądku. Twoim zadaniem na jutrzejsze zebranie, które odbędzie się o godzinie dwunastej zero zero, jest, Tor, nadal wywierać presję na

Maltstuen; tylko dajcie sobie spokój ze szminką; nie jesteśmy w stanie dotrzeć do wszystkich kobiet w tym mieście, które używają karminowej bądź karminoworóżowej szminki Diora * powiedział i usiadł.

* Twoja kolej * kiwnął po chwili głową w stronę Pедера.

Peder Ungbeldt odchrząknął i zaczął wyciągać notatki z teczki, którą cały czas trzymał na kolanach; spędził dzień na Saxegaar*dsgata, rozmawiając z sąsiadami i w ogóle z ludźmi, którzy mogli cokolwiek wiedzieć o zaginionym starszym mężczyźnie na wózku. Ungbeldt mówił cicho, dość monotonicznie, jak to miał w zwyczaju w takich sytuacjach; jeśli chodzi o

identyfikację mężczyzny, potwierdził, że w spisie ludności nie ma żadnego Arona Rhymfaxe, natomiast nazwiska takie jak Rhymfachs, Rimfakse, Rumfachs, Rum*menfaxe często były pseudonimami osób parających się właśnie alchemią bądź innymi bliskimi jej dziedzinami, czego dowiedział się podczas krótkiej rozmowy ze swoim dawnym znajomym, który zajmował się czymś tak niezwykłym, jak terapia kryształami; nawet August Strindberg w okresie fascynacji alchemią występował jako baron von Rumerfaxen; czyli krótko mówiąc, mamy do czynienia z osobą nieistniejącą, która jednakowoż według zeznań sąsiadów zamieszkiwała na Saxegaardsgata dokładnie przez rok i pięć miesięcy. Nikt z nich nie znał dobrze owego Arona Rhymfaxe; nikt nie odwiedzał go w jego mieszkaniu, wielu jednak rozmawiało z nim przy różnych okazjach i niemal każdy mógł coś o nim powiedzieć. Był to bardzo schludny, zawsze porządnie ubrany starszy pan, o miłym usposobieniu, kulturalnie się wyrażający, mówiący raczej bez akcentu, nieco nieśmiały, cierpiący na sclerosis multiplex, chorobę polegającą na tym, że w mózgu tworzą się drobne blizny blokujące niektóre połączenia nerwowe, dlatego też poruszał się na wózku; większość sąsiadów potrafiła go dość dokładnie opisać i przekazała swoje spostrzeżenia policyjnemu rysownikowi, wkrótce będzie więc można podać jego rysopis i wszcząć poszukiwania w całym kraju, mówił Ungbeldt; ledwie skończył, a Skarphedin aż podskoczył na krześle.

* Co ty opowiadasz?! Nie wiesz, że mamy do czynienia z TRUMNĄ?! Trzeba ich natychmiast powstrzymać! * krzyczał, a na twarzy Ungbeldta pojawił się rumieniec.

* Przepraszam, zupełnie wyleciało mi to z głowy * powiedział i sięgnął po telefon, żeby zmienić wydane wcześniej polecenie: żadnego poszukiwania, a policyjny rysownik ma oczywiście przekazać swoje szkice grupie specjalnej przy Centrali Policji Kryminalnej, kierowanej przez Skarphedina Olsena.

W zespole zapanowało lekkie poruszenie; fakt, że była to tego typu sprawa, oczywiście znacznie utrudniał dochodzenie, ponieważ żadne informacje nie mogły się przedostać na zewnątrz, nawet do innych działów Centrali. Mamrocząc coś pod nosem, Skarphedin podszedł do jedynej znajdującej się w pokoju szafy z archiwalnymi dokumentami, wyciągnął górną szufladę, w której było plastikowe pudełko pełne misternie ułożonych przynęt na ryby, zrobionych osobiście przez samego szefa Centrali, Arthura Krondala, i * tak, żeby nikt tego nie zauważył * przeciągnął ręką po piórkach Greenwells Glory; po chwili rysy jego twarzy złagodniały i wrócił na swoje krzesło.

* Mów dalej, Peder.

Ungbeldt odchrząknął i zaczął przerzucać notatki z rozmów z sąsiadami: rozmawiał ze wszystkimi, z wyjątkiem młodego mężczyzny, przewodnika, który dopiero jutro miał wrócić do domu; jeden z jego rozmówców wydawał się szczególnie spostrzegawczy; to emeryt, który mieszka w mieszkaniu nad Rhymfaxe; nazywa się Isak Windjarn, ma sześćdziesiąt osiem lat, jest samotny i chyba był tą osobą, z którą Rhymfaxe rozmawiał najczęściej, chociaż Ungbeldt miał wrażenie, że ich rozmowy zawsze dotyczyły raczej mało istotnych spraw. Ungbeldt zakończył, zamknął teczkę z papierami i patrzył na Olsena.

* Przyjmował gości? * chciał wiedzieć Furhelle.

* Nie. Nikt z sąsiadów nie widział, żeby ktokolwiek wchodził bądź wychodził z mieszkania Rhymfaxe * odpowiedział Ungbeldt. * Poza tym * dodał jeszcze * nie wygląda na to, żeby w ostatnim czasie coś z mieszkania wynoszono, więc co się stało z jego rzeczami? Musiał przecież mieć przynajmniej łóżko i kilka krzeseł?

* Dziwne * wymamrotał Jon Furhelle.

* Owszem, nawet bardzo * zgodził się z nim Jonson. * „Napiszcie na grobie te słowa: On w ogóle nie żył”. Ktoś musiałby zauważyć, gdyby wynoszono jakieś meble.

Skarphedin popatrzył na swojego kolegę.

* Czasem mam wrażenie, Tor, że cytaty twojego imiennika wprowadzają jeszcze większe zamieszanie, niż cokolwiek wyjaśniają * powiedział. Siedział i nadal przyglądał się teczce Ungbeldta; na jednej z kartek wypisane były nazwiska sąsiadów:

Arnchild i Tor Rasmussen, małżeństwo emerytów Raul Ibn Hassan, rodzina z Palestyny mieszkająca pod numerem piątym

Isak Windjarn, emeryt

Monica Waal, 34 lata, samotna matka, dwójka dzieci, bezrobotna Josva Corbin, 36 lat, przewodnik turystyczny w firmie SUN*Tours Ali Haak Rhasoon, pakistańska rodzina mieszkająca pod numerem czwartym.

Olsen nie miał wątpliwości, że Ungbeldt wydobyl z nich wszystko, co dało się z nich wyciągnąć, mimo to podkreślił imię i nazwisko Isaka Windjarna, zanim włożył teczkę Ungbeldta do swojej torby; lektura do poduszki, mruknął niezadowolony.

* Trzy rzeczy, Peder * powiedział, mrużąc oczy. * Jutro musisz porozmawiać z kupcem, właścicielem sklepu, zapomnieliśmy o nim, i z tym przewodnikiem turystycznym Corbinem; poza tym sprawdź listę lokatorów, dowiedz się, kto kupił to mieszkanie, ktoś zdaje się wspomniał, że staruszek mieszkał tam niespełna półtora roku? I na koniec: sprawdź śmieci! Na pewno są tam jakieś kontenery na śmieci, do których warto zajrzeć, o ile nie były niedawno opróżniane. W raporcie nie ma ani słowa o śmieciach!

Peder Ungbeldt przytaknął i zanotował.

* Ty, drogi Jon * zwrócił się Olsen do Furhelle * zajmowałeś się cały dzień studiowaniem zeszytów, więc rozumiem, że jesteś już w stanie zamienić kamień w złoto, mam rację?

* Owszem, znalazłem przepis, ale nic wam nie powiem * roześmiał się Furhelle. * A teraz na serio: większość tego, co zapisano w zeszytach, to * moim zdaniem * bzdury, pozbawione jakiegokolwiek logiki czy sensu. Mam nadzieję, że twojemu siostrzeńcowi uda się wyczytać z nich coś więcej, chociaż nie bardzo wierzę, żeby było to możliwe. Zeszyt numer osiem, zeszyty są bowiem ponumerowane od pierwszego do ósmego, jest nieco bardziej zrozumiały. To w nim kilkakrotnie natknąłem się na słowa Khirbet Qumran, co * z tego, co zrozumiałem * jest nazwą miejscowości, która w starożytności była ważnym ośrodkiem alchemii i siedzibą ówczesnych kapłanów, ale, na Boga, to było tysiące lat temu! Potem jednak przypadkowo usłyszałem informację o tym okropnym zamachu, o wybuchu bomby, która kilka godzin temu zabiła małżeństwo na Ga*bels gate; okazuje się, że para niedawno wróciła z podróży na Bliski Wschód, z Khirbet Qumran nad Morzem Martwym; dziwny zbieg okoliczności, prawda? Dlatego zadzwoniłem do Skarphedina, prosząc, żeby na miejscu sprawdził, co się stało.

* Zapomnijmy o bombie, jeszcze do niej wrócimy * przerwał mu Skarphedin. * Powiedz, co znalazłeś w zeszytach, Jon? Masz analityczny umysł, na pewno do czegoś doszedłeś po tylu godzinach czytania?

Jon Furhelle potakiwał, wpatrując się w jakiś nieistniejący punkt na suficie; powiedział, że trudno z tego cokolwiek zrozumieć: były tam rysunki różnych kolb, aparatury, równania, chemiczne formuły, magiczne zaklęcia, trochę astrologii, w sumie same bzdury, pusta gadanina, nic takiego, żadnego sensownego punktu zaczepienia.

* No, świetnie * powiedział Skarphedin, marszcząc czoło. * Wykonałeś kawał dobrej roboty, Jon. Słyszeliście, co powiedział? Jakies bzdury, pusta gadanina; jeśli ty, ze swoim filozoficznym usposobieniem, tak to określasz, to wniosek z tego płynie jeden: mieszkanie Rhymfaxe to po prostu jeden wielki blef, od początku do końca!

* Albo przeciwnie * powiedział cicho Tor Jonson.

* Może to kombinacja jednego i drugiego * dorzucił Ungbeldt. Skarphedin podszedł do tablicy i dopisał kolejne słowa: Wszystko to blef, fałszywy trop

Khirbet Qumran

Zbliżała się dziewiąta, czy na zewnątrz nadal jest widno, jest kwiecień? wiosna? Mgła ciągle spowijała wieżowce na Etterstad, gdzie mieściła się Centrala Policji Kryminalnej; czterech śledczych stało w oknie, trzymając w rękach kieliszki wina. Skarphedin przyniósł bowiem ze swojego pokoju pół butelki Chateaux Paveil*de*Luze, świetny rocznik, i rozlał do kieliszków, potem rozpakował mały kawałek sera, francuskiego chevre, który znalazł w lodówce, pokroił go na małe kwadraciki i położył na talerzyku, a obok niego wykałaczki.

* Zastanówcie się, chłopcy. Trzeba przejść od szczegółów do spraw bardziej ogólnych. Zaczęli się zastanawiać, stali w oknie i rozmyślali, sącąc wino i pogryzając kawałki sera; starali się przeniknąć mgłę; obserwowali, jak drobne kryształki zamarznętego śniegu przywierały do okiennej szyby, czy mgła składa się ze śnieżnych kryształków? owszem, ale i z wielu innych składników, lecz tego oni nie wiedzieli, tym bardziej nie byli w stanie tego zobaczyć. Nie mieli na przykład pojęcia o tym, że mały, sześciolatek chłopiec właśnie w tej chwili szedł Bygdo Alle, kierując się w stronę Niels Juels gate, dotarł do Frogner*veien, przeciął ją i ruszył dalej Haxthaysens gate; buzia chłopca była cała we łzach, ale nikt zdawał się go nie zauważać; chłopiec marzył, miał sine, popękane wargi, kosmyki jego płowych włosów oblepiały mu czoło; tulił do piersi kosmatą maskotkę, szedł pod ścianami budynków; nagle zatrzymał się przed jakąś bramą, była otwarta, zawahał się i wszedł; znalazł się na podwórzu, gdzie stały ławki otoczone żywopłotem, krążył chwilę i w końcu usiadł. * Mamo... Tato... * zapłakał ledwie słyszalnie; zamknął oczy, opuścił brodę na piersi; siedział oparty o krzaki, jakby spał; nagle się wzdrygnął, zamrugał, powtórzył te same dwa słowa i zaczął szlochać; miał mokrą kurtkę, mokre spodnie; siedział cicho, oczy same mu się zamykały, spał? Tego nikt nie wiedział, a już na pewno nie śledczy, którzy pograżeni w myślach stali w oknie, wychylając ostatnie łyki Bordeaux.

* Przekłęta mgła * zamruczał Tor Jonson.

* Kiepsko * przytaknął Furchelle.

* Chłopcy * powiedział Skarphedin. * Koniec przerwy. Jednak zanim się rozejdziemy, ja też chciałem wam coś powiedzieć.

Wrócili na swoje miejsca, Skarphedin zmrużył oczy, czy te dwie małe szparki w poranej głębokimi zmarszczkami chudej twarzy zdradzały zmęczenie? Być może, ale jego głos brzmiał raźnie; mówił jasno i zwięźle: opowiedział o wizycie na miejscu zamachu, gdzie odbył krótką rozmowę z prowadzącą śledztwo, panią Starkabel, kobietą, którą dość dobrze znał * jak dobrze, o tym już nie wspomniął * i która zdawała się poruszona tym tragicznym zdarzeniem, co raczej nie było do niej podobne, podkreślił detektyw. Nie była w stanie udzielić mu zbyt wielu informacji, powiedziała jedynie, że para, która zginęła w wybuchu, wynajmowała mieszkanie na Gabels gate; nikt z okolicznych mieszkańców nie znał pary zbyt dobrze, ktoś jednak powiedział policji, że w ubiegłym tygodniu para wróciła do domu po dłuższym pobycie nad Morzem Czerwonym i że, zdaje się, mieli wkrótce znów gdzieś jechać, tym razem jednak nie za granicę; początkowo Starkabel nie chciała mu podać nazwisk ofiar, ale sobie tylko znanym sposobem wydobył z niej w końcu, że samochód był zarejestrowany na mężczyznę o nazwisku David Gartland, trzydzieści siedem lat, przedsiębiorca; w samochodzie była prawdopodobnie jego żona, Eva Gartland, w chwili wybuchu siedziała obok niego z przodu; Starkabel niewiele więcej wiedziała, zakończył Skarphedin, patrząc na Jona Furchelle. Furchelle wytrzymał jego spojrzenie.

* Nad Morzem Czerwonym? * spytał w końcu. Skarphedin przytaknął.

* Naprawdę powiedziała, że nad Morzem Czerwonym? Jestem na sto procent pewien, że w informacjach w radiu policyjnym podano, że wrócili znad Morza Martwego; padły jeszcze dwie nazwy: Izrael i Khirbet Qumran * powiedział Jon, uderzając dłonią w stół.

* OK, OK, możliwe, że nie znali wtedy jeszcze wszystkich szczegółów, zresztą nie chciałem wypytywać; podejrzewam, że nie byłaby zachwycona, że siedzimy i przysłuchujemy się ich wewnętrznym komunikatom. Jutro sprawdzę wszystko osobiście i poproszę o rozmowę, żeby

przekonać się, czy sprawa może mieć związek z naszym dochodzeniem. Poza tym chciałbym, żebyś powęszył trochę w okolicy Gabels gate; może uda ci się znaleźć kogoś, kto znał parę nieco lepiej. Teraz krótkie podsumowanie i wracamy do domu; jutro o dwunastej znów się tu spotykamy.

Pół godziny później śledczy się rozeszli.

Skarphedin szedł wolnym krokiem w stronę wiaduktu nad autostradą, zerkając ponuro w stronę cmentarza i ledwie widocznych we mgle grobów; zbliżała się jedenasta; najrozsądniej zrobi, jeśli wsiądzie teraz do autobusu, pojedzie do domu, położy się do łóżka i nieco odpocznie, ale jest głodny; tak, czy ma coś w domu w lodówce? wątpliwe; zwolnił i się zatrzymał; zaczął się rozglądać za jakąś wolną taksówką. Jedzenie, pomyślał, jakieś pyszne, lekkie ciepłe danie, do tego pół butelki wina, może poprzedzone kieliszeczkim jałowcówki? Na pewno pomogłoby mu pokonać zmęczenie i lekką depresję, która * czuł to wyraźnie * zaczynała go nękać; tak, tego potrzebował, żeby rozproszyć ponure myśli, a potem * już w nieco lepszym nastroju * powędrować do domu. Dokąd miałby pójść? W Oslo nie brakowało miejsc, gdzie można było dobrze zjeść, a Skarphedin Olsen znał większość z nich na tyle dobrze, że mógł spokojnie zająć nawet od kuchni; na pewno zostałby serdecznie powitany przez szefa, w restauracyjnym świetle stolicy cieszył się bowiem poważaniem, a jego słowa, czy to pochwały, czy nagany, zawsze odbijały się echem w rubrykach kulinarnych gazet. Kulinaria stały się jego pasją stosunkowo niedawno, kiedy to po śmierci żony Lise i ich córki Kat*hrine szanowany śledczy, prawa ręka szefa Policji Kryminalnej, Skarphedin Olsen, zaczął coraz rzadziej spożywać posiłki w domu, we własnej kuchni. Nadjechała wolna taksówka, dokąd miał się udać? Szybko podjął decyzję, wybierając przyjemne miejsce, gdzie mógł pozostać nierozpoznany: piwnicę Benta Stiansena w Statholdergaarden; zatrzymał taksówkę, wsiadł i niemal natychmiast wdał się w dyskusję z ciemnoskórym kierowcą o hinduskich budowlach, przede wszystkim o Taj Ma*hal; Olsen wyraził zachwyt nad geometrycznym układem otaczających mauzoleum ogrodów, stanowiących tło dla wieżyczek i kopuł wspaniałej budowli; kierowca, Hindus, zdawał się równie zachwycony; podróż do Statlioldergaarden minęła szybciej, niż Olsen się spodziewał, i już po kilku minutach siedział w głębi urządzonej ze smakiem piwnicy.

Na stoliku przed nim stanął kieliszek świeżej jałowcówki.

Opróżnił go dwoma łykami i zajął się studiowaniem karty dań.

Piersz kaczki w sosie daktylowym.

Podawana z puree z ziemniaków z sherry.

Do tego pół butelki burgunda Cios de Vougeot, rocznik 1988.

Zamówił, rozkoszując się ciepłem; kieliszek jałowcówki przyjemnie go rozgrzał; miłe zakończenie stresującego dnia, pomyślał i zamówił kolejny kieliszek, czekając na swoje danie. Rzadko pijał coś mocniejszego niż wino, teraz jednak czuł potrzebę wypicia czegoś, co sprawiłoby, że gęsta mgła zniknie, a wraz z nią cała ta ponura sprawa: kim do licha był ten Rhymfaxe? Kto dzisiaj, będąc przy zdrowych zmysłach, próbowałby produkować złoto średniowiecznymi metodami? Jednak w mieszkaniu znaleziono złoty pył, bardzo czyste złoto, jeśli wierzyć analizom Maltstuen. Olsen popijał jałow*cówkę, mrużąc coś pod nosem; ciągle nie mógł się nadziwić, że zawsze, kiedy chodziło o TRUMNE, technicy i laboranci stawali na głowie, i wyniki, na które zwykle czekałby co najmniej tydzień, były gotowe niemal od ręki; pewnie dostali instrukcje od Krondala, uznał Skarphedin; bębnił lekko palcem wskazującym w stół: rzeczy znalezione w mieszkaniu Rhymfaksa były tak szczególne, że musiały być jakąś wskazówką, nie miał co do tego żadnych wątpliwości, tylko o co w tym wszystkim chodzi? Cztery litry ludzkiej krwi to nie żarty, nie zostały rozlane bez powodu, tym bardziej, że sprawca nawet nie starał się jej zetrzeć, dlaczego? Gdzieś musi być odpowiedź na to pytanie, pomyślał Skarphedin; kelner nalał mu wina do kieliszka, wziął łyk, pokiwał głową: gdzieś musi być odpowiedź, której ani on, ani żaden z trójki pozostałych

śledczych dotąd nie zauważył, doszedł do wniosku Skarphedin; jego myśli były teraz jasne i klarowne; zanurzył palec w miseczkę z wyborną oliwą, posmakował i zabrał się za pierś kaczki: wyglądała smakowicie! do tego stopnia, że przywołał ręką kelnera i poprosił o przekazanie słów uznania dla kucharza. TRUMNA to były bardzo szczególne sprawy, które szef przekazywał mu dość regularnie, a on za każdym razem zabierał się do nich z mieszanymi uczuciami, niekiedy wręcz z agresją, wynikającą z tego, że chodziło o sprawy utajnione na bardzo wysokim szczeblu; że było to coś, co należało ukrywać, nie bardzo wiadomo z jakiego powodu; nawet sprawy, które w końcu zostały rozwiązane, w kilku przypadkach nadal pozostały tajne; właśnie to bardzo się nie podobało Skarp*hedinowi Olsenowi i niechętnie podejmował się śledztw, w których za sznurki pociągał ktoś, kogo istnienia nawet nie był świadom, bo mogłyby zaszkodzić komuś potężnemu w aparacie władzy czy administracji; a jednak część z nich była tak intrygująca, że stanowiła nie lada wyzwanie dla jego umysłu, a on * niekiedy nawet wbrew sobie * podejmował się ich, dając z siebie wszystko. Odłożył widelec i sięgnął po łyżeczkę; sos daktylowy okazał się wyjątkowy, wręcz wyborny! trzymał go chwilę w ustach, zastanawiając się, co zawiera. Oczywiście mus z daktyli, i to przedniego gatunku, wymieszany ze śmietaną? rozcieńczony bulionem z kaczki? z dodatkiem koniaku? możliwe, nie chciał zmuszać szefa kuchni do odkrycia swoich tajemnic; złoto, krew, lilie, doprawdy dziwna kombinacja, pomyślał, zapewne kryje się za tym coś więcej, coś, co należy ukryć, tylko przed kim? dlatego sprawa trafiła do TRUMNY. Detektyw poczuł nagły przypływ adrenaliny, ale opróżnił kieliszek i od razu się uspokoił; da się jeszcze skusić na filiżankę kawy i kieliszek armaniaku? Jasne, posiłek był wyborny i powinien zakończyć go równie elegancko; a jeśli jednak istnieje związek między zniknięciem starszego pana a zamachem? Tego chyba ci, którzy postanowili o utajnieniu śledztwa, nie byli w stanie przewidzieć? jeśli taki związek istnieje, to czy sprawa pozostanie tajna? Zamach trudno ukryć, jutro informacje o nim na pewno pojawią się na pierwszych stronach wszystkich gazet, trafią do programów telewizyjnych; ofiary zostaną zidentyfikowane, ich życie zostanie wystawione na widok publiczny; padną pytania o motyw, rozpocznie się poszukiwanie sprawcy/sprawców; na stole pojawiła się kawa z ar*maniakiem; Olsen zmrużył oczy i rozgryzł kostkę cukru. POT miał dobrych ludzi; do nich należała także Starkabel; wiedział jednak, że jeśli trzeba będzie, na pewno zaciągną zasłonę dymną wokół sprawy; Rakel, pomyślał Skarphedin; dobrze, że właśnie ty prowadzisz to dochodzenie; musimy się spotkać i porozmawiać, i to szybko, chcę jak najszybciej się dowiedzieć, czy te sprawy są ze sobą powiązane! czy mamy je ze sobą łączyć, czy nie, zastanawiał się, popijając arma*niak. Olsen siedział z zamkniętymi oczami, był skupiony; analizował szczegóły związane ze sprawą, drapał się w głowę, próbował różnych punktów widzenia; nagle usłyszał, jak mówi na głos:

* Prototyp bomby atomowej * radioaktywny pluton; Fulcanel*li nie został potraktowany poważnie, uznano go za alchemika * marzyciela ; po wojnie zniknął bez śladu.

Cytował fragmenty tekstu z okładki książki o Fulcanellim.

Znów pojawił się ten błysk.

I znów poczuł niepokój.

O czymś powinien był pamiętać.

Z całej siły próbował się skupić, spojrzeć w głąb swojej świadomości; kilka razy w życiu to mu się udało, więc robił teraz wszystko, żeby dotrzeć do właściwego obrazu; miał przed oczami różne sceny i sytuacje; gdzieś z prawej strony hypothalamus? ale właściwy obraz się nie pojawiał; żadnych sensorycznych skojarzeń. Skarphedin wyprostował się, przywołał kelnera i poprosił o rachunek; zbliżała się północ, pojedzie do domu, odpocznie; jutrzejszy dzień zapowiadał się pracowicie; wyszedł z restauracji, na zewnątrz poczuł mokrą mgłę na twarzy, jakby była żywym organizmem, który ukochał sobie właśnie to miasto i tej wiosny postanowił poznać wszystkich jego mieszkańców.

* Niech to szlag! * krzyknął. Nikt go nie usłyszał.

Ulice były niemal puste.

Po dziesięciu minutach czekania pojawiła się wolna taksówka.

Wtedy podjął decyzję.

* Na Saxegaardsgata 1 * powiedział do kierowcy.

Przyszedł mu do głowy pewien pomysł, pewna myśl; postanowił zajrzeć na Stare Miasto; zanim wróci do domu, musi jeszcze coś sprawdzić; nie nakładał zbyt drogi; poprosił, żeby taksówka zatrzymała się przy Gospodzie na Starym Mieście; tam toczyło się życie, słychać było rozmowy, głośną muzykę. Szedł Oslogate w stronę mostu Dyveke Bro i wkrótce znalazł się na Saxegaardsgata; zatrzymał się przed numerem pierwszym: czyż kilka lat temu nie kupił tu czegoś? to możliwe, pomyślał, w ciągu ostatnich trzydziestu lat był w wielu miejscach; stał chwilę i patrzył, kiwał głową; z miejsca, gdzie stał, miał dobry widok na całą starą kamienicę i podwórze. Na parterze miała swoje biuro Armia Zbawienia; na parterze mieszkał też RJimfaxe, tyle że jego mieszkanie było po drugiej stronie kamienicy i miało wejście od podwórza; widział okno jego mieszkania, jedyne, które wychodziło na ulicę; oczywiście było ciemne, w mieszkaniu nie było ani firanek, ani zasłon, mimo że był to parter; okno było tak wysoko, że żaden przechodzień nie mógł zajrzeć do środka; kto mógł mieć

wgląd do

mieszkania Rhymfaxe? to właśnie chciał sprawdzić. Przebiegł truchtem ulicę i stanął dokładnie pod oknem mieszkania, w którym mieszkał mężczyzna; patrzył na dom po drugiej stronie ulicy; była to stara trzypiętrowa kamienica; na parterze był sklep kolonialny, na piętrze w jednym z mieszkań paliło się światło, na trzecim też, na drugim było ciemno; możliwe, że mieszkanie było niezamieszkane, ale ludzie, którzy mieszkali na pierwszym i na trzecim piętrze, mieli wgląd do mieszkania starszego pana, tym bardziej, że w pokoju nie było firanek; musi to sprawdzić z samego rana; Skarphedin uśmiechnął się; po to właśnie tu przyjechał w środku nocy, kiedy już dawno powinien leżeć w łóżku. Otulił się szczelnie płaszczem: na ulicy nie było ludzi, ciekawe, czy pojawiają się tu taksówki? nie widział żadnej, słyszał natomiast odgłosy tramwaju jadącego Oslogate, po chwili tramwaj wyłonił się z mgły, by równie szybko zniknąć, zmierzając w stronę miejskiego szpitala; ma czekać, aż pojawi się drugi tramwaj, jadący w przeciwnym kierunku, czy też raczej powinien zacząć iść; już miał ruszyć w stronę Bispega*ta, kiedy nagle zwrócił uwagę na człowieka stojącego na moście jakieś trzydzieści metrów od niego; człowiek ten stał zupełnie nieruchomo i patrzył na niego; Skarphedin odwzajemnił spojrzenie; zmrużył oczy: jak długo mężczyzna mu się przyglądał? Bo to był mężczyzna, był wysoki i podobnie jak on miał na sobie płaszcz ściągnięty paskiem; poza tym miał na głowie ciemny kapelusz; twarzy nie było widać; odległość była zbyt duża. Idź, rusz się, nie stój tu, człowieku! miał ochotę zawołać, ale mężczyzna nadal stał z twarzą zwróconą w stronę detektywa; Skarphedina przeszedł dreszcz: dlaczego ten facet tam stoi? może * podobnie jak on * czeka na tramwaj albo na taksówkę? Ale dlaczego na niego patrzy? nagle wszystko przysłonił obłok mgły i Skarphedin zrobił krok w jego stronę, a wtedy mężczyzna odwrócił się do niego plecami. Chcę zobaczyć twoją twarz, pomyślał Skarphedin, usłyszeć, jak mówisz, że czekasz na taksówkę! Szedł dalej w stronę mężczyzny; kiedy był już jakieś dziesięć metrów od niego, mężczyzna też zaczął iść, w kierunku szpitala. A niech to! warknął Skarphedin, zagryzł zęby i przyspieszył kroku: co ja wyprawiam, do licha? śledzę zupełnie obcą osobę w środku nocy? Coś jednak kazało mu to robić, iść za nieznanym mężczyzną, który nie odwracając się, szedł szybko przed siebie; wkrótce minął szpital i ruszył w stronę skrzyżowania, od którego odchodziła ulica, przy której mieściła się Wyższa Szkoła Morska; kilka razy mężczyzna zniknął we mgle i Skarphedin musiał niemal biec; kiedy znów widział przed sobą zarys jego sylwetki, zwalniał kroku.

* Hej! * usłyszał swój własny głos. Żadnej reakcji.

Mężczyzna szedł dalej szybkim, zdecydowanym krokiem.

* Chciałem spytać...

Mężczyzna nagle zszedł z chodnika i wszedł na ścieżkę prowadzącą na wzgórze Ekeberg, kierując się do budynku nieistniejącej już restauracji; Skarphedin był w niej kilka razy; było to dawno temu, ale pamiętał, że ścieżka prowadziła stromo pod górę, a dookoła był gęsty las; zachowując się bardzo nierozsądnie, pomyślał, wbiegając po stopniach. Zobaczył, jak mężczyzna znika w lesie, i podążył za nim; szybki marsz rozgrzał go, jednak nie był w najgorszej kondycji; biegł, chcąc jak najszybciej dogonić nieznanego: gdzie on zniknął? przed nim na ścieżce nie było nikogo; wpatrywał się we mgłę; ścieżka wiła się gdzieś w górze.

* Hej! Halo! * zawołał ponownie. Zatrzymał się.

Stał i nasłuchiwał.

Cisza, słychać było jedynie szum samochodów w dole na autostradzie; trudno, pomyślał, co za głupota; na pewno wystraszył faceta, ale dlaczego tak mu się przyglądał? Skarphedin wypuścił powietrze z płuc i jeszcze raz zerknął na ścieżkę, potem na las; nigdzie jednak nie widać było nieznanego w kapeluszu; odwrócił się i zaczął schodzić, kiedy nagle wyczuł za sobą jakiś ruch; nie zdążył się odwrócić, kiedy otrzymał silne uderzenie w plecy i upadł jak długi, poczuł, jak ktoś brutalnie wykręca mu rękę, wylądował na ziemi dokładnie w takiej pozycji, w jakiej * zgodnie z tym, co wiele lat temu uczono go w Szkole Policyjnej * powinien leżeć przestępca, powalony na ziemię przez sprawnego i wytrenowanego policjanta.

* Czas zwolnić się z pracy w Centrali, Olsen. Głos był niski, spokojny.

* „Kasserollen” to jest miejsce dla ciebie; zapewni ci spokojniejszą starość.

* Kim ty, do diabła**? * Nie zdążył dokończyć pytania, bo jego głowa uderzyła o ziemię i poczuł w ustach piasek.

* Na Saxegaardsgata nic się nie wydarzyło!

Skarphedin nie był w stanie odpowiedzieć, w jego płucach nie było już powietrza; poczuł coś mokrego na policzku, coś śmierdzącego zatkało mu usta i nos; próbował się oswobodzić, ale bez powodzenia; nagle ogarnęła go błoga nicość, uśmiechnął się szeroko, a uśmiech szybko zaczął rozlewać się po całym jego ciele, dotarł do szyi, piersi, brzucha, do rąk, nóg, do stóp; ciało detektywa przestało istnieć, zamieniło się w jeden wielki uśmiech, który zlał się z przestrzenią wokół, gdzie wszystko było jasne i przyjemne.

Olsen, Skarphedin; ur.22.03.42: czwarta wizyta; stan bez zmian, chodzi jak zwykle do pracy; twierdzi, że zajmuje się bardzo ważnymi sprawami.

Problem polega na tym, że jego trauma wydaje mu się szalenie rzeczywista; tkwi całkowicie w swoim świecie wyobrażeń; często drwi z „prawdziwej” rzeczywistości; łapię się na tym, że czasem sam się zastanawiam, czy to, co Olsen przeżywa, to rzeczywistość, czy wytwór jego wyobraźni?

Niedługo miną cztery tygodnie od dnia, kiedy żona i córka Olsena zostały zabite; na pewno minie jeszcze dużo czasu, zanim Olsen wróci do prawdziwego świata.

Jestem przekonany, że z czasem wyzdrowieje, nie można jednak wykluczyć nawrotów choroby, gdyż mamy tu do czynienia z psychozą reaktywną.

Wymagana jest stopniowa, ostrożna terapia.

Przepisane leki: trifalon plus. Prolongatum, Perphenazin, 4 plus 4 miligramów

Z notatek psychologa Ernsta Sachmulda, pochodzących sprzed trzech lat; kilka miesięcy później Skarphedin Olsen został uznany za zdrowego.

Fredric Drum bada zgrzyz sumą, okazuje się, że Jezus mógł być esseńczykiem, a detektyw Olsen dostaje pewną wizytówkę

Wchodząc na halę, gdzie handlowano rybami, Fredric Drum od razu poczuł ostry zapach surowej ryby; lubił go, podobnie jak panującą tu atmosferę: ruch, zamieszanie, woń świeżych ryb; tak było tu codziennie około wpół do ósmej rano; można tu było wtedy spotkać szefów

kuchni najlepszych restauracji miasta, którzy z wielką uwagą sprawdzali kolor skrzeli partii leszczy albo mierzyli długość skrzydeł ptactwa sprowadzonego prosto z Australii; wszyscy zajęci byli poszukiwaniem najlepszych smakołyków, niewiele więc rozmawiano. Kiedy Fredric wszedł na halę, powitano go uprzejmym skinieniem głowy, on natomiast skierował się od razu do pochodzącego z południa kraju Tronda Moi, który stał skupiony nad skrzynką sumów z okolic More, zastanawiając się, czy rzeczywiście są to zęba*cze; smugowe? Rozpoznawał je, licząc rzędy zębów w górnej szczęce suma: czternaście, powiedział, ocierając krew z palca; czternaście, potwierdził Fredric, czyli był to zębacz smugowy; Moi wybrał cztery największe sztuki i ruszył w stronę skrzynki z flądrami, podczas gdy Fredric wybrał kilka mniejszych sumów, a potem odszedł na bok i zaczął podziwiać piękne łososie, sprawdzając ich czerwone skrze*la. Fredric nie spał całą noc, a jednak nie czuł zmęczenia; jego myśli krążyły wokół alchemii i ksiązek, które poprzedniego wieczoru zostawił mu wuj, no i tych ośmiu zeszytów, też bardzo dziwnych; pół nocy je czytał; coś w nich bardzo go niepokoiło.

Skończył zakupy; część sprawunków zabrał ze sobą, część miała mu zostać dosłana; wyszedł, wsiadł na rower i ruszył w górę Frog*nerveien w porannym tłoku i we mgle; kiedy dotarł do restauracji, zbliżała się ósma; miał teraz dwie, może trzy godziny dla siebie, zanim zjawią się uczniowie; to był czas wyłącznie dla niego, wtedy zapominał o wszystkim, co dotyczyło jedzenia, oddając się odczytywaniu starych, wymarłych już archaicznych języków; teraz jednak i to odsunął na bok, poświęcając się czemuś, co * jak się okazało * było nie mniej fascynujące, mianowicie alchemii; zaparzył sobie filiżankę czarnej, mocnej herbaty; posmarował kromkę ciemnego islandzkiego chleba masłem z serkiem z Ringebu, wyborna kombinacja; nastawił małe radio, żeby wysłuchać porannych wiadomości, po czym położył przed sobą na stole osiem wspomnianych już zeszytów.

Wiadomości były dzisiaj dłuższe niż zwykle.

Podano informację o zamachu na Gabels gate.

Zginęło młode małżeństwo.

Udało się ustalić tożsamość ofiar.

Policja nadal jednak nie zna motywu.

Zarówno POT, jak i Ministerstwo Spraw Zagranicznych były włączone w sprawę.

Sprawcy nie zostawili żadnych śladów.

Fredric miał już wyłączyć odbiornik, kiedy nagle aż podskoczył na krześle: lektor podał bowiem, że para wróciła niedawno do Norwegii po dłuższym pobycie na Bliskim Wschodzie, a dokładnie nad Morzem Martwym, gdzie bodajże uczestniczyła w badaniach w niedawno odkrytych jaskiniach; Fredric poczuł, że krew zaczyna mu żywiej krążyć; wybiegł do kuchni, potem wbiegł do garderoby, gdzie miał całą półkę ksiązek, pism, map i wycinków dotyczących interesujących go tematów, związanych z jego studiami nad językami pierwotnymi; długo szukał, w końcu udało mu się znaleźć to, czego potrzebował.

Była już prawie dziewiąta, kiedy detektyw Skarphedin Olsen się obudził, czasem lubił pospać trochę dłużej; wstał, czuł się całkowicie wypoczęty; poszedł do łazienki; dobrze przespana noc, to jest to, pomyślał, stając pod prysznicem; tej nocy naprawdę dobrze spał; o której wczoraj wrócił do domu? pamiętał, że zjadł dobrą kolację w piwnicy Statholdergaarden; tak dobrą, że nawet chyba zasnął w taksówce w drodze do domu; w ogóle tego nie pamiętał; nieważne, pomyślał, rzeczami nieistotnymi nie należy sobie zawracać głowy; zaczął śpiewać na głos stary przebój: „Seemann, komm bald wieder”, mocno przy tym fałszując. Całkowicie doszedł do siebie,

skąd ten doskonały humor? sprawa? jaka sprawa? zaczął trzeć oczy: tak, ta dziwna sprawa na Starym Mieście, starszy mężczyzna, złoto, krew i alchemia; zgodnie z postanowieniem szefa TRUMNA; chyba sobie zażartował; wycierając się, Olsen jeszcze raz wszystko przemyślał; no i był jeszcze ten zamach: bomba w samochodzie; dwie ofiary śmiertelne; niewykluczone,

że sprawy były ze sobą powiązane; w obu przypadkach pojawiała się ta sama nazwa: Morze Martwe. Skarphedin uśmiechnął się, pokiwał głową i zaczął się ubierać, potem ugotował trzy jajka, zaparzył kawę i przygotował tosty; zjadł śniadanie i zajrzał do komórki, gdzie przechowywał swój sprzęt wędkarski, panował tu duży porządek: na statywie stała wędka, którą zwykle łowił łososie; był już kwiecień, wkrótce rozpocznie się sezon łowienia łososi w potoku w Drammen! zaczął gwizdać; postanowił, że musi jak najprędzej doprowadzić do zakończenia sprawy; wtedy będzie mógł wziąć tydzień wolnego; jaka jest dzisiaj pogoda? wyjrzał przez okno.

Biała ściana.

Gęsta mgła.

Nie popsuło mu to humoru, ale kiedy wyszedł na zewnątrz i ruszył w stronę Bygdoy Alle, wilgoć w powietrzu sprawiła, że owinał się szczelniej płaszczem; zamierzał pójść spacerem i zajrzeć po drodze do „Kasserollen”, dowiedzieć się, czy Fredricowi udało się zrozumieć coś z tej całej alchemii; coś, co posłużyłoby mu za wskazówkę i pozwoliło pójść dalej, pojąc, co wydarzyło się w mieszkaniu na Saxegaardsgata, z którego zniknął Aron Rhymfaxe. Olsen poczuł na piersi nieprzyjemne swędzenie, szybko jednak o tym zapomniał, bo na skrzyżowaniu przy Erling Skjalgssons gate zderzyły się ze sobą trzy samochody, mgła, mgła! ta przekłeta mgła! przenikliwa, nieprzyjemna. Idąc Frognerveien, miał czas przemyśleć najważniejsze szczegóły związane ze sprawą i zastanawiał się, kto jeszcze mógł znać zaginionego mężczyznę? poza sąsiadami, może mieszkańcy domu po drugiej stronie ulicy? Nagle Skarphedin Olsen zatrzymał się, chwycił się za głowę; zaczął gwałtownie mrugać, poczuł jakiś ból; czyżby to był udar? zawał? Nie żeby bał się śmierci; ta go akurat nie przerażała, zresztą nie sądził, żeby umierał; zamrugał jeszcze kilka razy i ruszył dalej; spokojnie, pomyślał, szkoda tak dobrego nastroju; poza tym czekał go pracowity dzień, pełen ważnych zadań i dłuższa rozmowa ze Starkabel, która prowadziła dochodzenie w sprawie zamachu bombowego; dobrze, że właśnie ona, pomyślał i znów zaczął nucić; tuż przed wejściem do restauracji usłyszał sygnał swojego telefonu komórkowego; wyjął go z kieszeni:

* Słucham, mówi Olsen! * powiedział.

* Tu Jon. Pokręciłem się trochę po okolicy, gdzie wybuchła bomba.

* I?

* Trudno wydusić coś z mieszkańców; policja zakazała im wypowiadać się, no wiesz...

* Wiem, że masz swoje sposoby! Dzwonisz, bo to chciałeś mi powiedzieć? * spytał zgryźliwie Olsen.

* I tak, i nie. Mam swoje sposoby, ale nadal stoję w miejscu. Jest jednak coś, co może mogłoby cię zainteresować. Małżeństwo bardzo rzadko przebywało w swoim niewielkim mieszkanku, mieszkali tam może kilka tygodni w ciągu roku. Niewielu sąsiadów ich znało. Udało mi się zamienić kilka słów z mężczyzną z mieszkania obok; ponury gość, mało skory do rozmowy; kilka minut temu ruszył do swojego sklepu z antykami na Frognerveien, chyba gdzieś w pobliżu „Kasserollen”, więc gdybyś...

* Świetnie, Jon! * odpowiedział zadowolony Skarphedin. * Znam ten sklep. Zresztą jest niedaleko, zajrzę tam przed naszym spotkaniem o dwunastej. Pracuj dalej. Masz dla mnie coś jeszcze?

* Nie.

Skarphedin włożył aparat do kieszeni i zaczął się przyglądać ulicy; kilka przecznic dalej był sklep z antykami; jeśli dobrze pamiętał, był to mały sklepik, który niemal zawsze był zamknięty; parsknął niezadowolony; postanowił, że zajrzy tam po rozmowie z Fredri*kiem. Detektyw zatrzymał się przed wejściem do restauracji; zastanawiał się, dlaczego rano był w takim radosnym, nastroju? właściwie nie miał ku temu żadnego powodu, sprawa nadal pozostawała nierozwiązana i zaprzętała mu myśli; wciąż nie mamy żadnego śladu, za którym moglibyśmy podążyć, tak nie może być! uznał i energicznym ruchem otworzył drzwi do

restauracji; wszedł w półmrok; zobaczył Fredrica siedzącego jak zwykle przy stoliku w rogu lokalu.

* Witaj, wujku, dobrze, że jesteś! * odezwał się Fredric, zamykając książkę.

* Dlaczego dobrze? Wszystko już przeczytałeś? * spytał detektyw, siadając ; rozpiął płaszcz i otarł dłonią wilgotną twarz.

* Nie. Żeby to wszystko przejrzeć, potrzebuję więcej czasu, to kryptoteksty, żeby nie powiedzieć quasi*kryptoteksty.

* Ach tak * odrzekł detektyw, robiąc dziwną minę. Fredric przyglądał mu się zaciekawiony.

* Co ci jest? * spytał.

* Co mi jest? A co miałoby mi być, jeśli wolno spytać? * odpowiedział poirytowany.

* Jesteś jakiś... rozdrażniony?

* Dostyc tego, do licha! * zawołał detektyw, uderzając dłonią w stół. * Wciąż ktoś przyczepia mi jakieś łatki, a to jestem niezgłębiony, ulotny, surowy, a to rozdrażniony; powiem ci więc, że świetnie dzisiaj spałem, obudziłem się radosny i zadowolony; jestem normalnym, sympatycznym mężczyzną, który wykonuje swoją pracę, i tyle. Rozdrażniony! * prychnął oburzony.

* Przepraszam, wujku, nie to miałem na myśli * powiedział Fredric cicho. * Czasem się po prostu o ciebie martwię. Ale nie przejmuj się tym.

Olsen siedział chwilę i patrzył przed siebie; potem uśmiechnął się, pokiwał głową i spojrzał pytająco na swojego siostrzeńca.

* Masz mi coś do powiedzenia?

* Owszem. Przerwij mi, jeśli uznasz to za nieistotne i nie mające związku ze sprawą. Zacznę od krótkiego wprowadzenia w historię alchemii.

* Dobrze. * Skarphedin odchylił się na krześle i zamknął oczy* Alchemia * zaczął Fredric * to bardzo skomplikowana i obszerna dziedzina, obejmująca takie zagadnienia, jak na przykład sposoby pozyskiwania złota w wyniku procesów chemicznych/fizycznych, ale i bardziej teoretyczne kwestie, gdzie celem jest przede wszystkim nadanie życiu wyższego sensu, wzbogacenie go o wewnętrzną kontemplację, przypominającą nieco tę znaną nam z buddyzmu. Siłą napędową większości alchemików była jednak przede wszystkim żądza władzy i chęć zdobycia bogactwa, a konkretnie złota. Nie ma żadnych namacalnych dowodów, że jakiemuś alchemikowi udało się wyprodukować złoto, jednak istnieją pewne dość zadziwiające poszlaki.

Fredric przedstawił pokrótce najbardziej spektakularnych wytwórców złota w historii i ich metody pracy; wspominał też, że część z nich popadła w szaleństwo, niektórych uznano za heretyków i spalono na stosie. Opowiedział historię Holendra, Absalona Glu*temeera, który pierwotnie był czeladnikiem stolarskim, ale zainteresował się alchemią i skończył jako właściciel trzech wielkich majątków ziemskich; podobno obdarowywał ludzi złotem; pewnego dnia spalił wszystkie swoje księgi i notatki i zamilkł; milczał przez ostatnich pięćdziesiąt lat swojego życia; przepadł bez śladu w wieku dziewięćdziesięciu czterech lat. Było też kilka podobnych historii dotyczących innych alchemików, ale krążące o nich opowieści były dość wątpliwe. Następnie Fredric zaczął opisywać inną dziedzinę alchemii, koncentrującą się na poszukiwaniu Kamienia Mądrości, swego rodzaju wyższej świadomości, wiecznego życia; istniało wiele kierunków i szkół, często niepoważnych i czysto spekulatyw*nych, z wyjątkiem jednego nurtu, który miał wyjątkowo wielu zwolenników w kręgach intelektualnych, począwszy od XV wieku aż do wieku XIX; kierunek ten przeżywał swój rozkwit w sto lat po śmierci bardzo dziwnej osoby, mężczyzny znanego jako Paracelsus, który tak naprawdę nazywał się Theophrastus Bombastus von Ho*henheim.

Skarphedin zdawał się spać.

Nagle otworzył oczy.

* To może mieć dla mnie jakieś znaczenie? * wymamrotał ledwie słyszalnie.

* Uważam, że powinieneś mnie bardzo dokładnie wysłuchać * powiedział Fredric łagodnie. Wspomniany już Paracelsus żył w latach 1493 * 1543, był szwajcarskim lekarzem i przyrodnikiem, jednym z prekursorów chemii w medycynie, twórcą jatrochemii, odkrył niebagatelną ilość chemicznych powiązań; przez wiele lat pracował jako fizyk i profesor w Bazylei, jednak w pewnym momencie zrzekł się swojego stanowiska i zaczął podróżować po dalekich krajach, gdzie ponoć poszukiwał wiedzy i umiejętności; wiele jego notatek zaginęło, ale spora część nadal istnieje; jego nauka to mieszanina racjonalnej wiedzy chemicznej i medycznej oraz mistycznych spekulacji; teoretyczna część jego działalności, określana przez potomnych jako mistyczne spekulacje, dała początek nowej szkole, niezwykle zresztą interesującej, stwierdził Fredric, pochylając się nad stołem i próbując przyciągnąć wzrok Skarphedina; pytanie brzmi, skąd Paracelsus czerpał swą wiedzę? no właśnie! z Bliskiego Wschodu, a dokładnie z okolic Morza Martwego, źródłem jego wiedzy był bowiem tamtejszy klasztor, noszący znaną nam już nazwę * Khirbet Qumran.

* Co? * wzdrygnął się Skarphedin i otworzył oczy.

* Właśnie * potwierdził Fredric. * Moja intuicja mówi mi, że wpadłem na trop czegoś, co może mieć znaczenie dla sprawy, nad którą obecnie pracujesz. Słuchałem porannych „Wiadomości”.

Oczy Skarphedina zrobiły się szare.

Wskazał palcem na otwartą butelkę wina.

Fredric nalał mu kieliszek.

Znalazł w kuchni chevre.

Detektyw zajął się serem i winem; dochodziło wpół do jedenastej; Fredric kończył opowiadać swoją historię, która * jak zapewniał * była całkowicie udokumentowana: otóż tereny nad Morzem Martwym jeszcze na długo przed narodzinami Chrystusa zamieszkiwali esseńczycy, tworzyli oni niezwykle konserwatywną wspólnotę, wznosili klasztory i miejsca nauki; informacje o tym tajemniczym ludzie, plemieniu, czy może raczej sekcje, można było znaleźć w dziele zatytułowanym Quo omnis probus liber sit, autorstwa Filo*na, który żył w czasach niedługo po narodzinach Chrystusa. Najważniejszym ośrodkiem wspólnoty było Khirbet Qumran, którego historia sięga ponoć wiele tysięcy lat przed Chrystusem; lud ten posiadał rozległą wiedzę tajemną, która miała pochodzić od Persów i datować się od czasów Gilgamesza; współcześni archeologowie dokonali szeregu ważnych, wręcz sensacyjnych odkryć, badając dawne osady plemienia, wśród znalezisk były także zwoje z Qumran, które * bynajmniej nie wszystkie * były powszechnie znane. Para*celsus znał ponoć bardzo dobrze życie i dzieła tego ludu; szwajcarski naukowiec, którego prace pod wieloma względami wyprzedzały swój czas, miał podczas podróży w okolice Morza Martwego znaleźć źródło owej mądrości i odczytać je; wiedzę tę częściowo upowszechnił, częściowo jednak pozostała ukryta; Paracelsus miał wielu uczniów, powstało wiele różnych szkół... * Fredric zawiesił głos i położył dłoń na ręku detektywa.

* Niektóre z nich istnieją po dziś dzień * powiedział.

* Co? * wzdrygnął się Skarphedin.

* Mówię o sektach. O tajnych sektach.

* Które próbują produkować złoto?

* Tego nie wiem. Bardziej chyba chodzi im o Jezusa.

* O Jezusa? * powtórzył Skarphedin, stukając palcem o kieliszek.

* Twierdzą, że Jezus był esseńczykiem, a jego posłanie było całkowicie odmienne od tego, które znamy.

* Coś takiego! * roześmiał się Skarphedin głośno. * Tym razem chyba przesadziłeś, drogi Fredricu; co przyjdzie mi z wiedzy o tym, czy Jezus był esseńczykiem, czy nie!?

* Pozwolisz mi dokończyć?

Skarphedin wziął dwa kawałki chevre'a i popił winem.

* Mów dalej, pamiętaj jednak, że mój czas jest ograniczony *powiedział.

Fredric położył przed nim wycinek z gazety, w którym można było przeczytać o zamkniętym zakonie noszącym nazwę „Celsus”; jego członkowie wyróżniali się niezwykle krytycznym stosunkiem do naszego pojmowania chrześcijaństwa; zakon miał swoich wyznawców w Niemczech, we Francji i w Anglii, a jego główne przesłanie brzmiało, że Jezus mówił o życiu wiecznym na ziemi, nie w niebie, i że ziemia zamieni się w raj, jeśli tylko wszyscy zrozumieją ich naukę; sekta ta, czy też zakon, ma od wielu lat swój oddział w Haugesund, gdzie jej członkowie zbierają się na zamkniętych spotkaniach; przewodniczący norweskiej sekty nazywa się Simon Kateter; nie zgadza się na żadne wywiady; twierdząc, że czas jeszcze do tego

nie dojrzał * pisano w notatce, którą Skarphedin miał przed sobą, a która kilka lat temu ukazała się w popołudniówce „Aftenposten”.

* Simon Kateter, tak * powiedział detektyw, uśmiechając się. * Lepszego nazwiska nie mógł sobie znaleźć.

* To jedynie przystawka do tego, co zaraz ci przedstawię; na strawienie tego będziesz potrzebował więcej czasu * ciągnął Fredric spokojnie, patrząc detektywowi w oczy. * Po pierwsze: alchemia to nie tylko chęć zdobycia złota, ale w dużej mierze także dążenie do wiedzy i wiecznego szczęścia tu, na ziemi. Po drugie: być może wiedza ta ma swoje korzenie właśnie w okolicach Morza Martwego i Khirbet Qumran. Po trzecie: pewna tajemnicza sekta, bazująca właśnie na tej wiedzy, od dawna istnieje w naszym kraju; w innych jest obecna od wielu wieków, we wszystkich zaś krajach ma swoich przedstawicieli. I po czwarte: norweskie małżeństwo zginęło w wybuchu bomby. Para wróciła niedawno po dłuższym pobycie nad Morzem Martwym, w Khirbet Qumran. O ile wiem, mieli tam uczestniczyć w badaniu niedawno odkrytych grot.

Fredric podniósł się z krzesła.

* Jeszcze jedna rzecz, wuju * powiedział, kładąc na stole egzemplarz pisma „Archeology”. * Według artykułu w tym szanowanym piśmie, władze izraelskie wydały całkowity zakaz prowadzenia badań archeologicznych w tamtym rejonie i od ponad pół roku cały teren pozostaje zamknięty.

Peder Ungbeldt zaparkował swoją małą Fiestę tuż przed wejściem do prowadzonego przez Armię Zbawienia ośrodka dla emerytów na Saxegaardsgata; przez chwilę siedział w samochodzie, bębniąc palcami w kierownicę; już wcześniej rozmawiał z personelem ośrodka, ale rozmowa niewiele dała; wszyscy twierdzili zgodnie, że Aron Rhymfaxe nigdy tu nie bywał. Ungbeldt wysiadł z samochodu, zamknął go i stanął na chodniku; mieszkanie Rhymfaxe było na parterze, wiedział, że jedno z okien, to od kuchni, wychodzi na ulicę; było jednak tak wysoko, że idąc chodnikiem, nie można było nic zobaczyć; czy to możliwe, żeby meble i inne sprzęty wyniesiono z mieszkania nocą, właśnie przez okno? Podeszedł bliżej, podniósł

głowę; nie, dwa skrzydła okna były rozdzielone solidnym drewnianym słupkiem, a każde z nich było zbyt wąskie, żeby móc wynieść przez nie cokolwiek większego; poza tym ani na ramie okiennej, ani na parapecie nie było żadnych śladów zadrapań, niczego. Ungbeldt wyciągnął z kieszeni kartkę i zaczął się jej dokładnie przyglądać; był na niej plan mieszkania, jego położenie i rozkład pomieszczeń:

Pokiwał głową, ładne mieszkanie, pomyślał. Rano skontaktował się z administracją, gdzie dowiedział się, że jest ono własnością starszego małżeństwa, Haralda i Inger Johannessenów, którzy od jakiegoś już czasu przebywali właściwie na stałe w Hiszpanii, a mieszkanie wynajmowali przez pośrednika, zawsze Tje. na okres trzech lat. Dowiedziawszy się tego, Ungbeldt zadzwonił do Haralda Johannessena, do Hiszpanii, który poinformował go, że nigdy nie spotkał swojego obecnego lokatora, a wszystkie formalności związane z wynajmem załatwiała firma „Wangen i Wiiken”; ta z kolei udzieliła mu informacji, że obecna trzyletnia

umowa została podpisana w listopadzie, niespełna półtora roku temu; wynajmującym był Aron Rhymfaxe, a suma za cały okres wynajmu została uiszczona w gotówce przy podpisaniu umowy. Jak mężczyzna wyglądał? pytany o to pośrednik nie potrafił wiele powiedzieć; wózek inwalidzki? tak, rzeczywiście, to był chyba starszy mężczyzna na wózku; jego PESEL? pytał dalej śledczy; niestety przy zapłacie całej sumy z góry firma nie ma obowiązku ani zwyczaju wypytywać o dane najemcy, tak więc Ungbeldt niewiele się dowiedział, a prawdę mówiąc, nic; zbliżała się jedenasta; schował kartkę z planem mieszkania do wewnętrznej kieszeni i wszedł do bramy; zatrzymał się przed wejściem do klatki; do drzwi prowadziły trzy schodki, spore utrudnienie dla kogoś, kto jeździ na wózku.

Wszedł do środka.

Poszedł schodami na pierwsze piętro.

Mieszkał tu Isak Windjarn i rodzina Rhasoon.

Na drugim piętrze Raul Ibn Hassan i Josva Corbin.

Zatrzymał się przed drzwiami Corbina.

Nasłuchiwał.

Ze środka dochodziła cicha muzyka.

Oznaczało to, że przewodnik wrócił już do domu.

Nacisnął guzik i czekał, muzyka ucichła; zapanowała cisza, tak długa, że Ungbeldt podniósł rękę, żeby ponownie nacisnąć dzwonek; wtedy nagle drzwi się otworzyły i zobaczył przed sobą opaloną twarz trzydziestosześcioletniego mężczyzny, która byłaby nawet ładna, gdyby nie paskudna blizna idąca od prawej skroni, przez policzek, obok nosa, przez wargi; włosy mężczyzny były ciemne, półdługie i zaczesane do tyłu; mężczyzna był w szlafroku i kapciach.

Ungbeldt uśmiechnął się.

Odchrząknął i pokazał legitymację policyjną.

Mężczyzna skinął głową.

Żadnych oznak zdziwienia, pomyślał Ungbeldt, kiedy Corbin otworzył szeroko drzwi i zaprosił go do środka; zdjął grzecznie buty i poszedł za mężczyzną do pokoju, który już na pierwszy rzut oka nie sprawiał wrażenia dużego, a teraz okazał się wręcz ciasny; był bowiem przeładowany różnego rodzaju półkami, lampami, stoliczkami, kanapami, dziełami sztuki? statywami, komodami; panował tu zaduch, a zaciągnięte do połowy ciężkie kotary z aksamitu nie przepuszczały prawie światła. Ungbeldt zatrzymał się na środku pokoju, przyglądał się figurze wielkości człowieka umieszczonej obok jednej z kanap, postać z baśni? człowiek, wąż, ptak, lew? mężczyzna usiadł, Ungbeldt nadal stał.

* O co chodzi? * spytał mężczyzna, sięgając po szklanekę.

* Sprawa dotyczy jednego z mieszkańców na parterze * zaczął Ungbeldt. * Starszy mężczyzna, poruszający się na wózku, nazywa się Aron Rhymfaxe.

* Nie znam tu prawie nikogo * powiedział Josva Corbin, wzruszając ramionami.

* No tak.

Ungbeldt zrobił zamierzoną przerwę; usiadł w głębokim fotelu i zaczął się rozglądać, cały czas jednak bacznie obserwując język ciała Corbina.

* A o co chodzi z tym mężczyzną? Doszło do jakiegoś przestępstwa, skoro policja...

* No właśnie * przerwał mu śledczy. * Policja nie przychodzi bez powodu. Kiedy widział go pan po raz ostatni?

* Nie pamiętam. Ale to było dawno temu.

* Jak dawno?

Ungbeldt nie patrzył bezpośrednio na mężczyznę; wodził wzrokiem po pokoju, jakby bardziej interesowały go znajdujące się w nim przedmioty niż siedzący na kanapie człowiek; robił to jednak świadomie, miał wypracowany własny sposób postępowania; od czasu do czasu

zadawał jakieś pytanie, cały czas jednak bardzo bacznie obserwował zachowanie mężczyzny; w ten sposób często udawało mu się dowiedzieć wielu ciekawych rzeczy.

* Może kilka miesięcy temu * odpowiedział mężczyzna, upijając ze szklanki.

* O czym wtedy rozmawialiście?

* O niczym. Może o pogodzie. Coś się stało?

* No właśnie. Trudno powiedzieć. Czyli rozmawialiście o pogodzie?

* Na pewno o niczym ważnym. Jestem zmęczony. Wróciłem do domu późno w nocy, może pan się streszczać? * powiedział i westchnął głęboko.

* A jaka była wtedy pogoda?

* No, wie pan... * zaczął mężczyzna i nagle urwał.

* Pogoda nie ma znaczenia * ciągnął dalej śledczy, studiując sztukaterię na suficie. * Mówił głośno?

* Tak, jak na starszego człowieka miał donośny głos * powiedział Corbin, przesuwając się nieco na kanapie.

* Starsi ludzie zwykle nie mówią głośno? * spytał Ungbeldt, uśmiechając się uprzejmie.

* Nie o to chodzi, tylko w jego głosie było coś... * zawahał się.

* Co było w jego głosie?

* Nie potrafię tego dobrze określić. Poza tym mówiłem, że było to dawno temu. Proszę powiedzieć, co się stało, nie chcę tracić czasu. * Josva Corbin najwyraźniej zaczynał się już irytować.

* Oczywiście. To żadna tajemnica. Mężczyzna zaginął. Tyle że w mieszkaniu została jego krew, prawie cztery litry. Szkoda, że nie widział pan tej kanapy! * powiedział Ungbeldt, kręcąc głową.

* Coś takiego. * Mężczyzna był wyraźnie zaszokowany.

* Zdarzają się gorsze widoki, ale rzeczywiście... Może pan go opisać? będę wdzięczny za każdy szczegół, zarówno jeśli chodzi o jego wygląd, jak i usposobienie.

Josva Corbin zmarszczył czoło, najwyraźniej się zastanawiał; położył nogi na kanapie i dłuższą chwilę milczał; potem zaczął mówić, z początku cicho, opisywał starszego mężczyznę mniej więcej tak, jak inni sąsiedzi, niewiele potrafił dodać: starszy pan był dość anonimowy, uprzejmy, grzeczny, może nieco roztargniony? zastanawiał się Corbin; nic bardziej konkretnego nie był niestety w stanie powiedzieć.

Ungbeldt podziękował mu i wstał.

* Ma pan tu wiele pięknych przedmiotów. Dużo pan podróżuje? * spytał na odchodne.

* Tak, dużo podróżowałem, teraz jednak głównie poszukuję nowych miejsc dla turystów * odpowiedział mężczyzna i także wstał.

* O ile dobrze rozumiem, wraca pan właśnie z Południa? * Śledczy ruszył w stronę drzwi.

* Tak, to prawda * odpowiedział Corbin.

* Gdzie pan był? * spytał Ungbeldt, odwracając się nagle.

* Byłem... w Izraelu.

Skarphedin stał we mgle, spoglądając w stronę Frognerveien; minęła jedenasta; niech to diabli, mówił mu jakiś głos; czuł lekki zawrót głowy, ale pamiętał wszystko, co opowiedział mu Fredric; to niewiarygodne, jak ten chłopak potrafi łączyć różne sprawy! pomyślał nie bez dumy; skąd on to wszystko wie? Intuicja, jak sam twierdził; tak czy inaczej, miał już jakieś punkty zaczepienia, tylko jak to się ma do zniknięcia mężczyzny na Starym Mieście? Będzie musiał poszukać konkretnych dowodów na to, że obie sprawy rzeczywiście są ze sobą powiązane; zbliżała się godzina wyznaczonego spotkania zespołu, ale przecież był jeszcze ten człowiek z Gabels gate, ten antykwariusz; powinien złożyć mu wizytę, zadać kilka pytań. Skąd się wziął jego znakomity poranny nastrój? zastanawiał się detektyw; może miał jakiś niezwykle przyjemny sen? nie pamiętał, żeby coś mu się śniło, ale rzadko pamiętał swoje sny; nagle jakby jakiś cień położył się na jego duszy,

jakiś niepokój, zaraz jednak zniknął; teraz najważniejszą rzeczą było dowiedzieć się, kto udzielił policji, a w szczególności grupie dochodzeniowej, na czele której stała Starkabel, informacji o zabitej parze, o Davidzie i Evie Gartlandach, o tym, że byli nad Morzem Martwym i prowadzili tam badania w jakichś niedawno odkrytych jaskiniach, na terenie zamkniętym przez izraelskie władze. Skarphedin wiedział o tym, bo przed wyjściem z lokalu Fredrica zadzwonił do izraelskiej ambasady i przeprowadził długą i wyczerpującą rozmowę z attache kulturalnym placówki, niejakim Arielem Krunchem, który potwierdził informacje pisma archeologicznego: zagraniczni archeolodzy czasowo nie mieli wstępu na duże tereny wokół Khirbet Qumran, a właściwie na cały obszar Morza Martwego; złamanie zakazu pociągało za sobą poważne konsekwencje ze strony izraelskich władz; powodów tej decyzji izraelski attache kulturalny albo nie znał, albo nie chciał mu zdradzić; informacje te bynajmniej nie uspokoiły Skarphedina; czy mogło tu chodzić o coś znacznie poważniejszego? TRUMNA? pomyślał, co zrobi Krondal, jego szef, jeśli okaże się, że sprawy jednak są ze sobą powiązane? musi poprosić o spotkanie z Krondalem; jeśli nadal nie wolno im będzie z niczym się zdradzić, to co z grupą Starkabel, a niech to diabli! odezwał się znów jego wewnętrzny głos; Skarphedin sięgnął po telefon komórkowy i wybrał numer. Minęła chwila, zanim uzyskał połączenie.

* Starkabel * usłyszał w końcu.

* To ja, twój wielbiciel z KRIPOS * zaczął.

* Jestem bardzo zajęta, o co chodzi?

* Wierz mi, że cieszyłbym się, gdybym był w stanie na to odpowiedzieć; muszę z tobą porozmawiać, i to jak najszybciej * powiedział, podkreślając każde słowo.

Zaległa cisza.

* O szesnastej. Idę na szybki obiad do „Punjab Sweet House” na Gronlandsleiret.

* Świetnie. Ostra, ale dobra kuchnia * powiedział, kończąc rozmowę. Jeśli mgła jeszcze zgęstnieje, ludzie zaczną się gubić w mieście, co

mówią meteorologowie? obecne zjawisko pogodowe było podobno wypadkową kilku niefortunnych czynników, tak gdzieś słyszał; przeszedł kawałek i zatrzymał się przed niewielkim sklepem, którego nazwa * „Lampa Aladyna” * wskazywała, że właściciel raczej nie specjalizuje się w norweskich antykach. Zaczął przyglądać się wystawie: stare wydanie Koranu? rzymskie monety, perskie wazy i jakaś wschodnia korona ślubna? Zauważył kartkę z napisem „Otwarte” i wszedł.

W sklepie unosił się zapach kamfory i słodka woń pachnidła.

Nie było tu tłoku, żadnych klientów; na krześle za niewielkim biurkiem ze szklanym blatem siedział dość tęgi mężczyzna, miał ciemne włosy i może czterdzieści, pięćdziesiąt lat. Kolor jego skóry mógł wskazywać na obce pochodzenie; trzymał w ręku kalkulator; obrzucił Olsena pytającym spojrzeniem i zaczął wstawać, ale detektyw gestem ręki dał mu do zrozumienia, żeby się nie fatygował; podszedł do niego i ostrożnie położył dłonie na biurku.

* Skarphedin Olsen z KRIPOS * powiedział, wyjmując legitymację.

* Już kilka razy opowiadałem wszystko, co wiem * rzucił mężczyzna niechętnie, ale bez obcego akcentu.

* Wierzę, ale tak to jest, kiedy sprawa jest poważna * zaczął Skarphedin, siląc się na uprzejmość. * Zadam panu jeszcze kilka pytań i nie będę już więcej przeszkadzał.

Mężczyzna wymamrotał coś niezrozumiałego.

* Pytanie pierwsze: czy pan jest jedynym sąsiadem, który znał państwa Gartland?

* Na to wygląda, tyle że ja ich nie znałem; zaledwie kilka razy zupełnie przypadkowo wymieniałem kilka zdań z panią Gartland, zanim doszło do tego okropnego wybuchu.

* Pytanie drugie: o czym pan z nią rozmawiał? Co panu powiedziała? * Skarphedin wyciągnął z kieszeni notes i długopis; udawał, że notuje.

* Spytałem, jak długo ich nie będzie, a ona odpowiedziała, że wyjeżdżają na weekend na zachodnie wybrzeże. * Zaczął piłować paznokcie.

* Przepraszam * przerwał mu Skarphedin, nachylając się jeszcze bardziej w jego stronę. * Byłbym wdzięczny, gdyby zrekonstruował pan dokładniej swoją rozmowę z panią Gartland! Mężczyzna upuścił pilnik, przerażony, gdy nagle zobaczył przed sobą niezbyt urodziwą twarz detektywa, cofnął się kilka centymetrów z krzesłem, zamrugał i skinął głową.

* To było przed południem, wyszedłem wziąć pocztę i spotkałem panią Gartland, powiedziałem „dzień dobry”, ona mi odpowiedziała, spytałem, czy długo tu zostaną? nie, wyjeżdżają na weekend do Haugesund, odpowiedziała. Spytałem, czy byli na urlopie, a ona na to, że trudno nazwać to urlopem: brali udział w wykopaliskach, chodziło o jakieś stare groty nad Morzem Martwym. Bardzo ciekawe, odpowiedziałem, a ona przytaknęła i uśmiechnęła się. Wszystkiego dobrego, powiedziała. Nawzajem, odpowiedziałem. To wszystko, ale już o tym mówiłem.

* Tak, na pewno! * potwierdził Skarphedin, stukając się mocno palcem w głowę. * Jeszcze jedno * odezwał się, tym razem nieco łagodniej. * Proszę się dobrze zastanowić: powiedziała panu, że gdzie byli? nad Morzem Martwym? a może dodała coś jeszcze?

* Nie * powiedział mężczyzna, mrużąc oczy.

* Na pewno? Nie podała nazwy jakiegoś miasta? Tylko Morze Martwe?

* Tak, tylko * potwierdził mężczyzna, wzruszając ramionami.

Detektyw wyprostował się i zaczął nerwowo krążyć po sklepie, zaglądał na półki, wziął do ręki jedną z waz, potem sięgnął po dziwną glinianą maskę i jeszcze jakieś drobiazgi: drogo, pomyślał, bardzo drogo; w jednej z witryn zobaczył kilka złotych przedmiotów * przynajmniej tak mu się zdawało * odwrócił się do mężczyzny i uśmiechnął.

* Piękne, skąd pochodzą te złote ozdoby? Mężczyzna odchrząknął.

* Z Lykkii * odpowiedział.

Skarphedin zmrużył oczy, próbując przyjrzeć się im dokładniej; kolczyk datowany na 250 p.n.e.; broszka mniej więcej z tego samego okresu.

* Myślałem, że takie rzeczy można oglądać tylko w muzeach * powiedział. * Rozumiem, że ma pan odpowiednie pozwolenie * dodał.

* Tak, mam * mruknął właściciel pod nosem. Skarphedin ruszył w stronę drzwi.

* Dziękuję, że poświęcił mi pan czas * powiedział. * Mogę prosić o pańską wizytówkę?

* Oczywiście * odpowiedział mężczyzna; wyciągnął czerwono * złotą wizytówkę i podał mu ją.

* Do widzenia. * Skarphedin skinął uprzejmie głową i opuścił sklep.

Ruszył szybko ulicą, jednak po kilku krokach zatrzymał się i zerknął na wizytówkę: autoryzowany handel antykami: import * eksport, Ebezer Goldman; świetnie, pomyślał, wyciągnął telefon komórkowy i wystukał numer Jona Furhella.

* Jon, do diabła * powiedział, opierając się o ścianę budynku. * Rzuć wszystko, co masz w rękach, i dowiedz się możliwie najwięcej

o Gartlandach z Haugesund! I o sekcje, która nosi nazwę „Celsus”, podobno ma tam swoją siedzibę. Ich przywódca nazywa się chyba Simon Kateter. Pisze się tak, jak słyszysz: Kateter. Spotykamy się za pół godziny, ale możesz się spóźnić. Rozumiesz? Furhelle rozumiał, a Skarphedin ruszył do najbliższego postoju taksówek; kichnął i poczuł, że marznie; kiedy dotarł do skrzyżowania Odins gate z Frognerveien, zobaczył małą postać idącą we mgle, był to chłopiec; nagle upadł, miał może pięć, sześć lat, próbował wstać, detektyw zwolnił; zastanawiał się, czy mały może jest chory? gdzie jest jego matka? albo ojciec? chłopiec był cały mokry, teraz widział to wyraźnie; wstał, ale... chwiał się? wytarł twarz i ruszył przed siebie, szedł wolno Frognerveien w przeciwnym kierunku niż on; Skarphedin stał i patrzył za nim, aż chłopiec zniknął we mgle; ci współcześni rodzice! prychnął oburzony i przywołał taksówkę.

W palestyńskiej Syrii, zamieszkiwanej głównie przez ludność izraelską, znaleźć można także esseńczyków, którzy osiedlili się na tych terenach ponad cztery tysiące lat temu. Nazwa „esseńczycy” nie jest nazwą grecką; kojarzy się ze świętością. Esseńczycy to mądry lud. Nie składają ofiar ze zwierząt; natomiast oddają się myśleniu. Posiadają wielkie bogactwa, ale nie gromadzą złota czy srebra, by się bogacić. W codziennym życiu obywają się bez zbędnych rzeczy; uważają siebie za bogatych, bo posiadli mądrość, jakiej nie posiadły inne ludy. Żądza posiadania jest im obca, nie mają niewolników; wszyscy są wolni i wzajemnie sobie pomagają. Wszelkie wydatki są wspólne, opłacane ze wspólnej kasy. Dzieli się wszystkim: żyją pod jednym dachem, podobnie się ubierają, jedzą przy jednym stole. Esseńczycy mają wielką wiedzę, potrafią okiełznać przyrodę w sposób, który świadczy o tym, że są w kontakcie z jakimś mądrym bóstwem. Pilnie strzegą swojej wiedzy; nikt nie ma dostępu do jej źródeł.

Cytat z Quo omnis probus libersit, dzieła Filona z Alexandrii, 25 p.n.e * 50 n.e.

Tor Jonson nadal cytuje Tora Jonsona,
alchemia może także dotyczyć numerów rejestracyjnych;
rodzą się wątpliwości co do duchowości
Skarphedina Olsena

Gdy Skarphedin Olsen wszedł do pokoju zebrań, Ungbeldt i Jonson byli już na miejscu, obaj wyposażeni w filiżanki z kawą i stos gazet; Jonson żuł bułkę z serem, kręcąc od czasu do czasu głową: martwiły go tabloidy żerujące na ludzkim nieszczęściu. W całej prasie nie brakowało spekulacji i najróżniejszych hipotez, nikt nie wątpił, że bliskowschodni terroryzm dotarł już także do Oslo; zastanawiano się, czy małżeństwo, które padło ofiarą ataku, miało coś wspólnego z polityką? Na razie nic na to nie wskazywało; para spędziła co prawda niemal miesiąc w Izraelu, ale podróż miała prywatny charakter; prowadzili jakieś badania? na pewno przebywali w okolicach Morza Martwego; czyż nie tam w swoim czasie znaleziono jakieś starożytne rękopisy? czemu zginęli w tak okrutny sposób? Mnożono spekulacje, jednak nadal brakowało konkretów: kim były ofiary? policja nie podawała żadnych nazwisk, tłumacząc, że musi najpierw zawiadomić bliskich ofiar; część dziennikarzy znała oczywiście nazwiska ofiar już w kilka godzin po zamachu, ale podporządkowali się prośbom, żeby na razie nie podawać ich do publicznej wiadomości.

Skarphedin wszedł i zdjął płaszcz.

* Musimy poczekać na Jona, może się trochę spóźnić * powiedział.

Potem poszedł do swojego pokoju; gazety! parsknął, sięgając po leżące na biurku egzemplarze; otworzył jeden z dzienników, szukając wypowiedzi policji; znalazł kilka krótkich wywiadów ze Star*kabel; zauważył, że nie wyszła zbyt korzystnie na dołączonym do wywiadu zdjęciu: stała obok wraku samochodu, z którego ocalała jedynie tablica z numerem rejestracyjnym. „Podobno przebywali w Izraelu, a dokładnie w okolicach Morza Martwego; nie wiemy, co tam robili, być może po prostu spędzali wakacje; niewykluczone, że

kontaktowali się z władzami izraelskimi; jeśli tak, to należy się zastanowić, czy nie był to jednak akt terroryzmu; zemsta ze strony skrajnych ugrupowań palestyńskich...” * czytał.

* Do diabła, co ty możesz o tym wiedzieć, panno Starkabel! * warknął i sięgnął po inną gazetę. „... nie ma żadnych konkretnych dowodów pozwalających uznać zamach za akt palestyńskiego terroryzmu; wiemy jedynie, że para przebywała jakiś czas w okolicach Morza Martwego i że wróciła do domu kilka dni temu.

Skarphedin odsunął na bok gazety.

Siedział, wpatrując się w puste ściany.

Coś tu się nie zgadzało.

Wiedział, co.

Wybrał numer telefonu do swojego szefa, Arthura Krondala.

Po dziesięciu minutach rozmowy jego humor bynajmniej się nie poprawił; szef zaproponował spotkanie około szóstej po południu, w dziale wędkarskim sklepu sportowego Gresvig Sport, gdzie czasami się spotykali, zwykle wtedy, kiedy szef wyczuwał, że cierpliwość detektywa jest na wyczerpaniu; wiedział bowiem doskonale, że humor Skarphedina zawsze znacznie się poprawiał na widok pięknych kolorowych przynęt; za kwadrans pierwsza zjawił się wreszcie Jon Furhelle i spotkanie mogło się rozpocząć.

* Właśnie rozmawiałem z Krondalem * zaczął Olsen, skrzyżował ręce na piersi i odchylił się na krześle.

* Nadal mamy do czynienia z TRUMNĄ; gnom z piętra wyżej nie zaprzecza, że może istnieć powiązanie z zamachem na Gabels gate, ale prosi, żeby nie wchodzić sobie w paradę; mam jeszcze kilka spraw, ale zostawiam je na koniec. Teraz bowiem chciałbym się dowiedzieć, jakie wyniki dała współpraca Jonsona ze znanym ze swojej drobiazgowości Maltstuenem.

* Niezbyt dobre * zaczął Tor Jonson.

Opowiedział, że Maltstuen był niemal pewien, że mieszkanie na Saxegaardsgata niedawno odwiedziła kobieta; ślady tej samej szminki, o której wspomiano już wczoraj, róż lub karminowy róż, marki Dior, znaleziono też na wazonie, niezbyt wyraźne, ale jednak były; więcej ciekawych rezultatów dała natomiast gruntowna analiza lilii, które znajdowały się w wazonie; gatunek ten, „Journeys End”, pochodzi z Nowej Zelandii, co jednak nie znaczy, że nie uprawia się go w żadnym innym miejscu na świecie; właściciele kwaciarni i importerzy kwiatów, z którymi Maltstuen się kontaktował, zdradzili mu, że gatunku tego o tej porze roku nie można co prawda kupić w Norwegii, ale jest dostępny w kilku krajach śródziemnomorskich; ustalenie miejsca pochodzenia kwiatów okazało się łatwiejsze, niż Maltstuen sądził, ponieważ obecność zarodników chlamydii, a tym bardziej mikroskopijnej grzybni „Mycella jactopis jactopis”, dość dokładnie wskazywała, że lilie sprowadzono z Izraela, z hodowli w pobliżu Jerozolimy, bowiem tam i tylko tam występowała „Mycella jactopis jactopis”.

Peder Ungbeldt przytaknął.

Jon Furhelle przełknął kilka łyków kawy.

* Wspaniale, Tor! * powiedział Skarphedin i odchylił się na krześle tak, że niewiele brakowało, a byłby się przewrócił. * To, w połączeniu z moimi odkryciami, o których zaraz powiem, nie pozostawia wątpliwości, że obie sprawy są ze sobą powiązane. To jest jedna i ta sama sprawa, chłopczy!

* Wiele zdaje się wskazywać, że nieszczęsna pani Gartland używała karminowej szminki Diora * wymamrotał Ungbeldt, wkładając ukradkiem do ust mentolową pastylkę.

* „Journey's End” * powiedział Furhelle, kręcąc głową.

* Tragiczny zbieg okoliczności * zgodził się Ungbeldt.

* „Nadejść, nocy ciemna...” * wyrecytował Tor Jonson.

* W porządku * odezwał się Skarphedin. * Nie zatrzymujmy się na symbolice, tylko przejdźmy do konkretów. Dla pewności, Tor, sprawdź jeszcze dzisiaj, jakiej szminki używała pani Gartland.

* Dobrze * odpowiedział Tor Jonson. * Ale jeszcze nie skończyłem. Maltstuen miał więcej rewelacji. Chodzi o krew na podłodze. Już podczas pierwszej analizy zdziwiła go struktura kryształków * i wciąż go dziwi. Nigdy jeszcze nie badał krwi o tak niezwykłej strukturze. Nadal nad tym pracuje. Jeśli zaś chodzi o znalezione opiłki żelaza, nie ma wątpliwości, że są to opiłki zwykłego żelaza, pochodzącego z kopalni Folldal w Hjerking; kopalnia została zamknięta już kilka lat temu, ale pochodzące z niej żelazo nadal można spotkać niemal

wszędzie; Maltstuen twierdzi, że jeśli spiłuje się zwykły pręt zbrojeniowy używany w budownictwie, otrzyma się właśnie takie opiłki.

* Ach tak * westchnął Olsen; zamknął oczy i zmarszczył czoło. * A co ze złotem?

Dowiedzieliśmy się czegoś nowego?

* Nie * odpowiedział Jonson. * Nadal wiemy jedynie, że jest to złoto o niespotykanym stopniu czystości. Możliwe, że pochodzi z Turcji, z okolic wybrzeża likkijskiego.

Wokół stołu zapanowała cisza; śledczy zastanawiali się nad tym, co usłyszeli od Jonsona: właściwie, pomijając informacje dotyczące szminki i kwiatów, badania techniczne nie przyniosły niczego nowego.

* Tor * odezwał się w końcu Skarphedin, nachylając się nad stołem; mówił cicho, niemal szeptem. * Być może całkowicie się mylą i wyrzucimy pieniądze podatników w błoto, ale chciałbym, żebyś oprócz sprawdzenia, jakiej szminki używała pani Gartland, przeszedł się do sklepu z antykami, który nazywa się „Lampa Aladyna” i jest na Frognerveien; jest tam do sprzedania biżuteria pochodząca właśnie z Lykkii; kup jakiś najmniejszy i najtańszy drobiazg i przekaz go naszemu Maltstuenowi, który dostąpi wątpliwego zaszczytu zniszczenia cennego okazu, bowiem jego zadaniem będzie przerobić go na proszek i porównać ze złotym pyłem znalezionym na Saxe*gaarsdsgata, rozumiesz mnie?

Jonson pokiwał głową.

* Jak do tego doszedłeś?

* Później ci powiem. Chcę, żebyś dowiedział się czegoś więcej o właścicielu sklepu, który nazywa się Ebezer Goldman, to ten mężczyzna, z którym ty, Jon, rozmawiałeś dzisiaj rano na Gabels gate.

Jon Furhelle przytaknął.

* Twoja kolej, Peder * ciągnął dalej Olsen, zwracając się tym razem do Ungbeldta. *

Rozumiem, że zdążyłeś nieco się rozejrzeć po okolicy?

Ungbeldt opowiedział zwięźle o swojej rozmowie z właścicielem sklepu, Pakistańczykiem Afsalem, który nie potrafił wiele dodać, jeśli chodzi o Arona Rhymfaxe; Ungbeldt pytał go, jakie towary zwykle dostarczał starszemu panu; kupiec stwierdził, że były to głównie produkty w opakowaniach; dziwił się nieco, że mężczyzna tak mało pił, Norwegowie piją dużo kawy i mleka, prawda? a Rhymfaxe nigdy nie zamawiał ani kawy, ani mleka, herbaty zresztą też nie; jedynie * z rzadka * kilka butelek piwa, nigdy jednak nie zwracał butelek; generalnie starszy pan odżywił się niezdrowo, uważał kupiec, a Ungbeldt musiał przyznać mu rację. Po wizycie u sympatycznego właściciela sklepu rozmawiał także z sąsiadami, ale niewiele to dało; sprawdził też zawartość stojących na podwórzu pojemników na śmieci, najwyraźniej jednak zostały niedawno opróżnione, w każdym razie nie znalazł tam nic godnego zainteresowania; przyjrzał się też klatce i schodkom prowadzącym do drzwi; doszedł do wniosku, że osobie na wózku trudno było je pokonać; podzielił się tą uwagą z sąsiadami; nikt nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek pomagał starszemu panu wyjść bądź wejść do domu; właściwie nikt nigdy nie widział, żeby Rhymfaxe w ogóle wychodził z domu.

* Bardzo dziwne * mruknął Jon Furhelle.

* Tak, niektóre rzeczy rzeczywiście wydają się dziwne * przytaknął Jonson. * Zaczynam wręcz wątpić, czy tam rzeczywiście mieszkał jakiś starszy pan, który poruszał się na wózku.

* To zasadna wątpliwość, ale zaczekajmy jeszcze z wyciąganiem wniosków. A co z tym przewodnikiem, Corbinem, tak? Widziałeś się z nim? * dopytywał się niecierpliwie Skarphedin.

* Owszem * odpowiedział Ungbeldt. * Rozpocząłem dzisiejszy dzień od złożenia mu wizyty. To, czego się od niego dowiedziałem, sprawiło, że zacząłem drążyć temat, coś mi tu bowiem nie pasuje. Po pierwsze: Josva Corbin nie był w stanie powiedzieć nic nowego o Rhymfaxe; po drugie: powiedział, że właśnie wrócił z podróży, której celem było znalezienie nowych

miejsc dla turystów, ale to nieprawda. Skontaktowałem się z biurem podróży, dla którego pracuje, i powiedziano mi, że Corbin jest na miesięcznym bezpłatnym urlopie. Odniosłem wrażenie, że nie jest zbyt lubiany przez kolegów; sugerowali zresztą, że może wkrótce zostanie zwolniony z pracy. To znaczy, że szanowny Corbin mnie okłamał. Kiedy zdałem sobie z tego sprawę, spróbowałem własnymi kanałami dowiedzieć się czegoś więcej o jego sytuacji finansowej. Okazało się, że facet jest całkiem niezłe sytuowany, ma sześciocyfrowe konto w Kreditkassen, które w ostatnich tygodniach zostało zasilone trzema większymi wpłatami, każda po dwieście pięćdziesiąt tysięcy koron, co niezbyt pasuje do jego pracy w biurze podróży.

* Jeśli rzeczywiście wybiera nowe miejsca, może dostawać łapówki od właścicieli hoteli * zauważył Tor Jonson.

* Pewnie w ogóle nie zacząłbym węszyć, gdybym nie wyczuł w jego głosie wahania, kiedy spytałem go, gdzie był * odpowiedział Ungbeldt spokojnie.

* A gdzie był? * zapytał Skarphedin.

* W Izraelu.

* Coś takiego!

Skarphedin wstał z krzesła i zaczął niespokojnie chodzić po pokoju.

* Sprawa staje się coraz bardziej poważna; wszędzie jakieś niespodzianki! *skomentował.

* Tak czy inaczej, on na pewno nie zostawił lilii w pokoju starszego pana, bo ledwie wrócił z Izraela * powiedział Jon Furhelle, stukając palcem w leżącą przed nim teczkę z dokumentami.

* Tego, do diabła, nie wiemy! * warknął Olsen. * Wiemy jedynie, że facet w ostatnich tygodniach kursował dość intensywnie między Saxegaardsgata a Izraelem! Badaj dalej tego Corbina; spróbuj się dowiedzieć, skąd ma pieniądze, i sprawdź dokładnie, gdzie był i co robił w ostatnich tygodniach!

Ungbeldt przytaknął i zaczął zbierać swoje notatki; śledczy zrobili sobie krótką przerwę, tym razem jednak bez wina i sera, które zwykle pojawiały się podczas wieczornych spotkań; poza tym Skarphedin odkrył, że lodówka w jego pokoju jest niemal pusta; nie został nawet kawałek sera; stał w oknie i patrzył w mgłę; nie był już nawet w stanie dojrzeć ulicznego ruchu; potrzebne jest zdecydowane działanie, inaczej nadal będą błędzić, nie posuwając sprawy do przodu; przekłeta presja czasu! W rozmowie z nim Krongdal podkreślił, że muszą działać szybko, ale co on właściwie wie o tym wszystkim? a może ma jakieś własne informacje? detektyw nie zdążył odpowiedzieć sobie na to pytanie, bo w tym momencie zadzwonił stojący na jego biurku telefon.

* Olsen przy telefonie * odezwał się.

* Mówi Fredric.

Usłyszawszy głos siostrzeńca w słuchawce, Olsen zmarszczył czoło; mieli bowiem niepisaną umowę, że Fredric może dzwonić do niego do biura jedynie w bardzo pilnych sprawach, dlatego też zdarzało się to niezwykle rzadko.

* Tak, co się stało? * spytał z lekkim niezadowoleniem.

* Poświęciłem całe przedpołudnie na studiowanie zeszytów.

* I co?

* Przejrzałem też gazety, obejrzałem zdjęcia.

* Oglądałeś zdjęcia w gazetach?! Przejdź do rzeczy!

* W ósmym zeszycie jest tabela składająca się z cyfr i liter; właściwie od razu skojarzyło mi się to z numerami rejestracyjnymi samochodów; w pewnym miejscu jest tam napisane „Uczniowie Pa*racelsusa” i dwukropek. Okazuje się, że litery i cyfry, które po nim następują, odpowiadają dokładnie numerowi rejestracyjnemu zniszczonego samochodu: LK*21567, dziwne, prawda? Zajrzyj do gazety, to sam zobaczysz.

* Wiem! Widziałem to zdjęcie; tablica rejestracyjna to właściwie jedyne, co zostało z tego samochodu. Uczniowie Paracelsusa to pewnie członkowie tej tajemniczej norweskiej sekty. Jesteś tego pewien, Fredricu?

* Inaczej chyba bym nie dzwonił?

* Nie musisz ironizować, wierzę ci * zapewnił go Skarphedin już znacznie łagodniej. * Tylko skąd tabela z numerami rejestracyjnymi samochodów wśród tych alchemicznych bzdur? Są tam jeszcze jakieś inne cyfry?

Fredric zaczął odczytywać trzy inne kombinacje liter i cyfr, które także mogły być numerami rejestracyjnymi, a Skarphedin notował; po chwili podziękował siostrzeńcowi i odłożył słuchawkę; siedział chwilę, marszcząc czoło; pokręcił głową, zerknął na zegarek i wrócił do czekających na niego kolegów; oddał głos Jonowi, który zdał sprawozdanie z wizyt złożonych rano w okolicy, gdzie eksplodowała bomba.

* Miałem drobną wymianę zdań z kimś z POT, jakiś facet o nazwisku Likoren powiedział, że mamy się nie wtrącać * zaczął.

* Ha! * wykrzyknął Skarphedin. * Lars Likoren, znam go. Ma tyle wyobraźni, co zdechła flądra! Pewnie wszędzie widzi już Palestyńczyków!

* Jednak dzięki pomocy dawnych kolegów, Thomsena i Trud*vanga, mogłem działać swobodnie * ciągnął dalej Furhelle. * Nikt z sąsiadów nie znał ofiar; tylko jedna osoba, facet, o którym wcześniej wspomniałeś, Ebezer Goldman, kontaktował się z kobietą po ich powrocie z Izraela, ale on także albo nie chciał, albo nie potrafił powiedzieć nic szczególnego; zresztą sam z nim rozmawiałeś'.

* Jon * zaczął Skarphedin, mrużąc oczy * nie wątpię w twoją skrupulatność, ale to, o co teraz cię spytam, może okazać się niezwykle istotne: jesteś pewien, że nikt z pozostałych sąsiadów nie miał żadnego kontaktu z parą po ich powrocie z Izraela?

* Tak, jestem tego pewien. Według Thomsena i Trudvanga, którzy pracują w zespole Starkabel, to właśnie Goldman poinformował śledczych, skąd para wróciła; zrobił to tuż po wybuchu. Został bardzo szczegółowo przesłuchany, ale niczego więcej się nie dowiedziano.

* Dobrze, chłopcy. * Skarphedin pochylił się nad stołem; mówił cichym głosem. * Coś tutaj się nie zgadza. I to bardzo. Zaledwie kilka godzin temu sam rozmawiałem z tym Goldmanem, w antykwaracie, którego jest właścicielem, na Frognerveien. Prosiłem, żeby dokładnie powtórzył rozmowę z panią Gartland. W ogóle nie wspomniał, że padła wtedy nazwa Khirbet Qumran! Mówił, że kobieta wspominała coś o jaskiniach nad Morzem Martwym, ale nie podała miejsca, gdzie się znajdowały. Albo łajdak mnie okłamał, albo policja ma jeszcze inne źródła informacji. Kiedy właściwie pojawiła się ta nazwa Khirbet Qumran?

* Zaraz po wybuchu * powiedział Furhelle. * Słuchałem policyjnego radia. Poinformowano, że para przebywała nad Morzem Martwym, w rejonie Khirbet Qurnran. Dlatego od razu zadzwoniłem do ciebie; byłeś wtedy w Bibliotece Uniwersyteckiej.

* Dziwne * zauważył Tor Jonson.

* Ten Goldman najwyraźniej cię okłamał, ale dlaczego? Przecież policji powiedział... * Przerwał i sięgnął po kolejną pastylkę.

* Tak, tak. * Skarphedin był zły, stukał palcem w blat. * Goldman albo kłamał, albo nie pamiętał. Tor, dowiedz się o nim czegoś więcej. Musimy iść do przodu.

Następnie Olsen opowiedział pokrótce, co Fredricowi udało się dowiedzieć o alchemii, o szwajcarskim lekarzu nazywanym Paracel*susem, o tym, że lekarz ten czerpał wiedzę właśnie z okolic Morza Martwego, że stworzył własną szkołę i że także w dzisiejszych czasach istnieje sekta nazywająca się „Celsus”, która wierzy w teorie głoszone przez owego Paracelsusa: że Jezus miał ponoć być esseńczykiem i że wcale nie mówił o życiu wiecznym w niebie, tylko tu na ziemi. W ten oto zwięzły sposób Skarphedin przedstawił to, do czego doszedł Fre*dric Drum; zaprezentował to zresztą jako wynik własnych dociekań, imię i nazwisko Fredrica nie zostały w ogóle wymienione.

* Ta sekta ma swoją siedzibę w Haugesund. Nikt się nie odezwał.
* Jej przywódca nazywa się Simon Kateter. Jon Furhelle pokręcił głową.
* Gartlandowie pochodzili z Haugesund * dawkował rewelacje Olsen.
* I jeszcze jedno: pani Gartland miała powiedzieć, że prowadzili badania nad Morzem Martwym, w jakichś niedawno odkrytych jaskiniach. Ale władze izraelskie pół roku temu zamknęły dostęp do terenów wokół Khirbet Qumran. Żaden cudzoziemiec, obojętnie, czy archeolog, czy nie, nie ma prawa zbliżyć się do okolicznych grot czy jakichkolwiek wykopalisk. To pewna wiadomość, potwierdziło ją moje źródło w ambasadzie izraelskiej. Cisza.

Czterej śledczy wpatrywali się w swoje papiery.

* Sprawa zaczyna się komplikować * oświadczył w końcu Tor Jonson.
* Paskudna historia * skomentował Ungbeldt, patrząc w sufit.
* Cóż * chrząknął Furhelle. * Teraz chyba znów moja kolej. Skarphedin poprosił, żebym dowiedział się czegoś więcej o Gart*landach i sekcie. Oto, czego na razie zdążyłem się dowiedzieć: Da*vid Gartland miał trzydzieści siedem lat i był z pochodzenia Anglikiem, ostatnie dwa lata mieszkał w Haugesund, dysponował także niewielkim mieszkaniem na Gabels gate, tutaj w Oslo, był informatykiem, tworzył zaawansowane programy komputerowe; nie miał w Norwegii zbyt wielu przyjaciół. Żona Eva pracowała razem z mężem; studiowała w Stanach; pochodziła z Oslo; nie miała tu jednak bliskiej rodziny, jacyś jej krewni mieszkają w Bodo. Małżeństwo mieszkało w domku w Haugesund, w dzielnicy willowej; sąsiedzi, z którymi rozmawiałem, mówią o nich w samych superlatywach: grzeczni, pomocni, inteligentni, lubiący dzieci. Sekty nikt nie zna; w Haugesund nie mieszka obecnie żaden Simon Kateter; możliwe jednak, że kiedyś mieszkał, muszę to sprawdzić. I jeszcze jedna sprawa: para miała sześciolatniego synka, ma na imię Benjamin.

* Co?! * krzyknął poruszony Skarphedin.

* Według sąsiadów, mieli ślicznego chłopca, którego bardzo kochali * powiedział Furhelle; odchrząknął i zerknął w bok.

* Do licha, niech to diabli! * Olsen wstał z krzesła. * Gdzie dziecko jest teraz?

* W gazetach nie ma nic o dziecku * odezwał się Jonson.

* Nie ma go w Haugesund, Jon? * spytał Skarphedin, a minę miał taką, jakby duży kawałek norweskiego koziego sera utknął mu w gardle.

* Nie * odpowiedział Furhelle. * Sąsiedzi twierdzą, że rodzice zabrali chłopca ze sobą, kiedy wyjeżdżali blisko sześć tygodni temu.

* No dobrze, w końcu to nie nasza sprawa; na pewno policja się tym zajmie * skwitował Olsen, siadając znów na krześle. * Jon, kontynuuj swoje dociekania w sprawie sekty; ten ich domniemany przywódca musi gdzieś być. Spróbuj znaleźć kogoś, kto coś o nim wie; możesz zadzwonić do mojego siostrzeńca Fredrica i poprosić, żeby przeczytał ci artykuł z „Aftenposten” sprzed kilku lat; może odszukasz jego autora. Poza tym musimy zdobyć więcej informacji o ofiarach. Co robili w Izraelu?

Furhelle przytaknął.

* Lilie i szminka * wymamrotał Jonson. * To chyba jedyne, co wiąże Gartlandów ze starszym panem. A jeśli to błędny trop? Lilie mogły przecież pochodzić od tego... jak on się nazywa? Josva Cor*bina. A ta historia z Khirbet Qumran i Morzem Martwym to może być przypadek, prawda? Trochę to wszystko cienkie.

Skarphedin zmrużył oczy, powoli wstał, podszedł do sterty gazet i rzucił na stół egzemplarz jednego z dzienników, ze zdjęciem spalonego samochodu.

* Numer rejestracyjny * powiedział. * Możesz go odczytać, Tor?

* Oczywiście: LK*21567 * przeczytał Tor i uniósł brwi. Skarphedin wyciągnął z kieszeni kartkę i położył ją na gazecie.

* Na tej kartce jest ten sam numer, a także trzy inne kombinacje liter i cyfr, które też mogą być numerami rejestracyjnymi; wszystko to znalazłem w zeszytach Rhymfaxe * powiedział detektyw, usiadł i skrzyżował ręce na piersi.

* Jasny gwint, rzeczywiście! * wykrzyknął Ungbeldt.

* Co to, do licha, może znaczyć? * spytał zdziwiony Jon Fur*helle.

* Dobrze pytanie * odpowiedział Skarphedin, kładąc ręce na stole. * Mieszkanie na Saxegaardsgata: mamy lilie. Wskazują na Gart*landów. Pojawia się nazwa Khirbet Qumran. To też wskazuje na Gartlandów. A teraz jeszcze znaleźliśmy numer rejestracyjny samochodu pary, zapisany w zeszytach Rhymfaxe. Czy w dalszym ciągu ktoś wierzy, że te sprawy nie są ze sobą powiązane?

* Nie, teraz wszystko wydaje się jasne * odparł Tor Jonson. * Właściwie to wykluczone, żeby taka kombinacja liczb i cyfr przez przypadek znalazła się w zeszytach Rhymfaxe. „A Szatan skradał się w cieniu, machając ogonem...”.

* Świetnie, Tor * przerwał mu Skarphedin. * Podsumujmy wszystko i zabierajmy się do pracy!

Była za kwadrans trzecia. Skarphedin Olsen stał przy biurku w swoim pokoju; czuł jakiś wewnętrzny niepokój, najchętniej wezwałby taksówkę i pojechał do „Kasserollen”, do Fredrica; pogawędziliby sobie, może wypróbowałby któreś z jego nowych dań, jednak rozsądek mówił mu, że teraz ma ważniejsze sprawy na głowie: jedna z zapisanych na kartce kombinacji okazała się numerem rejestracyjnym hondy Accord z 1977 roku, należącej do Davida Gart*landa, a pozostałe? musi to natychmiast sprawdzić; podszedł do lodówki, nie było w niej nawet kawałka sera! Tor Jonson otrzymał zadanie dowiedzenia się czegoś więcej o handlarzu antykami, Ebe*zerze Goldmanie; miał też kupić jakiś drobiazg pochodzący z Lyk*kii, który Maltstuen miał później zemleć na proszek; Peder Ung*beldt miał natomiast pilnować Corbina: kim był mężczyzna, który miał okazać konto w banku, ale nieszczególnie dobrze radził sobie w pracy w biurze podróży, do tego stopnia, że groziło mu zwolnienie? żeby nie było ani kawałka sera! zirytowany zatrzasnął drzwi lodówki; Jon Furhelle miał dotrzeć do sekty i zdobyć więcej informacji o Gartlandach, między innymi dowiedzieć się, co robili w Izraelu? on natomiast miał spotkać się ze Starkabel o czwartej, czyli za godzinę; kiedy o niej myślał, rysy jego twarzy łagodniały; są jeszcze kobiety na tym świecie; Anna Lovli wyszła co prawda za wojewodę gdzieś z Finnmarku... Nagle przerwał rozmyślenia, bo jego wzrok przykuł plakat wiszący na ścianie naprzeciwko biurka, przedstawiający tajemniczego boga Majów; Chac Mool głosił podpis; przyglądał mu się chwilę, następnie usiadł, wziął do ręki słuchawkę i zaczął dzwonić.

FS*21217: własność Michaela Mellinga, Oslo.

KT*94311: właścicielem był Jack Bekk, Haugesund.

MF*51512: zarejestrowany na Sarę Bronken, Nittedal.

Rzeczywiście były to numery rejestracyjne samochodów; znów wykonał kilka telefonów i wkrótce miał także adresy i numery telefonów ich właścicieli; co to byli za ludzie? czy wszyscy należeli do tajemniczej sekty „Celsus”? bardzo prawdopodobne, uznał Skarphe*din; poza tym zeszyty mogły zawierać jeszcze inne informacje, pewnie głównie jakieś bzdury, quasi*kryptoteksty, jak to określił Fredric Drum, ale siostrzeniec stał się z czasem ekspertem w odczytywaniu takich rzeczy, więc może i z tym sobie poradzi? a może Aron Rhym*faxe powróci? to wcale nie było wykluczone; tak czy inaczej, numery rejestracyjne samochodów były na pewno ważnym śladem, być może w tej chwili nawet najważniejszym. Olsen był zadowolony, nawet zaczął nucić coś pod nosem; zerknął po raz kolejny na zanotowane nazwiska, złożył ręce i siedział tak chwilę; miał wrażenie, że jakiś dziwny prąd przechodzi z jego prawego palca wskazującego do lewego; chwycił się za głowę i zaczął mamrotać: „... .Fulcanelli... twierdził, że jest w stanie uwolnić energię atomową, posługując się jedynie

geometrią, bez sięgania po elektryczność czy techniki próżniowe... ostrzegał przed czymś, co mogło być prekursorem bomby atomowej... nie został poważnie potraktowany... po wojnie znikł bez śladu...".

* Stop! * krzyknął nagle. Podskoczył na krześle.

Przebłysk myśli! Teraz jakby wyraźniejszy.

Imię i nazwisko.

Imię i nazwisko: Peter Shlomsky.

* Peter Shlomsky, tak! * zawołał znów, tak głośno, że Myra Sjursill, która miała swój pokój po drugiej stronie korytarza, przybiegła i zajrzała przez drzwi; odesłał ją z powrotem niecierpliwym gestem ręki; mam, pomyślał, tylko gdzie ja znajdę te papiery? minęło dobre dziesięć lat od czasu, kiedy zajmował się tą sprawą: Instytut Badań Jądrowych, tajemnicze zgony; gdzie mogą być te papiery? w archiwum? oczywiście, chwycił za słuchawkę telefonu i połączył się z archiwum; pięć minut później na jego biurku wylądowała gruba, pożółkła teczka, otworzył ją i zaczął nerwowo przerzucać papiery, znalazł to, czego szukał: „Peter Shlomsky, ur. 24.6.33, izraelski naukowiec, badacz jądrowy, doktorat z fizyki teoretycznej, starohebrajskiej/machabejskiej, oraz z fuzji chemicznych, brał udział w wykopaliskach archeologicznych nad Morzem Martwym w latach 1953*57, profesor wydziału przyrod*niczo*naukowego w Tel Awiwie w latach 1961*65; prowadził badania w Instytucie Eissmanna w Haifie do jesieni 1983 roku, kiedy to został aresztowany przez władze izraelskie i oskarżony o plany wyprodukowania własnej broni atomowej. Twierdził, że broń atomową można produkować w niezwykle prosty sposób, w wyniku zimnej fuzji; został pozbawiony możliwości publikowania swoich teorii. Skazany na dożywotnie więzienie, przebywa obecnie w więzieniu w Tel Awiwie, mimo międzynarodowych protestów pozostaje pod ostrą kontrolą władz. Nie udało się zdobyć aktualnych informacji o nim ani przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych, ani przez izraelską ambasadę".

Czytając to, Skarphedin zaczął przypominać sobie coraz więcej szczegółów związanych ze sprawą: wszyscy ludzie, którzy wtedy zmarli, mieli jakiś kontakt ze Shlomskym, nie żeby to miało istotne znaczenie dla całej sprawy, ale trop ten wzbudził spore zainteresowanie, na pewnym etapie śledztwa poświęcono mu dużo uwagi, pewnie właśnie z powodu tragicznych losów izraelskiego naukowca, który podobno biegle władał dwunastoma językami; dlaczego izraelskie władze tak go izolowały? dlaczego nie pozwolono mu przekazać informacji dotyczących zimnej fuzji innym naukowcom? podstawowe pytanie brzmiało jednak: skąd czerpał swoją wiedzę? Olsen poczuł ciarki na plecach; nadal miał świetną pamięć, przypominały mu się kolejne szczegóły: Shlomsky był także znawcą języków starohe*brajskich; twierdził, że istnieją ślady wskazujące, iż starożytne kultury posiadały wiedzę na temat niezwykle skomplikowanych technologii, naukowiec robił niejasne odniesienia do Arki Przymierza ze Starego Testamentu, twierdził ponadto, że ma dostęp do tekstów, które zrewolucjonizują nasze podejście przede wszystkim do pierwiastków, ale nie tylko, będą bowiem miały daleko idące konsekwencje, odkryją tajemnice naszego istnienia. Sprawa zaczyna być poważna, pomyślał Skarphedin, tym bardziej, że naukowiec uczestniczył w badaniach prowadzonych przez archeologów nad Morzem Martwym: w Khir*bet Qumran? bardzo możliwe, pomyślał; ciekawe, do czego doszedł? Skarphedin krążył nerwowo po pokoju, co to, do licha, wszystko znaczy, zastanawiał się coraz bardziej zaniepokojony; to dziwne, że skojarzenie, ten przebłysk w jego umyśle, pojawiło się wtedy, kiedy czytał tekst o Fulcanellim. Czyżby Peter Shlomsky był współczesnym alchemikiem? znał Paracelsusa i Fulcanelliego? i tę sektę, „Celsus"? całkiem możliwe. Gdzie obecnie przebywa Peter Shlomsky? Pewnie nadal jest w więzieniu, pod baczny okiem izraelskich władz, pozbawiony kontaktu ze światem zewnętrznym; dlaczego? czyżby stanowił jakieś zagrożenie? nie było żadną tajemnicą, że Izrael był w stanie produkować broń atomową, czy

to miało z tym coś wspólnego? Skarphedin czuł narastający niepokój; sięgnął po słuchawkę telefonu i wybrał numer, pod który już raz dzisiaj dzwonił.

* Ambasada Izraela * powitał go kobiecy głos.

* Poproszę z attache kulturalnym Arielem Krunchem.

* Chwileczkę.

* Krunch * odezwał się głos.

* Mówi Olsen z KRIPOS. Rozmawialiśmy już dzisiaj. Chodziło o zamknięte tereny nad Morzem Martwym.

* Tak, pamiętam. W czym mogę pomóc tym razem?

* Peter Shlomsky, mówi to panu coś? Chwila ciszy.

* Taaak. Był kiedyś taki szpieg * odezwał się mężczyzna z pewnym wahaniem.

* Czy biedak nadal siedzi w więzieniu? Znów dłuższa przerwa.

* Nie. Peter Shlomsky nie siedzi w więzieniu. Zniknął.

* Zniknął? * powtórzył Skarphedin podniesionym głosem.

* Przepraszam, panie Olsen, ale nie czyta pan gazet? Trzy lata temu cała prasa o tym się rozpisywała. Shlomsky zniknął z więzienia. Nikt nie wie, gdzie jest. Amnesty oskarża Izrael o tortury; twierdzi, że zamordowaliśmy tego szaleńca. Ale to nieprawda. On zniknął. Nie ma go już w Izraelu.

Skarphedin milczał chwilę. W końcu wrzasnął do słuchawki:

* Ciekawe, kto uwierzy, że można tak po prostu zniknąć z izraelskiego więzienia?! Bardzo dziękuję.

Odłożył słuchawkę z takim impetem, że aparat wyłądował na podłogę; Skarphedin pozwolił mu tam leżeć; zerknął na zegarek, chwycił płaszcz i wybiegł z pokoju.

Było pięć minut po czwartej, kiedy Skarphedin Olsen wysiadł z taksówki przed stacją metra na Gronlandsleiret; nie lubił się spóźniać, szczególnie kiedy * tak jak teraz * był umówiony z kobietą, i to z wyjątkową kobietą, cieszącą się szacunkiem i uznaniem w kręgach stołecznej policji; kobietą, która niewątpliwie miała wszelkie kwalifikacje, żeby zajmować się powierzoną jej sprawą, Raket Starkabel bowiem nie dość, że kiedyś wchodziła w skład grupy antyterrorystycznej, to była też ekspertem do spraw zamachów bombowych. Mając do czynienia z podejrzanymi paczkami czy torbami, nigdy nie korzystała z pomocy robotów, polegała na własnych rękach, oczach i uszach i * ku zdziwieniu wielu kolegów * jak dotąd wychodziła cało z każdej opresji. Olsen przeszedł przez jezdnię i zbliżał się do popularnego w tej okolicy lokalu „Punjab Sweet House”, gdzie kilku lubiących gotować Sikhów serwowało smaczne, dobrze przyprawione dania za niezbyt wygórowane pieniądze; czyżby Starkabel gustowała w takiej kuchni? zastanawiał się Skarphedin; miał bowiem wrażenie, że miała bardziej konserwatywne upodobania. Otworzył drzwi i wszedł do niewielkiego, dość spartańsko urządzonego pomieszczenia; mimo panującego tu tłoku od razu zauważył siedzącą gdzieś w kącie w głębi lokalu Starkabel; pomachał do niej, a ona skinęła głową, wskazując na wolne krzesło przy stoliku; Skarphedin zdjął płaszcz i podszedł do kontuaru, gdzie zaczął niecierpliwie oczekiwać swojej kolejki; w końcu zamówił lam masala z ryżem i porządną porcją chrzanu, danie wyglądało nieźle; zauważył, że jest spięty, i próbował się uspokoić.

* Pobłogosław Panie ten posiłek * odezwała się Starkabel zupełnie poważnie.

* Nie wiem, czy On jest tu obecny * uśmiechnął się Skarphedin może nieco zbyt pobłaźliwie i usiadł. * Dużo pracy?

* Nie więcej niż zwykle, Olsen * odpowiedziała, zerkając nieufnie na stojący przed nią talerz; wzięła kęs. * Można by pomyśleć, że KRIPOS nas śledzi. Mam tylko kwadrans.

* Ale ty jesteś piękna, Raket * wyrwało mu się nagle; ostro przyprawione jedzenie sprawiło, że na czoło wystąpiły mu kropelki potu.

Kobieta patrzyła na niego, łagodnie się uśmiechając.

* Czy ja dobrze usłyszałam?

* Pewnie tak * odpowiedział Skarphedin, unikając jej wzroku. * Kiedy ta sprawa się skończy, mam ochotę zaprosić cię na jakieś wakacje.
* Niedawno miałam urlop, a zresztą po co?
* Po co? No tak. * Detektyw odchrząknął, sięgnął po rolkę papieru kuchennego i wytarł usta.
* Widzę, że jesteś opalona. Do twarzy ci z opalenizną. Miałas dużo słońca.
* Przestań, Olsen, opowiadać bzdury. O co chodzi? * spytała, przybierając poważny wyraz twarzy.
* Sprawa jest poufna; proszę, nie pytaj dlaczego. Prowadzę dochodzenie. Pewne ślady wskazują na to, że moja sprawa może mieć związek ze sprawą, którą ty prowadzisz, i znów proszę, nie pytaj o szczegóły. Jest kilka rzeczy, które chciałbym wyjaśnić, Rakel.

* Słucham * powiedziała, odsuwając talerz z na wpół zjedzonym daniem.
* Czy z sąsiadów Gartlandów jedynie Ebezer Goldman wiedział, gdzie para przebywała i czym się zajmowała?
* Tylko on o tym wiedział, tylko on z nimi rozmawiał * odpowiedziała poważnie kobieta.
* Małżeństwo najwyraźniej pragnęło zachować anonimowość. Zresztą zdaje się, że dość rzadko bywali w domu * zauważył Skarp*hedin, zjadając resztki swojego dania.
* To prawda * potwierdziła krótko.
* Nazwa Khirbet Qumran, miejscowość nad Morzem Martwym, pojawiła się na dość wczesnym etapie policyjnego dochodzenia. Czy ta informacja pochodziła właśnie od Ebezera Goldmana?

Rakel Starkabel popatrzyła na Olsena.

* Owszem, od niego * potwierdziła z pewnym wahaniem. * W pierwszych godzinach panowało dość duże zamieszanie; nie wiem dokładnie, kto i co wtedy mówił.
* To bardzo ważne, Rakel! Ty rozmawiałaś z Goldmanem?
* Ja na pewno, ale nie pamiętam, kto jeszcze * odpowiedziała, zerkając niecierpliwie na zegarek.
* Czyli nie słyszałaś tych słów: Khirbet Qumran?
* Owszem, słyszałam. Goldman wymienił tę nazwę. Teraz sobie przypominam. Mówił, że małżeństwo niedawno wróciło z podróży do Izraela, gdzie prowadzili badania w jaskiniach Khirbet Qumran.
* Doskonale, Starkabel! Jesteś prawdziwym skarbem * powiedział Skarphedin, uśmiechając się promiennie.
* Coś takiego. * Kobieta nie odwzajemniła jego uśmiechu. Skarphedin siedział i cicho pogwizdywał, drapiąc się po karku.
* Jakie macie teorie? Idziecie jakimś tropem? * wypytywał.
* Na razie nie mamy niczego konkretnego, chociaż pewna teoria zaczyna się kształtować * powiedziała i zaczęła zbierać się do wyjścia. * Bomba nie jest dziełem amatorów, tylko zawodowców.

Terrorystów. Niektóre części są identyczne z tymi, których Hamas używa w Izraelu. Podejrzewam, że chodzi o jakieś polityczne rozgrywki. A sprawcy pewnie już dawno wyjechali z Norwegii.

* Czyli to sprawa dla POT? Jedna z tych, które nigdy nie zostaną rozwiązane * powiedział, marszcząc czoło.

* Tak, wiele na to wskazuje. Coś jeszcze chciałeś wiedzieć, Skarphedinie? * spytała; na jej wargach drgał lekki uśmiech.

* Tak, nie poddam się, dopóki nie dasz się zaprosić na dobrą kolację.

* Jesteś pewien, że lubię ten typ mężczyzn? * rzuciła, wstając od stołu.

* Mężczyzn takich jak ja? A ja czymś się wyróżniam? * spytał nieco zakłopotany.

Kobieta roześmiała się.

* Jesteś przystojnym facetem, Olsen. Brakuje ci tylko trochę duchowej głębi. Ale temu można zaradzić, prawda?

Skarphedin nie odpowiedział; siedział, wpatrując się w blat stolika, a w głowie miał mętlik; nagle podniósł się i spytał:

* Chłopiec, ich synek, miał sześć lat. Wiesz, gdzie on jest? Szli razem w kierunku drzwi; ona przodem, on z tyłu.

* Tak * odpowiedziała * Jest u ciotki w Anglii.

* To dobrze.

Wyszli na zewnątrz, stali chwilę na chodniku; kobieta czekała na samochód, który zaraz miał po nią przyjechać; Skarphedin próbował złapać jej wzrok, ale bez powodzenia; była niemal o głowę wyższa od niego; piękna kobieta, pomyślał i kopnął jakiś nieistniejący kamyk na chodniku: naprawdę brakuje mu duchowej głębi? Może wiary w Boga, ale nie uważał tego za jakąś szczególną wadę, wręcz przeciwnie; położył rękę na jej ramieniu.

* Jeśli chodzi o tę kolację, to mamy czas, zadzwonię do ciebie.

* Jasne * odpowiedziała. * Jeśli uważasz, że warto.

Warto jak warto, pomyślał; wkrótce kończył pięćdziesiąt siedem lat.

Miał już iść, kiedy nagle zadzwonił jej telefon komórkowy; odebrała go i Skarphedin zauważył, że zmieniła się na twarzy; zacisnęła wargi, opalenizna jakby nagle znikła, warknęła coś i zakończyła rozmowę. Skarphedin bacznie się jej przyglądał; ona też na niego patrzyła, przestraszona?

* Wczoraj przed południem rodzice odebrali chłopca z lotniska Gardermoen, mniej więcej sześć godzin przed wybuchem bomby * powiedziała bezbarwnym głosem.

Skarphedin zanurzył się we mgłę, przeszedł przez plac i ruszył przed siebie bez żadnego celu, bez żadnej jasnej myśli w głowie.

Fiński zespół badawczy zbliża się do zera bezwzględnej Niewielki przełom w badaniach nad zachowaniem się metali w temperaturze zera bezwzględnej, czyli minus 273,15 C Próby przeprowadzone w laboratorium ośrodka badawczego w pobliżu Helsinek doprowadziły do odkrycia nowych, nieznanych dotąd właściwości metali ochładzanych do temperatury zera bezwzględnej, czyli minus 273,15 stopni Celsjusza.

Wiadomo, że w temperaturze zera bezwzględnej zamiera ruch atomów. Ostatnio fińscy naukowcy zbliżyli się do tego punktu, ochładzając próbkę rodu do temperatury 100 pikokelwinów, czyli zaledwie 0,000000001 powyżej zera bezwzględnej.

Badaczy zdziwiło zachowanie niemal nieruchomej struktury w ekstremalnych warunkach. Metal się zdestabilizował, zmieniła się ilość atomów, co oznacza, że powstał nowy rodzaj metalu.

Naukowcy nie chcą spekulować, jak zachowałby się na przykład ołów, Plumbum, o masie atomowej 207,19, gdyby został ochłodzony do tak niskiej temperatury. Teoretycznie mogłoby dojść do zimnej fuzji, w wyniku której powstałoby złoto.

Jeszcze bardziej zaskakujące jest przekonanie naukowców, że zastosowaną technikę można znacznie uprościć; wtedy proces mógłby zostać przeprowadzony niemal w każdym laboratorium. Finowie nie chcą jednak zdradzić, jaką metodę zastosowali. W Izraelu...

Wycinek z „Science Magazine”, kwiecień 1998.

Detektyw zastanawia się, czy zamówić książki z Paryża, młoda para całuje się w parku Frogner, a Olsen znajduje samochód z dwoma mandatami Szedł przed siebie, mijał kolejne ulice, rynki, place, przystanki tramwajowe; czyżby nagle zaświeciło słońce? dzień stał się piękny i ciepły, ptaki zaczęły śpiewać w koronach drzew, na gałęziach pojawiły się już pierwsze liście; czyżby naprawdę było aż tak gorąco? Zrzucił płaszcz i podwinął rękawy koszuli; patrzcie: Skarphedin Olsen idzie ubrany w jasną letnią

koszulę, ma na sobie elegancką szarą kamizelkę ze srebrnymi guzikami, a na głowie wielki flauszowy kapelusz! Czy to naprawdę jest ten chudy detektyw z głębokimi bruzdami na twarzy? idzie i się uśmiecha? Tak, przedzierał się przez tłum ludzi na rynku, wypatrując straganów z kwiatami; pokiwał głową na widok czerwonych, niemal krwistych róż, tak świeżych w porannym powietrzu; budziły w nim dziwne pożądanie, miał ochotę skraść jedną, ale się pohamował, nagle bowiem jego uwagę przykuły inne kwiaty, płomienne lilie, żółte i czerwone, o nieco przygnębiającej nazwie „Koniec podróży”; detektyw pokręcił zdecydowanie głową; gdzieś ktoś otworzył drzwi, a z okna na drugim piętrze wychyliła się dziewczyna i zaczęła przecierać szyby; zdawała się jak najbardziej rzeczywista, jak zresztą wszystko dookoła; nagle pojawiła się wokół niego jakaś jasność, zobaczył przed sobą dwie kobiety, obie miały kapelusze z błękitnymi piórami i zawiązane na szyi jedwabne wstążki; Skarphedin podążył za nimi; kobiety skręciły i zatrzymały się przy sklepie muzycznym Cislera, najwyraźniej o czymś rozmawiały; Skarphedin stanął i zaczął się im przysłuchiwać; po chwili kobiety zawróciły i ruszyły tą samą drogą, którą przed chwilą szły, skręciły w Universitetsgaten, kierując się na Plac Sw. Olafa.

Skarphedin zatrzymał się przed oknem wystawowym, zaczął oglądać złote naszyjniki i bransolety, z Turcji? tak, to były stare rzeczy z czystego złota, pochodzące z tureckiego wybrzeża likkijskiego;

postał chwilę i ruszył dalej; na Pilestrsede zatrzymał się przed sklepem z żywnością, gdzie na wystawie stało mnóstwo różnych rzeczy; postanowił wejść i zrobić zakupy: kupił pół kilograma najlepszego koziego sera i spory kawałek stiltona, skusił go też wspaniale pachnący camembert z niepasteryzowanego mleka; spakował swoje zakupy i pożegnał się grzecznie ze sprzedawczynią, starszą, dość tęgą kobietą; następnie ruszył rażnym krokiem przez Wzgórze Zamkowe do parku; znalazł pustą ławkę, wyciągnął sery, co za cudowny wiosenny dzień! Twarz Skarphedina Olsena promieniała uśmiechem, zmarszczki z jego czoła znikły, pogrążył się w alchemii, próbując zgłębić jej mądrość; nie interesowało go złoto ani inne bogactwa, tylko prawdziwa alchemia, która mogłaby ukoić jego duszę i zapewnić mu życie wieczne tu na ziemi; najpierw jednak musiał się pozbyć nagromadzonego balastu minionych lat, wyrwać wszystko z korzeniami, zniszczyć; ha! roześmiał się sam do siebie i uchylił kapelusza, pozdrawiając grzecznie szacownego pisarza Bjornsona, który właśnie mijał go w towarzystwie trzech panienek z parasolkami, chroniły swoje delikatne lica przed ostrymi promieniami słońca; Skarphedin wstał z ławki i ruszył dalej; wędrował beztrząsco ulicami, zatrzymywał się nagle zupełnie bez powodu, skręcał w boczne uliczki bez żadnej potrzeby, po prostu tego ranka, czy raczej przedpołudnia? szedł przed siebie, gdzie go oczy niosły; która godzina? stracił poczucie czasu, wtopił się w uliczny tłum, powietrze było jasne i puste, żaden cień nie mącił spokoju jego duszy; dookoła rozbrzmiewały głosy, hałasowały wozy, wtórując odgłosom ludzkich stóp; czuł się coraz bardziej zadowolony; czegoż więcej mógłby sobie życzyć tego słonecznego poranka? Żył, obserwował ludzi, których spotykał na swojej drodze, czy ta kobieta w jasnej sukni to nie Cecilie Krog? dzielna studentka, która spowodowała, że bramy uniwersytetu otworzyły się także dla kobiet? tak, to była ona; czytał plakaty na ścianach, na chwilę oślepiły go światła przejeżdżającego tramwaju, to wszystko były drobiazgi, ale jakże ważne; tak, tak! słyszał własny głos: wszystko ma znaczenie i wszystko jest ze sobą powiązane; ale te cztery litry krwi na podłodze mieszkania na Starym Mieście? jakie one mogły mieć znaczenie? a ciemny cień, który zniknął za wzgórzem Ekeberg? Detektyw szedł dalej, mijał kolejne ulice, czując niezwykle spokojny; przecież właśnie spotkał pewną kobietę, która być może pojedzie z nim nad Morze Śródziemne, tam, gdzie jest przyjemnie ciepło, albo jeszcze dalej na południe: będą się kąpać w Morzu Martwym, unosić się na słonych falach; najpierw jednak musi zgłębić tajemnice alchemii, by móc rozsadzić więzienne mury w całym Izraelu! Był silny, mógł gołymi rękami zatrzymać wóz; a co tam się dzieje? jakiś mężczyzna rozdawał pamflety, miał wziąć jeden? wyciągnął rękę, wziął kartkę i

zaczął czytać: „Więzienie i rozpacz, trzecia część Chorej Miłości; przesyłamy po uiszczeniu opłaty w wysokości dziesięciu koron, zamówienie należy wysłać na adres autora: Hans Jaeger, 15 Rue Daubenton, Paryż; Wyznanie, druga część Chorej Miłości, jest dostępna za tą samą cenę. Obie książki zostały wydane w dwustu pięćdziesięciu numerowanych egzemplarzach”. Śmiejąc się, Skarphedin pokręcił głową; biedni pisarze, a może zamówi obie książki? uznał to za niezły pomysł; minął Grand Cafe, zajrzał przez szyby; nie miał ochoty wchodzić do lokalu pełnego papierosowego dymu, wolał spacerować po mieście, ciesząc się słońcem, i śpiewem ptaków; dokąd ma teraz iść? postanowił, że pójdzie ulicą Karla Johana w kierunku Dworca Wschodniego, jednak po chwili ponownie skręcił w stronę Stortorvet; dotarł do Mollergaten, zatrzymał się przed gospodą; w powietrzu rozchodził się zapach smażonego mięsa; zawrócił, zboczył, by przejść obok fontanny, napił się wody; zwolnił tempo; nie miał żadnego określonego celu, zatrzymywał się przy każdej sklepowej witrynie, śledził wzrokiem każdy przejeżdżający samochód: tablice rejestracyjne! czuł, że robi mu się gorąco, pulsowało mu w skroniach; może nie powinien był pić wody z fontanny? zrobiło mu się niedobrze, zwymiotował, w końcu dotarł do cmentarza; usiadł, opierając głowę na dłoniach, wreszcie udało mu się zapanować nad mdłościami, wstał: dlaczego nie słyszy już śpiewu ptaków? panowała cisza, nie docierał do niego żaden dźwięk, popatrzył w górę na koronę drzew, gałęzie były nagie, bez liści; spokojnie, powiedział sam do siebie, na niebie jest tylko jedna niewielka chmurka, zaraz znów pokaże się słońce, ptaki zaczną śpiewać; gdzie on jest? zaczął iść, przyspieszył kroku, ruszył w stronę centrum; przed nim szły te same dwie kobiety, które niedawno mijał; jedna była zjawiskowo piękna, trzymała w rękę parasolkę, ściskając mocno rączkę; kobiety się rozdzieliły, Skarphedin podążył za jedną z nich, dogonił ją, wyminął i nagle się zatrzymał: stał i patrzył jej w oczy, zobaczył w nich imię i nazwisko, których wcześniej nie słyszał, brzmiały niepokojąco * Rakel Starkabel, śpiewał w nim jakiś głos; detektyw zamknął oczy i szybkim krokiem ruszył dalej, niewiele brakowało, a wywołałby skandal, naprawdę zaczęłoby całkowicie nieznaną mu kobietę? Zaczął biec, otulił się szczelniej płaszczem, było zimno, w powietrzu czuło się wilgoć, zatrzymał się i zaczął kasłać, wyjął z kieszeni chusteczkę, wytarł nos, stał, lekko się chwiejąc: gdzie on jest? podszedł do balustrady mostu i zaczął się wpatrywać w szarą wodę, po wodzie pływały kaczki, niczego nie poznawał, gdzie on, do licha, jest? i jak się tu znalazł? zerknął na torbę, którą trzymał w ręku: sklep serowar*ski Petersena, najwyraźniej kupił jakieś sery, spojrzał na zegarek, była za dziesięć szósta, znów spojrzał w dół, na wodę, pod nim płynęła rzeka, Akersehza; stał na moście, była gęsta mgła, za dziesięć minut miał się spotkać z szefem KRiPOS, Arthurem Krondelem, w sklepie sportowym, „Gresvig Sport”, niedaleko stąd, na Stenersgata; czuł się lekko oszołomiony, czyżby się zdrzemnął, siedząc na ławce? miał wrażenie, że budzi się z jakiegoś głębokiego snu: co, u licha, się dzieje? pomyślał, ruszając ulicą w stronę sklepu. Tablice rejestracyjne, wymamrotał pod nosem, musi jak najszybciej sprawdzić te tablice! to może być najważniejszy ze śladów zostawionych przez starszego pana; Skarphedin wszedł do bramy, wyjął z kieszeni telefon komórkowy i notes i wybrał numer.

Michael Melling, Krebs gate w Torshov.

Zadzwoił.

Nikt nie odbierał; zadzwonił jeszcze raz.

Żadnej odpowiedzi.

Kolejny numer: Sara Bronken, Postsvingen, Nittedal.

Też żadnej odpowiedzi.

* Do licha! * warknął poirytowany.

Ostatni numer. Jack Bekk, Flotmyrgata w Haugesund.

* Tak, słucham? * odezwał się kobiecie głos.

* Dobry wieczór * zaczął Skarphedin, starając się brzmieć łagodnie. * Tu Skarphedin Olsen z Centrali Policji Kryminalnej w Oslo. Zastąpiłem Jacka Bekka?

Kilka sekund ciszy.

* Nie, jest w Stanach, na seminarium. To coś ważnego? * spytała kobieta zaniepokojona.

* Ależ nie * odpowiedział Skarphedin. * Chodzi tylko o pewne informacje. Z kim rozmawiam?

* Nazywam się Marie Myslett. Jestem pomocą domową. Sprzątam tu dwa razy w tygodniu; to właściwie przypadek...

* Świetnie * przerwał jej Skarphedin. * Wie pani może, kiedy Bekk wraca?

* Za jakiś tydzień; w przyszły weekend powinien już być.

* Można się z nim skontaktować telefonicznie?

* Nie wiem, nie mam do niego numeru * odpowiedziała kobieta; zaczynała się niecierpliwie.

* Jeszcze jedno pytanie * poprosił Skarphedin, starając się mówić spokojnie, niemal obojętnie. * Czym zajmuje się pan Bekk, jaki ma zawód?

* Jack Bekk jest neurochirurgiem. Podobno najlepszym w kraju. Nie wiedział pan? A co Centrala Policji Kryminalnej chce od pana Bekka?

* Tego niestety nie mogę powiedzieć. Ale to nic poważnego. Bardzo dziękuję, proszę się nie przejmować i spokojnie sprzątać dalej * zakończył Olsen.

Za trzy minuty szósta; wejście do sklepu było tuż obok; detektyw obrzucił złym wzrokiem swój telefon komórkowy; po chwili wybrał numer do szpitala w Rogaland, ale tam też nie uzyskał żadnych informacji; nikt nawet nie wiedział, że neurochirurg jest na jakimś seminarium w Stanach; nie był zatrudniony na stałe, jedynie współpracował ze szpitalem. Neurochirurg i wolny zawód? zastanawiał się Skarphedin? czy to możliwe? ponownie wybrał numer Mi*chaela Mellinga i Sary Bronken, ale z tym samym skutkiem, nikt nie odbierał; pięć po szóstej był już na schodach prowadzących do działu sportowego; z daleka zobaczył znajome plecy pochylające się nad szklaną ladą; mężczyzna przyglądał się planszy z pięknie przypiętymi muszkami.

* Spójrz na tę, Skarphedin! * powiedział, pokazując mu jedną z nich. * „Griffith Gnat”, haczyk numer 16, z pawim piórkem i sierścią niedźwiedzia. Założę się, że na taką złapie się każdy losoś.

Skarphedin przyglądał się muszce zainteresowany; odchrząknął, oparł się o ladę, stojący obok sprzedawca pokręcił niezadowolony głową; Krondal odłożył planszę na bok i pociągnął Skarphedina w stronę stojaka, na którym stały wędki przeznaczone do połowu lososi.

* Jakoś kiepsko wyglądasz, zaniedbałeś się; źle sypiasz?

* Zaniedbałem się! Też coś * powiedział Skarphedin wyraźnie zraniony. * Prawdę mówiąc, Arthurze, chyba pora wyłożyć karty na stół. Domyślam się, że wiesz trochę więcej, niż nam mówisz.

* Wierz mi, że w tym momencie wiem niewiele więcej niż ty. Sprawa jest szczególna, a po zamachu sytuacja skomplikowała się jeszcze bardziej * powiedział szef poważnym tonem.

* Więc jednak jest jakieś powiązanie? * spytał Olsen, mrużąc oczy.

* Nic nie wiem. Ale jeśli ty, najlepszy detektyw w całym dziale, do tego dojdiesz, to przyznam ci rację. Tyle że nadal jest to TRUMNA, mam nadzieję, że się rozumiemy?

* Teraz, kiedy w sprawę są wmieszani ci ślepcy z POT i cała policja w mieście? * roześmiał się Skarphedin. * Jasne! Naprawdę wierzysz, że uda się to utrzymać w tajemnicy?

* Mam nadzieję, że tak * odpowiedział Krondal cicho. * Znasz mnie i wiesz, że nie lubię przesadzać, ale ta sprawa może mieć bardzo poważne konsekwencje. Naprawdę poważne. Powtarzam jednak, że w sumie wiem pewnie tyle samo co ty, a może nawet mniej. Czuję, że mam nad sobą jeszcze kogoś, kto pociąga za sznurki, i bardzo mi się to nie podoba. Mam słuchać, ale nie wolno mi zadać nawet jednego pytania! Jeśli ty jesteś sfrustrowany, to co ja

mam powiedzieć? * zakończył Krondal. Stał przy stojaku i bacznie się przyglądał jednej wędze; kiedy podszedł do nich sprzedawca, odwołał go gestem ręki.

Skarphedin milczał.

Rzadko słyszał takie rzeczy z ust szefa.

Znali się niemal od zawsze.

Odszedł nieco na bok, przejechał dłonią po wędkarskich spodniach.

Słowa zdają się puste, pomyślał, i zaraz potem: czemu ja się tak niecierpliwie? Od dwóch dni zajmował się sprawą; powinien się cieszyć z wyzwania, jakie ta sprawa przed nim stawia, a on już czuje się nią zmęczony, zaledwie po dwóch dniach.

* Nie mam żadnego przestępstwa * zaczął Skarphedin ledwie słyszalnie. * Mam tylko puste mieszkanie na Starym Mieście. Trochę żelaznych opiłków, nieco złotego pyłu i cztery litry ludzkiej krwi to jeszcze nie przestępstwo. To jedynie świetnie zaaranżowane tropy dające jasne wskazówki.

* No widzisz. * Krondal nagle się uśmiechnął. * Kiepsko wyglądasz, źle śpisz, masz wszystkiego serdecznie dosyć i jesteś zmęczony, ale wystarczy nagły przebłysk intuicji, a znów jesteś taki jak zawsze, wraca ci klarowność myśli, zmarszczki na czole wygładzają się i wyglądasz młodziej niż ci, którzy codziennie ganiają do siłowni.

* Naprawdę?

* Jasne, spójrz w lustro.

Skarphedin nie spojrział w lustro, poczuł jednak, że rzeczywiście wrócił mu utęskniony spokój i jasność myślenia; wiedział też dokładnie, czym musi się zająć w najbliższych godzinach.

* Zdradziłeś się * uśmiechnął się do Krondala. * Wiedziałeś, że mieszkanie na Saxegaardsgata było jedynie wskazówką, która miała nas naprowadzić na trop.

* To prawda * przyznał Krondal, unosząc rękę. * Ale to jedyne, co wiem. Nie mam pojęcia, kto to zaaranżował ani w jakim celu. Twoim zadaniem jest dowiedzieć się czegoś więcej; mam nadzieję, że podjąłeś już jakieś kroki.

* Po co ten pośpiech? Nie możemy nieco zwolnić? Mam wrażenie, że nasze laboratorium odłożyło wszystkie inne sprawy na bok, żeby jak najszybciej dać nam wyniki.

* Powiedziano mi, że mamy działać szybko, a ja przekazałem to dalej. Mnie też się nie podoba takie ręczne sterowanie, ale muszę wykonywać polecenia. Poza tym nie zapominaj, że mamy do czynienia z zabójstwem, zginęły dwie osoby, nawet jeśli oficjalnie jedna sprawa nie ma nic wspólnego z drugą.

* Do diabła. Zaczynam rozumieć, do czego to zmierza. Arthur Krondal nie odpowiedział. Podszedł do lady i wybrał kilka muszek.

Poprosił sprzedawcę o włożenie ich do plastikowej torebki.

Razem ruszyli w stronę wyjścia.

* Jest kwiecień * odezwał się Krondal. * Za miesiąc zaczyna się sezon na łososie. Może w któryś weekend wybralibyśmy się nad Hellefossen?

* Niegłupi pomysł * przytaknął Skarphedin. * Gdyby tylko ta przeklęta mgła nieco się uniosła.

Krondal zostawił samochód w piętrowym garażu pod Oslo City; Olsen poprosił, żeby wziął ze sobą torbę z serami i włożył do lodówki w swoim pokoju.

* Chłopiec * przypomniał sobie nagle. * Co się stało z synkiem tej pary? Podobno rodzice odebrali go z lotniska niemal tuż przed tym, zanim zginęli.

* To tragiczna historia. Nie znaleziono go. Godzinę temu wszczęliśmy poszukiwania w kraju i za granicą, wszystkie media zostały poinformowane.

* Trochę późno * skomentował Skarphedin.

* Policja nie dopatrzyła sprawy * przyznał Krondal.

* Mam nadzieję, że znajdziecie go całego i zdrowego. * Skarphedin znów otulił się szczelnie płaszczem.

* Zapewne porwali go ci, którzy podłożyli bombę.

Skarphedin stał chwilę i patrzył, jak szef Centrali Policji Kryminalnej znika w podziemnym garażu, potem chwycił się za głowę: znów miał przed oczami małego zagubionego chłopca, mokrego, idącego we mgle Frognerveien; sięgnął po telefon komórkowy, zawahał się i schował go do kieszeni; dochodziła siódma, czuł, że robi się głodny.

Stojąc w domu pod prysznicem, nadal czuł głód, mimo to wesoło pogwizdywał; rozmowa z szefem dobrze mu zrobiła, pomogła mu bardziej, niż się spodziewał; Krondalowi udało się wyrwać go ze stanu apatii, przez chwilę czuł bowiem, że traci kontrolę nad sprawą; „ulotny” określiła go kiedyś Anna Lovli; koniec z tym, postanowił, przyglądając się swojemu odbiciu w lustrze: nadal miał sprężystą skórę, zmarszczki jakby się wygładziły; po rozmowie z Krondalem próbował jeszcze raz skontaktować się z Michaelem Mellingiem i Sarą Bronken, ale bezskutecznie, najwyraźniej nie było ich w domu; głód, który po orzeźwiający prysznic stał się jeszcze bardziej dojmujący, sprawił, że postanowił odwiedzić jedną z najlepszych restauracji w mieście; miał nadzieję, że będzie mógł w spokoju przemyśleć całą sprawę, może coś przeoczył? tak najlepiej mu się pracowało: nad sterylną atmosferą biura przedkładał mniej formalne klimaty; miał ze sobą telefon komórkowy i swoje notatki, niczego więcej w zasadzie nie potrzebował; wczoraj jadł w „Statholdergaarden”, uznał kolację za bardzo udaną; dokąd ma pójść dzisiaj? Ubierając się, zastanawiał się nad różnymi możliwościami, w końcu wybór padł na „Bolgen i Moi” w Hovikodden; nucąc, włożył jaśniejszy wiosenny płaszcz, zatrzymał się chwilę przed lustrem, studiując własne odbicie, na pewno nie wyglądał na zaniedbanego! zadzwonił po taksówkę i po chwili był już drodze, zadowolony, że wybrał lokal leżący nieco za miastem; niemal natychmiast wdał się w rozmowę z kierowcą na temat tego, jak świetnie w trudnych morskich warunkach radzą sobie łodzie Colina Archera, chociaż prawdę mówiąc, nie miał o tym zbyt wielkiego pojęcia; po jakimś czasie taksówka zatrzymała się przed budynkiem Centrum Sztuki w Hovikodden; Skarphedin zapłacił i wszedł do środka; wskazano mu niewielki, ale wygodny okrągły stolik w głębi lokalu, a szef sali zaproponował na powitanie kieliszek likieru domowej roboty autorstwa samego Toralfa Bolgena; co za zapach i smak! Skarphedin pokiwał głową z uznaniem i skupił się na karcie, wkrótce wybrał czterodaniowy zestaw.

Zupa ze skorupiaków z fenkułem i odrobiną koniaku.

Pierś kurczaka nadziewana serem roquefort z sosem z grzybków shitake.

Zapiekanek z ogonówki z pomidorowym chutney.

I deska serów.

Poza tym wybrał butelkę nie za drogiego Bordeaux, pół butelki Chateau Sablot 1993 z Fronsac i pół butelki Petit Chablis 1999, biały burgund; do serów poprosił oczywiście o kieliszek Sauterne'a, i nareszcie poczuł się usatysfakcjonowany; było tuż po dziewiątej, miał klarowny umysł, spróbował gorącej zupy ze skorupiaków, popijając białym winem; idealne, panie Moi, pokiwał głową; kim był ten stary człowiek, który mieszkał na Saxegaardsgata? Bo to, że przebywał tam ktoś, podający się za Arona Rhymfaxe, nie pozostawiało żadnych wątpliwości; fakt ten mogli poświadczyć liczni świadkowie, człowiek występujący pod takim imieniem i nazwiskiem na pewno istniał, tylko jak ta osoba naprawdę wyglądała? czy był to ktoś starszy? czy naprawdę poruszał się na wózku, to mógł być jedynie kamuflaż, w łazience technicy znaleźli ślady kremów koloru*zujących, poza tym nikt nigdy nie widział, żeby Rhymfaxe opuszczał mieszkanie, bardzo dziwne, pokiwał głową Skarphedin. Aron Rhymfaxe mógł być kimkolwiek, jakimkolwiek mężczyzną w wieku między czterdziestką a osiemdziesiątką; mężczyzną, który udawał, że mieszka w tym właśnie mieszkaniu: żadnych mebli, żadnych śladów przeprowadzki, ze sklepu zamawiał jedynie produkty w opakowaniu, czyli takie, które można swobodnie przechowywać lub przenieść w inne miejsce. Kończył zupę, smakowała bajecznie, musiał przyznać: kawałki homara były miękkie i soczyste, a smak fen*kuła nie zagłuszał innych smaków; a wracając do sprawy, Rhymfaxe istniał, ale czy

na dal żyje, czy umarł? Cztery litry krwi na podłodze mogły wskazywać na straszliwą zbrodnię, ale czy naprawdę w mieszkaniu coś się wydarzyło? mało prawdopodobne, pomyślał; mężczyzna pewnie żyje i ma się doskonale, a całe przedstawienie z mieszkaniem miało ukierunkować policyjne dochodzenie, tylko czego to dochodzenie miało dotyczyć?

* Poproszę o dziesięć minut przerwy między każdym daniem.

Uśmiechnął się zadowolony do kelnera, który przyszedł zabrać talerz po zupie i dołączył mu wina do kieliszka; kontynuował swoje rozmyślenia: ślady w mieszkaniu zostały zostawione w konkretnym celu, były wskazówkami, nie miał co do tego żadnych wątpliwości; Krondal też to wiedział; tylko na co one wskazywały? alchemia, qua*si*nauka, wymarła setki lat temu; Rhymfaxe, nazwisko mężczyzny, pseudonim kiedyś chętnie używany przez alchemików; osiem zeszytów gęsto zapisanych trudnymi do rozszyfrowania bzdurami, które być może miały coś wspólnego z alchemią; żelazne opilki zawierające arsenik, składnik często używany przez alchemików, no i zapewne najważniejsza ze wszystkich wskazówek: złoty pył o niebywałym stopniu czystości. Skarphedin pilnie coś notował, kiedy podszedł kelner z kolejnym daniem: pierś kurczaka nadziewana roquefortem; spróbował wina, pokiwał głową, na chwilę skupił się nad posiłkiem, sos był wyśmienity, idealnie dopasowany do miękkiego mięsa kurczaka; z Bresse, wyjaśnił mu kelner; czyli: wyraźne wskazówki sugerujące powiązania z alchemią, ale w mieszkaniu były też inne rzeczy, przede wszystkim była krew, co to mogło znaczyć? Skarphedin stuknął się w głowę, oczywiście! gdyby nie było krwi, sprawą nie zajęliby się doświadczeni śledczy, czyżby więc krew miała sugerować, że doszło do zbrodni, by mieć pewność, że policja potraktuje rzecz poważnie? Osoba, która to wszystko zaaranżowała, chciała mieć pewność, że dochodzenie od samego początku będzie prowadzone przez doświadczonych ludzi; ani Arthur Krondal, ani w ogóle Centrala Policji Kryminalnej nie zostaliby włączeni w sprawę, gdyby nie te cztery litry krwi na podłodze, tego był pewien; mruczając coś pod nosem, Skarphedin znów zaczął notować.

Nie miał się do czego przyczepić.

Pierś kurczaka z Bresse była wyśmienita.

Skarphedin Olsen pokiwał głową i uśmiechnął się do kelnera.

Podano mu sorbet cytrynowy z odrobiną wódki, by wypełnić przerwę między daniami.

Siedział, popijając wino.

Chociaż w restauracji było dużo ludzi, panowała tu cisza.

Jakie jeszcze wskazówki otrzymali? kwiaty, które mogły i z pewnością wskazywały na konkretny kraj: na Izrael; ale czy na pewno? prawdopodobnie tak, bo nic w mieszkaniu nie było dziełem przypadku; osoba, która to zorganizowała, była przebiegła i dokładnie wszystko przemyślała: kwiaty pochodziły z Izraela, zostały przywiezione albo przez małżeństwo Gartlandów, albo przez Corbina, to nie było jasne; co jeszcze wskazywało na Izrael? nazwa Khirbet Qumran

często pojawiała się w zeszytach; Olsen znów chwycił za pióro i coś zanotował; podniecony przywołał ręką kelnera i poprosił o kieliszek jałowcówki przed głównym daniem, chciał przeczyścić gardło; ja*łowcówka szybko pojawiła się na stole, wychylił kieliszek dwoma łykami; odchrząknął i wrócił do swoich rozmyślań: zgodnie z tym, czego dowiedział się od Fredrica Drum, w dziedzinie alchemii istniała tradycja, która mogła mieć swoje korzenie w starożytnych kulturach znad Morza Martwego, z okolic Khirbet Qumran; kolejny związek z alchemią, pokiwał głową, przypomniał sobie, że w mieszkaniu były przecież jeszcze co najmniej dwa ślady, i to znacznie bardziej konkretne: lilie i zapisane w zeszytach numery rejestracyjne. Olsen znów coś zanotował; na stole pojawiła się zapiekanka, rozchodzący się dookoła smakowity zapach dobrze wróżył; mieszkanie musiało zostać przygotowane jeszcze przed zamachem na Gartlandów; kiedy nieznana osoba wszystko to szykowała, nie było jeszcze mowy o zbrodni; może to miało być ostrzeżenie? Przed czymś, co miało się

wydarzyć? Skarphedin zmarszczył czoło i odsunął na bok notes; ogonówka? chutney był łagodny w smaku i świetnie pasował do mięsa; Skarphedin mlaskał, przeżuwał, wachał: doskonałe, acz odważne połączenie! nie miał żadnych zastrzeżeń; kiedyś będę musiał przysłać tu Fredrica, niech złoży wizytę Trondowi Moi, na pewno znajdą wiele tematów do dyskusji; do diabła! ciekawe, czy Rhymfa*xe wiedział, że coś się stanie Gartlandom? którzy przecież przynieśli mu lilie „Journey's End”, czyżby zapis w zeszycie, numery samochodów, były listą śmierci? czy wśród notatek było ukrytych więcej podobnych informacji? czy za zamachem krył się Rhymfaxe? Skarphedin czuł, że zaczyna snuć hipotezy oddalające go od logicznego ciągu zdarzeń; szybko wziął się w garść: faktem było, że Gartlando*wie wrócili z Izraela mniej więcej w tym samym czasie, kiedy zniknął starszy mężczyzna poruszający się na wózku; torby z jedzeniem dostarczone przez gońca ze sklepu stały pod drzwiami mniej więcej od dnia, kiedy para wróciła do Oslo, tak to wyglądało; para przywiozła ze sobą piękny bukiet lilii, których nazwy zapewne nie znali; jakie relacje łączyły Gartlandów z Rhymfaxe? Skarphedin znów sięgnął po notes i zapisał w nim kolejne spostrzeżenia; odbiło mu się i musiał pójść do toalety; kiedy wrócił do stolika, minęła dziesiąta: sery na deser! był w znakomitej formie: wózek z serami? niestety, zawiedziony zobaczył, że kelner niesie mu gotowy półmisek serów, przyglądał się im sceptycznie: francuskich serów nie powinno się tak podawać, gość powinien sam decydować, na co ma ochotę; nic jednak nie powiedział, bo właśnie w tym momencie jego myśli zaprzątnięte były czymś całkowicie innym; nadział kawałek camemberta na widelec i zaczął przyglądać się swoim notatkom.

Mężczyzna, wiek nieokreślony, fałszywe nazwisko, fałszywy adres.

Ślady wskazujące na alchemię: nazwiska, zeszyty, opilki żelaza, złoto.

Ślady wskazujące na zbrodnię: krew, czyli zaangażowanie najlepszych śledczych.

Ślady wskazujące na Izrael: lilie, nazwy w zeszytach.

Ślady wskazujące na Gartlandów: lilie, szminka? numery rejestracyjne.

Rhymfaxe i Gartland: członkowie sekty „Celsus”?

No dobrze, pomyślał i zaczął się zastanawiać nad możliwymi rozwiązaniami, pierwsze było takie: najprawdopodobniej mieli do czynienia z zamożnym, inteligentnym mężczyzną, posiadającym wiedzę zarówno historyczną, jak i naukową, być może członkiem sekty „Celsus”; z nieznanых powodów ów mężczyzna chciał, żeby w sprawę włączeni zostali najlepsi śledczy; sama zaś sprawa miała najwyraźniej korzenie w alchemii wywodzącej się z okolic Izraela; poza tym ów mężczyzna chciał także zwrócić uwagę na małżeństwo Gartlandów oraz na co najmniej trzy inne osoby, których tożsamość skrywały numery rejestracyjne. Rozwiązanie drugie: mężczyzna był szaleńcem, psychopatą, który naczytał się o średniowiecznym mistycyzmie i próbował zwrócić na siebie uwagę, wciągając policję w sprawę; dlatego między innymi zamordował Gartlandów; Skarp*hedin pokręcił głową, rozkoszując się kawałkiem roqueforta, którego popijał Sauternem; to rozwiązanie było mało prawdopodobne, głównie dlatego, że sprawa od samego początku została zakwalifikowana jako TRUMNA, co znaczyło, że za tym wszystkim kryje się coś więcej; Skarphedin poczuł, że kawałek sera stanął mu w gardle, przełknął go; miał już jaki taki obraz mężczyzny z mieszkania na Saxegaardsgata, cały czas pozostawało jednak pytanie: dlaczego? czemu służyła cała ta maskarada, po co te wszystkie zawilości i utrudnienia? dlaczego ta osoba nie poszła po prostu na policję, skoro najwyraźniej miała coś ważnego do przekazania, po co te komplikacje? jaki był motyw? na to pytanie detektyw nie potrafił odpowiedzieć, mógł jedynie zgadywać, popijając kawę i czterdziestoczteroletni ar*maniak. Była za kwadrans jedenasta, ale Olsen nadal czuł się rozbudzony i w znakomitej formie; czyż Rakel Starkabel praktycznie nie przyjęła jego zaproszenia na kolację? i czyż nie zrobiła tego z lekkim błyskiem w oku? był niemal pewien, że tak właśnie było. Tak, mógł jedynie zgadywać: sprawa zapewne była niezwykle drażliwa, mogła dotyczyć badań, kwestii etycznych albo gospodarki czy może nawet polityki, a może w grę wchodziło kilka różnych czynników? skoro zajmowała się nią

zarówno policja, jak i POT?; założono, że zamach miał charakter wyłącznie polityczny, ale on w to nie wierzył, to nie takie proste, pomyślał, bębniąc palcami w blat stolika; grupa Starkabel przyjęła jeden punkt widzenia, on skłaniał się ku innemu; tak czy inaczej, należało jak najszybciej ustalić tożsamość tajemniczej osoby i spenetrować środowisko; restauracja zaczęła się wyludniać, Skarphedin sięgnął do kieszeni po telefon komórkowy.

Ponownie wybrał numer Michaela Mellinga.

Nikt nie odpowiadał.

Następnie wybrał numer Sary Bronken.

Z takim samym rezultatem.

Kim byli ci ludzie? zastanawiał się, w spisie abonentów nie podano ich zawodów; siedział chwilę z przymkniętymi oczami, wpatrując się w ceglana ścianę przed sobą; znów sięgnął po telefon; postanowił zadzwonić do Jona Furhelle, kolega natychmiast odebrał.

* Witaj, mówi Skarphedin, mam nadzieję, że jeszcze nie śpisz?

* Skądże, pracujemy w najlepsze * odpowiedział Furhelle.

* Świetnie; rozumiem, że próbujesz dowiedzieć się czegoś bliższego o Gartlandach i tej sekcji. Chciałbym też, żebyś kogoś odwiedził.

* Tak?

* Kobietę, Sarę Bronken, mieszka na Postsvingen 19, w Nitte*dał. Zapisaleś?

Chwila ciszy, a potem chrząknięcie.

* Co powiedziales?

* Sara Bronken, do licha! Ogłuchleś? To jedna z osób kryjących się za numerami rejestracyjnymi * tłumaczył niezadowolony Skarphedin.

* Nie ogłuchłem. Jestem tylko zdziwiony. Sara Bronken to imię i nazwisko autorki artykułu z „Aftenposten” sprzed kilku lat, dotyczącego tej sekty. Zajęło mi trochę czasu, żeby do niego dotrzeć...

* Świetnie * przerwał mu Skarphedin. * Krąg się zacieśnia. Zostaw wszystko, czym w tej chwili się zajmujesz, i jedź do Nittedal.

* Teraz? W środku nocy? * spytał Furhelle wyraźnie niezadowolony. * Wypiłem piwo i...

* To wypij jeszcze jedno i weź taksówkę! I to jak najszybciej; myślisz, że dzwonię, żeby sobie z tobą miło pogawędzić? Jeśli jej nie zastaniesz, postaw na nogi wszystkich sąsiadów, rozumiesz?

* Dobrze, dobrze. Coś jeszcze?

* Nie. Spotykamy się jutro o dwunastej, o ile nic się nie wydarzy. Miłej podróży! * powiedział i rozłączył się.

Wezwał kelnera, poprosił o rachunek i zamówił taksówkę; ciekawe, czy mgła wciąż jest równie gęsta? miał wrażenie, że widzi fiord i światła na drugim brzegu; w drodze do miasta milczał, podał adres: Krebs gate 14, w Torshov, gdzie mieszkał Melling; po co tam jechał? Chciał się o nim czegoś dowiedzieć; jeśli nie ma go w domu, to może któryś z sąsiadów będzie coś wiedział; kiedy taksówka minęła Lysaker i zaczęła się zbliżać do Skoyen, Skarphedin zauważył, że mgła rzeczywiście nieco zelżała, taksówka skręciła w ulicę Halvdana Czarnego, kierując się w stronę Frogner Terrasse; po chwili stanęła na światłach przy skrzyżowaniu z Kirkeveien. Skarphedin zerkał jednym okiem w stronę parku, widział drzewa, krzaki, przy ławce tuż obok wejścia obejmowała się jakaś młoda para; Skarphedin zauważył, że młodzi ludzie się całują, nie zauważył natomiast niewielkiej postaci ukrytej w krzakach tuż obok ławki; był to mały chłopiec ubrany w niebieską puchową kurtkę* szare spodnie i czerwone botki; leżał na plecach, zupełnie cicho, miał zamknięte oczy, jakby spał, ale Skarphedin tego nie widział, nie widział też, że kiedy taksówka zatrzymała się na czerwonym świetle, a potem szybko ruszyła,

dziewczyna, która chwilę temu całowała się ze swoim chłopakiem, nagle otworzyła szeroko oczy i uniosła dłoń, jakby na coś wskazując; Skarphedin wyjął telefon komórkowy i ponownie wybrał numer Michaela Mellinga; nikt nie odebrał, detektyw parsknął zły. Taksówka jechała w stronę Soria Moria.

Skręciła w prawo, w Krebs gate.

Skarphedin poprosił kierowcę, żeby zatrzymał się przed numerem czternastym.

Brama, podwórko.

Dużo mieszkań.

Detektyw otulił się szczelniej płaszczem, zapiął kołnierz pod szyją; stał chwilę na chodniku, nagle przyszła mu do głowy pewna myśl, ruszył ulicą, przyglądając się numerom rejestracyjnym stojących tu samochodów. Trzymał w ręku kartkę z zapisanymi numerami, doszedł do końca ulicy, zawrócił i zaczął iść w przeciwnym kierunku, cały czas przypatrując się tablicom; nagle tuż przed rogiem zatrzymał się.

Przed nim stało szare volvo.

Najnowszy model.

Numer rejestracyjny FS*21217.

Samochód Michaela Mellinga.

Pokiwał głową, uśmiechnął się; podszedł bliżej i zajrzał do środka; samochód był pusty, na miejscu pasażera leżała gazeta, egzemplarz „Dagbladet” z poniedziałku, czyli sprzed kilku dni; detektyw zmarszczył czoło, kiedy zauważył, że na przedniej szybie za wycieraczką są dwa mandaty za złe parkowanie, jeden z wtorku, drugi z czwartku, najwyraźniej w wybrane dni obowiązywał zakaz parkowania po tej stronie ulicy, stąd dwa mandaty; sytuacja była jasna: Michael Melling od poniedziałku nie zainteresował się swoim samochodem; uśmiech zniknął z twarzy detektywa, rysy twarzy wyostriły się, spojrzał na bramę pod numerem czternastym, stał chwilę z rękami w kieszeniach, nagle sięgnął po telefon i wybrał numer do Tora Jonsona.

* Tor * zaczął * potrzebuję twojej pomocy.

* Tak? Ale... * dał się słyszeć senny głos.

* Żadnego ale! Przyjeżdżaj natychmiast na Krebs gate 14, w Torshov; masz tu być w ciągu kwadrans. I weź ze sobą brązową walizkę. Powtarzam: masz być tu za kwadrans z brązową walizką! Zrozumiałeś?

* Tak.

Zbliżała się dwunasta, kiedy Skarphedin Olsen ruszył zdecydowanym krokiem w stronę bramy i wewnętrznego podwórza domu; budynek miał kilka klatek, zaczął czytać listy lokatorów; w końcu zatrzymał się przy klatce C: M. Melling, przeczytał; czy drzwi do klatki są zamknięte? nie, były otwarte; rozejrzał się, o tej porze nie było tu ludzi; podwórko było duże, z ładnym placem zabaw dla dzieci; było też kilka ławek, usiadł na jednej z nich, ale najpierw wytarł ją do sucha. Dwadzieścia minut później usłyszał kroki i pojawił się Tor Jonson z małą walizką w ręku; Skarphedin poinformował go krótko, do czego doszedł.

* Mam się włamać? * spytał Jonson poważnie.

* Nie włamać się. Otworzyć drzwi. Jesteś przecież ekspertem * tłumaczył mu Skarphedin cicho.

* To wbrew zasadom, Ktoś na pewno stoi teraz i obserwuje nas zza firanki; zastanawia się, co dwóch roślących mężczyzn robi tu o tej porze nocy.

* Nie przejmuj się. Mamy do czynienia z TRUMNĄ, do licha!

* Prawda * skonstatował Tor Jonson.

Kilka minut później mężczyźni stali przed drzwiami jednego z mieszkań na czwartym piętrze, zadzwonili, ale ze środka nie dochodziły żadne dźwięki; Jonson otworzył brązową walizkę i wyjął narzędzia; stał chwilę, przyglądając się zamkom; drzwi były wyposażone w dwa solidne zamki i jeden zwykły, zatraskowy; okazało się jednak, że były zamknięte tylko na

ten ostatni; Jonson uśmiechnął się zadowolony i po chwili otworzył bezszelestnie drzwi; żaden z sąsiadów nawet nie wyjrzał; mężczyźni weszli do środka i zamknęli za sobą drzwi. Było ciemno.

Skarphedin znalazł włącznik.

W mieszkaniu było duszno.

Czuć było też jakąś słodką woń.

Było zupełnie cicho.

Mężczyźni zdjęli buty i weszli do środka, uważając, żeby niczego nie dotknąć; przedpokój wyglądał normalnie, było czysto, na półce przy wejściu stały trzy, może cztery pary butów, wisiały jakieś ubrania, męskie ubrania; ile lat mógł mieć ten Melling? Tego nie wiedzieli; buty i ubrania wskazywały na dość rosnącego mężczyznę; na ścianie wisiały dwie duże litografie, współczesna sztuka, geometryczne kształty; Skarphedin wszedł do pokoju, otworzył jakieś drzwi i znalazł się w sypialni: posłane łóżko, wszędzie porządek.

* Skarphedin * dał się słyszeć drżący głos Jonsona. * Pozwól tutaj.

Jonson stał przy wejściu do kuchni, a przed nim na podłodze leżał mężczyzna, leżał na brzuchu, z głową przekręconą na bok.

Leżał w dużej kałuży krwi.

Miał podcięte gardło.

Szeroko otwarte oczy były matowe jak tafle lodu.

„Diabeł staje na środku kościoła, przebrany za Nowego Zbawiciela, głosząc fałszywą teologię, daleką od prawd objawionych. Kiedy nadejdzie dzień, w którym przedstawione zostaną dokumenty podające w wątpliwość święte dogmaty, wtedy będzie wiadomo, że diabeł maczał w tym palce. Dokumenty te należy spalić w ogniu piekielnym. Musimy też przygotować się na zabijanie, będziemy zabijać niewiernych, tych, którzy bluźnią i chcą upadku kościoła i prawdziwego chrześcijaństwa.

Cytat z broszury wydanej przez Norweskie Luteranckie Towarzystwo Misyjne jesienią 1949 roku, po ogłoszeniu, że nad Morzem Martwym znaleziono cenne zwoje. Tekst jest podpisany przez Ole*go Hallesby.

Młoda kobieta zapomina zabrać ze sobą pigułki

antykonieczne,

znalezienie ciała zostaje utrzymane w tajemnicy, a Skarphedin Olsen przeklina ektoplazmową uludę

Skarphedin odsunął Jonsona na bok: krew zastygła, mężczyzna musiał tak leżeć już kilka dni; co najmniej cztery litry, pomyślał detektyw; na jego twarzy pojawił się grymas, czuł, że swędzą go bębenki w uszach: zawsze, kiedy widział trupa, czuł takie swędzenie, teraz było wyjątkowo silne. Jonson zerknął na zegarek, za kwadrans pierwsza, odetchnął głęboko i odwrócił się, Olsen natomiast uderzył dłonią najpierw w lewe, potem w prawe ucho, po czym ukucnął obok ciała: biały T*shirt przesiąknięty krwią, na plecach dziura, najwyraźniej po ciosie nożem zadany w plecy w kierunku serca; zapewne był śmiertelny, niespodziewany? Gardło, dlaczego ma poderżnięte gardło? zabójca prawdopodobnie działał w afekcie, gwałtownie, nawet nie pomyślał, żeby pozbyć się narzędzia zbrodni: obok martwego mężczyzny, a dokładniej tuż obok jego głowy, leżał półmetrowej długości nóż przypominający sztylet, też cały zakrwawiony; Skarphedin natychmiast zauważył, że był to bardzo szczególny nóż, ale nie dotknął go, uważał, żeby nie dotykać niczego w kuchni, przyglądał się poszarzałej martwej twarzy, mężczyzna miał na wpół otwarte usta, miał około pięćdziesiątki? Skarphedin wstał ostrożnie, rozejrzał się, wszędzie panował porządek, żadnych śladów walki; na stole leżały porządnie ułożone papiery i nic poza tym, zerknął na

nie, ale postanowił niczego nie ruszać; żadnych rozbitych filiżanek, szklanek, Skarphedin stał i patrzył, pozwalał mózgowi rejestrować szczegóły wyposażenia kuchni; po chwili przeszedł do pokoju, gdzie Tor stał z rękami skrzyżowanymi na piersi i wyglądał przez okno, patrzył pustym wzrokiem w noc, na kamienicę po drugiej stronie ulicy.

* Zwykła procedura byłaby taka * zaczął Skarphedin i zakasłał * byłaby taka * powtórzył * że zawiadomilibyśmy policję, pogotowie i techników, ale w tym przypadku żadne procedury nie obowiązują!

* Tak * odpowiedział Jonson ledwie słyszalnym głosem.

* Bo mamy do czynienia z przeklętą TRUMNĄ!

* Tak.

* W porządku! Nie stój tu z taką miną! * powiedział Skarphe*din zły. * Pospiesz się.

Musimy przeszukać całe mieszkanie, zrobić zdjęcia i wszystko opisać, zanim ktokolwiek tu wejdzie! I musimy to zrobić w taki sposób, żeby nikt się nie domyślił, że tu byliśmy.

Zadzwoń do Ungbeldta, wyciągnij go spod pierzyny i każ mu natychmiast się tutaj stawić ze sprzętem fotograficznym i wszystkim, co trzeba!

Jonson skinął lekko głową i sięgnął po telefon komórkowy; Skarphedin stał w półmroku przy oknie, czuł, że odbija mu się zapiekanką i roquefortem; zaczął szukać innych włączników światła w ciemnym mieszkaniu, wszedł do sypialni, zdjął płaszcz i przewiesił go porządnie przez krzesło, następnie usiadł na brzegu łóżka i zaczął się drapać po szyi; zapowiadała się długa, pracowita noc.

Jon Furhelle poprosił kierowcę taksówki, żeby zaczekał, znalezienie taksówki o tej porze w tej okolicy mogło bowiem być trudne; jadąc krętą drogą, minęli najpierw Hagan, potem Nittedal, aż wreszcie Jon zobaczył drogowskaz na Postsvingen, kazał kierowcy się zatrzymać, wręczył mu tysiąc koron i poprosił, żeby zaczekał, aż wróci, uprzedził, że może go nie być nawet godzinę, bo jeśli zastanie kobietę w domu, to na pewno trochę mu zejdzie. Była to dzielnica domków jednorodzinnych, niewielkie wille rozsypane były po łagodnym górskim zboczu; ruszył drogą, znalazł poszukiwany numer, zastanawiał się, czy mieszkańcy domu nie śpią, przecież już było późno; Sara Bionken, co to za kobieta? wczoraj poświęcił dużo czasu na szukanie informacji o sekcje, ale niewiele się dowiedział; kilka lat temu był o niej artykuł w gazecie, w „Aftenposten”, właściwie krótka notatka autorstwa Sary Bronken, która współpracowała z dziennikiem na zasadach wolnego strzelca; o ile mógł się zorientować, dostarczała redakcji głównie materiały popularno*naukowe z zakresu badań językowych, starych kultur, wykopalisk archeologicznych i podobnych dziedzin. Żadna z osób, z którymi rozmawiał, nie znała ich autorki; podobno kobieta miała około trzydziestu lat; czy znała Rhymfaxe? Inaczej pewnie numer rejestracyjny jej samochodu nie trafiłby do zeszytu, doszedł do wniosku Jon Furhelle, zatrzymując się przed furtką z kutego żelaza; stał chwilę, zastanawiając się, co ma powiedzieć, jeśli zastanie ją w domu; miał nadzieję, że tak będzie, chciał bowiem, żeby sprawa, która z czasem coraz bardziej się komplikowała, mogła wreszcie posunąć się do przodu.

Budynek miał mieszkalną piwnicę.

W głównej części domu paliło się światło.

Ruszył w stronę drzwi wejściowych.

Odczytał widniejącą na nich tabliczkę: Lars i Elin Brobekk.

Zadzwoił.

Po chwili usłyszał, że ktoś zbliża się do drzwi, szurając kapciami, nagle zrobiło się cicho.

Furhelle odchrząknął.

* Kto tam? * odezwał się donośny męski głos.

* Jon Furhelle z Centrali Policji Kryminalnej z Oslo. Chciałem zadać kilka pytań * niemal zawołał.

* Policja?

Usłyszał przekręcanie klucza w zamku i drzwi się otworzyły. Naprzeciwko niego stał wysoki, potężnie zbudowany mężczyzna około sześćdziesiątki, miał na sobie szlafrok i kapcie. Furhelle pokazał swoją legitymację.

* Co to ma, do diabła, znaczyć? Coś się stało?

* Nic takiego * odpowiedział Furhelle. * Szukamy kobiety, Sary Bronken; powiedziano nam, że znajdziemy ją pod tym adresem.

* Sary? Oczywiście, że Sara tu mieszka. * Mężczyzna otworzył szeroko drzwi i gestem ręki zachęcił go do wejścia. * O co chodzi? * spytał.

* Tego niestety nie wolno mi powiedzieć, ale chciałbym z nią porozmawiać * odparł Furhelle, patrząc mężczyźnie w oczy.

* Z tym może być kłopot. Chyba nie ma jej w domu. Nie widziałem jej od trzech, może czterech dni, ona dużo podróżuje, ale mogę sprawdzić; ma tu małe mieszkanie, drzwi są zaraz za rogiem;

pójdę przez piwnicę i otworzę. * Mężczyzna wydawał się chętny do pomocy.

* Dziękuję * odpowiedział Furhelle.

Wyszedł na zewnątrz i ruszył zwirową ścieżką, zaraz za rogiem domu rzeczywiście zobaczył kolejne drzwi, a na nich tabliczkę: Sara Bronken; po chwili usłyszał kroki i drzwi się otworzyły.

* Nie ma jej w domu * powiedział mężczyzna.

* Mogę wejść? Chciałbym zerknąć na jej mieszkanie.

* Oczywiście, w końcu jest pan policjantem. Czy to poważna sprawa? * spytał mężczyzna wyraźnie zaniepokojony.

* Nie mamy powodu, żeby tak sądzić * odpowiedział Furhelle spokojnie.

Wszedł do mieszkania, właściciel zapalił światło; był tu mały pokój z wnęką sypialnianą, łazienka i kuchnia; wszędzie panował porządek; ściany pokryte były półkami z książkami, wszędzie było pełno książek, skoroszytów, teczek z papierami; Furhelle przyglądał się książkom, czytał tytuły; zaczął przerzucać jakieś papiery, zajrzał do teczek, było w nich mnóstwo wycinków i materiałów z dziedziny antropologii, etnologii, archeologii i języków: hebrajskiego? takie miał wrażenie; zatrzymał się chwilę przed niewielkim biurkiem, na którym stał laptop i aparat telefoniczny; podniósł słuchawkę, niestety aparat nie był wyposażony w automatyczną sekretarkę; nad biurkiem wisiał kalendarz, zauważył, że przy niektórych datach zapisane były różne informacje, nachylił się i zaczął się im bliżej przyglądać; potem wszedł do łazienki, w której też spędził chwilę.

* Jak dawno nie widział pan swojej lokatorki? * spytał mężczyzny, który usiadł na niewielkiej kanapie i zciekawiony śledził wszystkie poczynania Jona.

* Kiedy to było? * zaczął się zastanawiać, drapiąc się po głowie. * Dzisiaj mamy piątek, a właściwie już sobotę. Pewnie w poniedziałek rano, tak, zgadza się, przyjechał wóz, który zabrał jej samochód do warsztatu.

* I samochód nadal jest w warsztacie? * próbował dociec Furhelle; otworzył kilka szuflad, ale nie znalazł niczego ciekawego.

* Przypuszczam, że tak; jeśli dobrze usłyszałem, to była mowa

o tygodniu; niektóre części trzeba było zamawiać * tłumaczył mężczyzna, drapiąc się po klatce piersiowej.

* No dobrze. * Furhelle ziewnął i usiadł na krześle naprzeciwko gospodarza.

* Nie może mi pan zdradzić, o co chodzi? * spytał mężczyzna wyraźnie zciekawiony. * Żona i ja będziemy się denerwować.

* Rozumiem * odpowiedział śledczy i pokiwał głową. * To naprawdę nic poważnego.

Chcemy do niej dotrzeć i bardzo zależy nam na czasie; sprawa jest pilna. Potrzebujemy Sary jako eksperta; mamy nadzieję, że będzie w stanie nam pomóc w kilku kwestiach.

* Pewnie tak * powiedział mężczyzna i szeroko się uśmiechnął. * To mądra kobieta, wie dużo różnych rzeczy, w końcu jest naukowcem. Ma pan ochotę na filiżankę kawy?

* Chętnie się napiję * odpowiedział Furhelle po chwili wahania; minęło już dwadzieścia minut, czekała na niego taksówka.

Chwilę potem śledczy siedział już w znacznie większym pokoju w domku małżeństwa Brobakk; żona zaparzyła kawę, Furhelle sięgnął po kostkę cukru, włożył ją na chwilę do ust, a potem zamoczył w kawie; poprosił małżonków, żeby powiedzieli mu wszystko, co wiedzą o Sarze Bronken; zaczęli opowiadać, wchodząc sobie w słowo, a śledczy notował słowa*hasła w swoim zeszytiku; młoda kobieta, trzydzieści cztery lata, mieszka u nich już jakieś dwa lata; bardzo sympatyczna, nie sprawia żadnych kłopotów; dba o porządek, jest cicha; ma narzeczonego gdzieś za granicą, chyba w Anglii, odwiedzał ją tu kilka razy, ostatnio niespełna miesiąc temu; ma stypendium badawcze, ale czym dokładnie się zajmuje, tego nie wiedział ani mąż, ani żona; możliwe, że to ma coś wspólnego z przeszłością, z historią; para nie była w stanie sobie przypomnieć, czy jeszcze ktoś inny odwiedzał ich lokatorkę; imienia ani nazwiska narzeczonego też nie znali; nie wiedzieli także nic o jej rodzinie; mieli wrażenie, że kiedyś wspomniała, że urodziła się w okolicach Roro.

Jon Furhelle opróżnił filiżankę kawy.

Wstał i grzecznie się pożegnał.

Zerknął na zegarek; już prawie minęła godzina.

Ziewnął i zaczął pocierać rękami o uda.

Wyciągnął portfel.

* Proszę wziąć moją wizytówkę * powiedział, podając mężczyźnie mały kartonik. * I odezwać się, jak tylko Sara się pojawi lub gdy dowie się pan, gdzie obecnie przebywa.

* Oczywiście * zapewnił go mężczyzna i odprowadził do drzwi.

Furhelle podziękował jeszcze raz i ruszył rażnym krokiem do furtki; mili ludzie, pomyślał; po chwili zobaczył, że taksówka nadal na niego czeka, zwolnił nieco, sięgnął do kieszeni po paczkę papierosów, zapalił; coś tu się nie zgadza: na kalendarzu nad biurkiem pod wczorajszą datą Sara zanotowała: „Dentysta, 14.15”, a w łazience na półce leżało opakowanie pigułek antykoncepcyjnych, które kobieta na pewno wzięłaby ze sobą, wyjeżdżając, tym bardziej, gdyby miała wyjechać na dłużej, a Sara podobno nie było w mieszkaniu już od kilku dni. Kwadrans po trzeciej nad ranem w sobotę Peder Ungbeldt, Tor Jonson i Skarphedin Olsen zakończyli pracę; dokładnie przeszukali całe mieszkanie na Krebs gate; detektyw zdjął rękawiczki, Jonson wyszedł przed chwilą, Ungbeldt też szykował się do wyjścia, włożył kurtkę i sięgnął po walizkę, którą przyniósł tu ze sobą.

* Ty nie idziesz? * zwrócił się do Skarphedina.

* Zaraz będę szedł * odpowiedział detektyw. * Idź już, prześpij się trochę, Peder. Zatrzasnę drzwi, wychodząc. Zobaczymy się na zebraniu.

Peder Ungbeldt wzruszył ramionami i wyszedł, nie robiąc hałasu; żaden z sąsiadów niczego nie zauważył, pracowali w ciszy, i co odkryli? właściwie nic, pomyślał Skarphedin, sięgając po płaszcz; usiadł na krześle i położył go na kolanach. Odbił długą rozmowę z szefem; Arthur Krondal wiedział jedynie tyle, że cała sprawa ma być trzymana w tajemnicy, przynajmniej do przyszłego wtorku, jak sobie to wyobrażał, to nie był problem Skarphedina, nie będzie się tym zajmował; wiedział, że ciało zostanie usunięte w ciągu dnia: Michael Melling nie żył, podobnie jak małżeństwo Gardandów; numery rejestracyjne ich samochodów były w zeszycie Rhymfaxe; właściciel trzeciego z wymienionych samochodów, Jack Bekk, był na seminarium gdzieś w Stanach; czwarta osoba, Sara Bronken, też przebywała w niewiadomym miejscu, poinformował go o tym godzinę temu Jon Furhelle; a niech to diabli! zaklął w duchu, mieli do czynienia z wyjątkowo okrutnym mordercą, z szaleńcem; pomyślał o drugim punkcie swojego podsumowania; wieczorem, kiedy o tym myślał, uznał taki rozwój wydarzeń za mało prawdopodobny, ale coś się wydarzyło!

Ponownie zaklął w duchu, żałował, że w ogóle kiedykolwiek usłyszał o tym mężczyźnie, Aronie Rhymfaxe, Księciu Mgły, który nadal wodził za nos najlepszych śledczych KRI*POS, doprowadzał ich do szaleństwa; przez dłuższy czas udawało mu się uchodzić za chorego na SM poruszającego się na wózku starca, chociaż najprawdopodobniej wcale nie był ani stary, ani niedołązny! Skarp*hedin wstał z krzesła, był blady, ale, o dziwo, nadal nie czuł zmęczenia; zaczął wkładać płaszcz; Michael Melling leżał na podłodze w kuchni dokładnie w miejscu, gdzie kilka godzin wcześniej go znalazł; przejrzeni wszystkie jego papiery, dowiedzieli się sporo rzeczy: mężczyzna miał czterdzieści dziewięć lat, był inżynierem, prowadził jednoosobową firmę doradczą, kierował szeregiem różnych projektów za granicą, dotyczących systemów nawadniania; dużo podróżował, był w Czadzie, Somalii, Maroku i w Izraelu, tak przynajmniej wynikało ze znalezionych papierów; z jego usług korzystały zarówno instytucje pomocowe, jak i Ministerstwo Spraw Zagranicznych; poza tym śledczy sprawdzili dwa aparaty telefoniczne znajdujące się w mieszkaniu, stacjonarny i telefon komórkowy, do którego nie znali kodu; telefon komórkowy był jedyną rzeczą, którą Ungbeldt zabrał ze sobą z mieszkania; Melling nie był żonaty, może był gejem? Skarphedin uznał to za prawdopodobne po przejrzeniu części jego prywatnej korespondencji, która poza tym niewiele wносиła do sprawy, ponieważ na kopertach były jedynie stemple pocztowe, a listy podpisane były imionami: kim byli Per z Hamar? I Tor*Olle z Drammen? nie było natomiast żadnych śladów rodziny, tym jednak zajmą się później; morderstwo: jak zostało dokonane? W kuchni.

Nóż przypominał sztylet.

Na blacie stał ekspres do kawy, w pojemniku była woda.

Na blacie stała też puszka z kawą.

Ungbeldt szybko przedstawił scenariusz, który wszyscy uznali za bardzo prawdopodobny: Michael Melling stał przy kuchennym blacie, odwrócony plecami do swojego gościa, najwyraźniej miał zamiar zaparzyć kawę. Nieznajomy wyjął nagle nóż i dźgnął Michaela Mellinga w plecy, zgon nastąpił natychmiast. Nieznajomy wyciągnął nóż z pleców i poderżnął Mellingowi gardło, przecinając obie tętnice. Już po wszystkim nieznajomy położył nóż obok głowy Mellinga. Następnie zabójca opuścił mieszkanie, zatraskując za sobą drzwi. Skarphedin włożył płaszcz, dokładnie zapiął guziki, jeszcze raz rozejrzał się po mieszkaniu, sprawdzając, czy wszystko jest tak, jak było, kiedy tu weszli; przetaił włączniki chusteczką i zgasił światła; nie chciał, żeby zostały odciski palców, które wprowadziłyby dodatkowy zamęt do sprawy; czy udało im się coś znaleźć? czy w mieszkaniu były jakieś ślady, coś, co mogłoby być wskazówką? Być może. Skarphedin włożył buty i wyszedł z mieszkania, zamykając za sobą drzwi; może jednak były tam jakieś ślady, jakieś istotne szczegóły, zabójstwo zostało zaaranżowane, pewnie tak, ale na razie była to jedynie hipoteza. Detektyw zszedł po schodach, wyszedł z klatki na podwórko, było ciemno, mglisto, wyszedł przez bramę na ulicę, gdzie o tej porze nie było żywej duszy; znów zatrzymał się na chwilę, żeby zebrać myśli: miał bowiem wrażenie, że gdzieś był jakiś trop, widoczny, jeśli tylko będzie wiedział, gdzie go szukać, ruszył ulicą w stronę Vogts gate, mając nadzieję, że znajdzie tam taksówkę, nagle stanął.

Przy samochodzie Mellinga ktoś stał.

Mężczyzna w płaszczu podobnym do jego płaszcza..

Płaszcz był ściśnięty paskiem.

Mężczyzna miał na głowie ciemny kapelusz.

Patrzył na Skarphedina, który stał nieruchomo jakieś dwadzieścia metrów od niego i czuł ciarki na plecach; nie widział twarzy mężczyzny; co to ma znaczyć? co on robi przy samochodzie Mellinga i dlaczego tak mi się przygląda? detektyw chwycił się za głowę, coś przyszło mu na myśl, jakby ten widok był mu znajomy, jakby czegoś podobnego już

doświadczył, deja vu? nie, to było coś silniejszego, Skarphedin czuł, że sztywnieje, zmrużył oczy, mając nadzieję, że nie będzie musiał ich więcej otwierać, ale oczywiście po chwili znów je otworzył: mężczyzna nadal tam stał, nieruchomo, z głową odwróconą w jego stronę, tuż obok volvo Mellinga, niech to diabli! krzyczał w nim jakiś głos: zniknij, duchu! jesteś uludą, ektopla*zmą! ale mężczyzna istniał, był rzeczywisty; Skarphedin zrobił dwa kroki w jego stronę i znów się zatrzymał, czuł, jak krew pulsuje mu w skroniach.

* Hej! * zawołał, a jego krzyk odbił się echem na pustej ulicy.

Żadnej odpowiedzi, obcy mężczyzna odwrócił się, czyżby zamierzał odejść? nie, nadal stał; Skarphedin zauważył, że mężczyzna kręci głową, po chwili znów odwrócił się w jego stronę.

* Za późno, Olsen * powiedział głębokim, wyraźnym głosem.

* Nie ma dla ciebie miejsca w KRIPOS. Powinieneś pomyśleć o Fredricu Drum * mówił dalej spokojnie głos.

* Jesteś stary, Olsen.

* Czego ty ode mnie chcesz, do diabła?! Kim jesteś? * przerwał mu Skarphedin głosem, który w porównaniu z tamtym brzmiał jak pisk.

Mężczyzna odwrócił się i zaczął iść rażnym, szybkim krokiem w stronę Vogts gate; Skarphedin stał jak sparaliżowany: dlaczego nie biegniesz?! krzyczał w nim głos, a jednak nie biegł, tylko stał nieruchomo, przed oczyma miał czerwoną mgłę, czuł, że coś dzieje się z jego mózgiem, miał zamęt w głowie, zachwiał się, ale wziął się w garść, otworzył powoli oczy, ulica była pusta, nie było nikogo widać, na Vogts gate zauważył nadjeżdżającą taksówkę. Zaczął iść.

Szedł ulicą jak robot.

Zatrzymał taksówkę.

„* Uderzymy z całą siłą we wrogów Izraela, obecnych i przyszłych, niezależnie w jakim kraju będą się znajdować; tych, którzy działają przeciwko nam, dotknie długie, sprawiedliwe ostrze talmudzkiego sztyletu; poderżniemy im gardła, będą umierać jeden po drugim...”.

Izraelski rabin w wywiadzie po zabójstwie Achmeda Bouchiki, 1973.

8

Fredric Drum odsłania pochodzenie esseńczyków, „Lampa Aladyna” okazuje się marnym sklepem, a Skarphedin doświadcza czegoś, czego nie przeżywał już od dłuższego czasu

Fredric Drum podśpiewywał sobie radośnie, była dziewiąta, sobotnie przedpołudnie; siedział sam w restauracji, przy prywatnym stoliku, obłożony książkami, wycinkami prasowymi, słownikami i encyklopediami; pracował już od godziny, skupiając się na tematach, które wcale nie wydawały mu się nudne, wręcz przeciwnie, tym bardziej teraz, kiedy był niemal przekonany, że wpadł na trop czegoś, co mogło mieć znaczenie dla sprawy, nad którą pracował jego wuj. Fredric uśmiechnął się, wypił łyk herbaty i ugryzł kęs żytniego islandzkiego chleba posmarowanego samym masłem, bo pyszny serek już dawno się skończył; potem wziął do ręki kawałek kryształu górskiego, który znalazł kiedyś w jaskini w górach, w Osterdalen; siedział, rozmyślając nad rozmową telefoniczną, którą odbył wczoraj wieczorem; dochodziło wpół do dziesiątej, nagle drzwi do restauracji otworzyły się i do środka wpadł Skarphedin Ol*sen w szczelnie zapiętym płaszczu; rzucił na stół kilka gazet i usiadł naprzeciwko Fredrica.

* Dzień dobry, wujku * pozdrowił go uśmiechnięty siostrzeniec.

* Może dla ciebie dobry * wymamrotał detektyw, zdejmując płaszcz.

* Tryskasz humorem i energią, czyżby sprawa została rozwiązana?

Skarphedin obrzucił Fredrica wzrokiem godnym wampira przyglądającego się swojej ofierze, pociągnął nosem i wskazał ręką na stos gazet, które rzucił na stół.

* Sprawa! Sprawa z każdą godziną coraz bardziej się komplikuje; dobrze, że przynajmniej znaleźli już chłopca * dodał, ocierając czoło.

Fredric spowaźniał.

* Słyszałem o chłopcu. Tragiczna historia. Mógł być świadkiem wybuchu.

* Nie jest pewne, czy przeżyje. Znalaziono go nieprzytomnego wczoraj późnym wieczorem, leżał pod kępą krzaków w parku Frog*ner. Został przewieziony na Oddział Intensywnej Terapii do szpitala w Ulleval. Naprawdę wyglądam na tryskającego energią? * spytał, kończąc swój wywód; na jego twarzy pojawił się wyraz dzieciennego zadowolenia.

* Widać, że porządnie się wyspałeś, wujku * odpowiedział szczerze Fredric.

Skarphedin roześmiał się.

* Bierzmy się do sprawy, drogi siostrzeńcu * powiedział, opierając łokcie na stole; zmrużył oczy i przyglądał się Fredricowi. * Najpierw zajmijmy się tymi zeszytami: znalazłeś tam jeszcze coś sensownego? albo coś, co mogłoby być jakąś wskazówką, jak te litery i cyfry, które okazały się numerami rejestracyjnymi samochodów, masz coś jeszcze?

Fredric pokręcił głową.

* Babilońskie pomieszanie * powiedział. * Dostrzegam w tym tylko jeden cel: chęć skierowania uwagi przyszłych śledczych na alchemię poprzez wskazanie kilku różnych miejsc, podanie jakichś nazw, to wszystko. Numery samochodów wyraźnie odstają od pozostałych notatek. Nie znalazłem też żadnego kodu, którego złamanie mogłoby nas do czegoś doprowadzić.

* Powiedziałeś „śledczych”? * Skarphedin zmarszczył czoło.

* Tak * potwierdził Fredric. * Zeszyty są skierowane do ludzi takich jak ty, inteligentnych śledczych, których zadaniem jest rozwiązanie zagadki zbrodni już popełnionej albo takiej, która dopiero zostanie popełniona. Nikt inny, żaden badacz czy fanatyk tego rodzaju kryptotekstów, nie znajdzie w nich niczego ciekawego czy w ogóle sensownego.

Skarphedin siedział i bębnił palcami w blat.

* Zainteresowało mnie to, o czym ostatnio rozmawialiśmy, i chyba znalazłem coś, co może cię zaciekać * ciągnął dalej Fredric. * Przyznaję jednak, że nie mam pojęcia, o co tu chodzi. Wróćmy jednak do alchemii i terenów wokół Morza Martwego, bo właśnie w tę stronę autor zeszytów chciał zwrócić naszą uwagę. Rozumiesz?

Skarphedin przytaknął i wskazał na pół butelki Sauternea za barem; Fredric znalazł kieliszki, nalał wujowi wina i postawił przed nim miseczkę z oliwkami.

* Pamiętasz angielskiego archeologa Stephena Pratta, tego zapalonego wędkarza, którego spotkaliśmy latem zeszłego roku? Pomyślałem, że on powinien wiedzieć coś więcej, bo przecież interesował się Bliskim Wschodem, i wczoraj wieczorem zadzwoniłem do niego.

* Tak... * mruknął Skarphedin, ssąc oliwkę.

* Chciałem się dowiedzieć, dlaczego Izraelczycy przegonili z dużych terenów wokół Morza Martwego zarówno archeologów, jak i zwykłych turystów. Odpowiedź, jaką otrzymałem, była bardzo interesująca.

* Naprawdę? * spytał Skarphedin, ziewając.

* Trochę cierpliwości; to, co teraz ci powiem, może zawierać bardzo cenne wskazówki; okazuje się bowiem, że temat, którego dotykamy, jest bardzo drażliwy dla archeologów, łagodnie mówiąc.

* Zamieniam się w słuch * powiedział Skarphedin; przymknął oczy i odchylił się na krześle, rozkoszując się słodkim białym winem.

Fredric powiedział, że rozmowa telefoniczna z Pratem trwała ponad godzinę i że Stephen sprawiał wrażenie szalenie podnieconego całą historią: wszystko zaczęło się ponoć od

odkrycia starożytnego miasta Aszkelon, niedaleko Gazy w Palestynie. Odkrycia dokonała grupa archeologów z Harvardu pod kierownictwem profesora La*wrenca Stagera; wykopaliska trwały kilka lat, a im więcej odkrywano, tym bardziej pewne wydawało się, że miasto było ważnym ośrodkiem nie tylko handlu, ale także kultury i nauki mniej więcej dwa tysiące lat przed narodzeniem Chrystusa; rozkwit miasta trwał do 1153 roku, kiedy to zostało splądrowane i spalone przez krzyżowców, którzy twierdzili, że było ono gniazdem pogańskiego islamu. Przed rozpoczęciem wykopalisk niewiele wiadano o historii miasta; podczas prac znaleziono ślady kultury kananejskiej, która z czasem dotarła także do imperium faraonów, Egiptu; poza tym znaleziono obszerną dokumentację świadczącą o obecności Filistynów na tych terenach, a także Fenicjan, tak więc Kananejczycy, Filistyni i Fenicjanie władali miastem całe tysiąclecie w czasach przed narodzeniem Chrystusa; kto tam był przed nimi? Im głębiej kopano, tym więcej znajdowano; Asz*kelon musiał mieć o wiele większe znaczenie dla kultury śródziemnomorskiej i rozwoju tych terenów niż jakiegokolwiek inne miasto; znaleziono tam także ślady świadczące o wpływach babilońskich; kilka lat temu dokonano zaś prawdziwego odkrycia: odkopano ruiny budowli, która zapewne była kiedyś biblioteką; znaleziono duże ilości glinianych tablic, fragmenty skórzanych zwojów i papirusów; poddano je długiemu i pracochłonnemu procesowi konserwacji, który zresztą trwa do dzisiaj; niewiele informacji opublikowano. Skarphedin miał zamknięte oczy i wydawać się mogło, że śpi, ale on pilnie słuchał; Stephen Pratt opowiedział Fredricowi także, że pod którymś z ołtarzy w jednej ze świątyń znaleziono dzbany, w których ukryto siedem pergaminowych zwojów; opakowane były w skórę kóz i miały pieczęcie z pszczelego wosku; Stephen Pratt widział je na własne oczy, ponieważ wielokrotnie proszono go o konsultacje w tej sprawie.

* Wiesz, wuju, kto był autorem tekstów zapisanych na zwojach?

* Nie, skąd, do diabła, mógłbym wiedzieć? * spytał detektyw, nie otwierając oczu.

* Esseńczycy, wuju! Sekta czy raczej bractwo, które spisało i ukryło zwoje znad Morza Martwego i które teraz obrało klasztor w Khirbet Qumran na swoją siedzibę.

* Co ty mówisz? * Skarphedin bynajmniej nie był przekonany. Uderzył się ręką w pierś, otworzył oczy i wypił łyk Sauterne'a. * No to wiemy wszystko; sprawa została rozwiązana.

* Wujku, wujku! Próbuję jedynie naprowadzić cię na coś, co może ci posłużyć za wskazówkę w dalszej pracy * zaczął wyjaśniać Fredric.

* No dobrze, tylko mów zwięźle! Mam przed sobą pracowity dzień. * Skarphedin spojrzął na zegarek. Zbliżała się dziesiąta.

* Starożytne miasto Aszkelon było oddalone mniej więcej dziesięć mil od wybrzeża Morza Martwego * kontynuował Fredric. *

Jest wielce prawdopodobne, że prawdziwym duchowym ośrodkiem esseńczyków było właśnie to miasto nad Morzem Śródziemnym, zresztą może esseńczycy w ogóle stamtąd pochodzili i stamtąd też czerpali swoją wiedzę, ze źródeł, o których istnieniu nawet nie mamy pojęcia.

Fredric zaczął * tak zwięźle jak to możliwe * opowiadać o tym, jak archeologowie z udziałem między innymi Stephena Pratta na razie jeszcze dość pobieżnie odczytali makabejskie rękopisy, które datowano na około 20 lat po Chrystusie; wspomina się w nich o większym zbiorze pism i świętych przedmiotów, które ponoć zostały ukryte gdzieś nad Morzem Martwym; informacje te bardzo podnieciły niektóre kręgi archeologów, wystąpiono o kolejne pozwolenie na prowadzenie badań w tym rejonie, którymi miał kierować Shay Lutzky, Izraelczyk osiedlony w Anglii; pozwolenie zostało przyznane po wstawiennictwie szefów muzeum Rockefellera w Jerozolimie i Uniwersytetu Hebrajskiego, także w Jerozolimie.

* Zeszłej jesieni naukowcy dokonali dużego odkrycia. Skarphedin znów zmrugał oczy.

* Odkryli wejście do jaskiń w głębi gór * powiedział Fredric cicho, patrząc wujowi w oczy.

* Wkrótce potem nakazano im, w dość brutalny sposób, opuścić to miejsce; cały teren zagrodzono i od tamtej pory ani turyści, ani archeologowie nie mają tam wstępu. Stephen Pratt twierdzi, że nic z tego nie rozumie, angielscy archeologowie są zaskoczeni, żeby nie powiedzieć oburzeni nieoczekiwanym obrotem sprawy, tym bardziej, że dotąd Izrael zawsze chętnie współpracował przy podobnych projektach.

* Morze Martwe * wymamrotał Skarphedin. * Tam, do diabła, nie ma nawet ryb!

* To prawda, natomiast jeśli chcesz, to więcej informacji na ten temat może ci udzielić pewien norweski naukowiec, a dokładnie mówiąc, kobieta, która wchodziła w skład zespołu prowadzącego tam badania do jesieni ubiegłego roku.

* Tak, a jak się nazywa? * spytał Skarphedin; poprawił się na krześle i wypił kolejny łyk wina.

* Sara Bronken.

Skarphedin aż podskoczył, pusty kieliszek przewrócił się i stłukł; w oczach detektywa pojawił się niebezpieczny błysk, zaczął spacerować; Fredric przyglądał mu się, zdziwiony jego gwałtowną reakcją.

* Co to, do licha... * zawiesił głos. * Co to, do licha, ma znaczyć? * dokończył. * Fredricu, to, co teraz ci powiem, musi pozostać między nami, uznałem jednak, że musisz to wiedzieć, mimo że sprawa jest tajna. Numery rejestracyjne samochodów, było ich cztery, tak? Jeden był numerem rejestracyjnym samochodu Gartlandów, którzy zginęli w wybuchu bomby; drugi był numerem rejestracyjnym samochodu należącego do mężczyzny, którego znaleźliśmy dzisiaj w nocy bestialsko zamordowanego; trzeci samochód jest własnością lekarza przebywającego obecnie na seminarium w Stanach, a czwarty należy do kobiety, do Sary Bronken!

Fredric zbladł, zebrał ostrożnie kawałki szkła i już otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale zamilkł, widząc minę wuja. Zrobił natomiast coś, czego zwykle o tej porze dnia nie robił: podszedł do barku, nalał sobie kieliszek armaniaku i wychylił go duszkiem; potem wrócił spokojnie do stolika.

* Ta kobieta... * zaczął cicho. * Znaleźliście ją?

* Nie, nie znaleźliśmy jej. Od poniedziałku nie ma jej w mieszkaniu, znikła * powiedział Skarphedin, opadł na krzesło i otarł dłonią czoło. Siedzieli, milcząc.

Fredric bawił się kryształem, który leżał na stoliku.

Czasem mienił się pięknymi kolorami.

Jakby żył.

Teraz jednak zdawał się martwy; był ciemny i mętny.

* Stephen Pratt pytał, do czego potrzebne mi są te informacje * przerwał w końcu milczenie Fredric. * Pamiętał ciebie i twoje umiejętności wędkarskie, ale pamiętał też, gdzie pracujesz. Powiedziałem więc, że zajmujesz się pewną sprawą. Wtedy się zamyślił i poprosił, żebym zachował dużą ostrożność. Próbowałem bagatelizować jego obawy, zacząłem opowiadać mu o alchemii, o Paracel*usie i sekcie, która najwyraźniej nadal istnieje. Bardzo go to zaintrygowało. Obiecał, że przyśle mi faks. I zrobił to: oto, co dostałem jakąś godzinę temu. Przeczytaj wszystko dokładnie. * Fredric podał Skarphedinowi kilka kartek.

Detektyw wziął je, spojrzał na nie i wsadził do kieszeni.

* Wujku * mówił dalej Fredric poważnie. * Chyba rozumiem, dlaczego Stephen mnie ostrzegał. Domyślam się, do czego to wszystko może prowadzić; mam pewne przecucia, nic konkretnego, ale sprawy, którymi się zajmujesz, ta wasza TRUMNA, mogą kryć wiele rzeczy, także przestępstwa znacznie gorsze niż morderstwo.

* Nie brzmi to dobrze * powiedział detektyw, unosząc brwi; o nic więcej jednak nie pytał, chciał pozwolić Fredricowi spokojnie wszystko przemyśleć. Wstał, włożył płaszcz i ruszył w stronę drzwi, nagle odwrócił się

i długo przyglądał się siostrzeńcowi.

* Masz zaufanie do swoich ludzi?

* Tak. Czemu pytasz?

* Zostaw im dzisiaj gotowanie. Potrzebuję twojej pomocy i twojego towarzystwa. Sprawa robi się pilna. Myśl dalej nad tym, do czego już doszedłeś; chyba nie potrzebujesz już żadnych informacji ode mnie?

* Nie * odpowiedział Fredric. * Ale chciałbym, żebyś jak najszybciej przeczytał faks, który dostałem od Pratta.

* Na pewno to zrobię * zapewnił go Skarphedin.

Kiedy detektyw zamknął za sobą drzwi, Fredric doszedł do wniosku, że nigdy nie zrozumie swojego wuja: wczoraj wydawał się zmęczony i szary, dzisiaj znów był młody i tryskał energią, niemal promieniał.

Albo czarna dziura, albo gejzer energii.

Niemal w tym samym czasie, kiedy Skarphedin Olsen opuszczał „Kasserollen”, Tor Jonson parkował samochód jakieś sto metrów dalej na Frognerveien; ziewnął i zmrużył oczy, patrzył w mgłę; przeklinał oblepiającą go wilgoć, paskudztwo, które nie przepuszcza słońca; i gdzie podziewa się wiosna? przeszedł przez jezdnię i ruszył w stronę „Lampy Aladyna”; miał nadzieję, że zastanie Goldmana

w sklepie; wczoraj go tu nie było, nie było go też w mieszkaniu na Gabels gate. Ebezer Goldman, zamierzam coś u pana kupić, biżuterię pochodzącą z wybrzeża libijskiego! śledczy zatrzymał się i znów ziewnął, pokręcił głową; wciąż miał przed oczami zdarzenia dzisiejszej nocy na Krebs gate w Torshov; złota biżuteria i poderżnięte gardło, czy naprawdę istniał jakiś związek? Jonson spostrzegł, że drży, w ogóle źle się czuł; wczorajsze popołudnie spędził na szukaniu informacji o właścicielu „Lampy Aladyna”; nie znalazł wiele: Ebezer Galman był kawalerem, pochodził z Izraela, kilka lat temu był sekretarzem ambasady izraelskiej w Oslo, potem zaczął prowadzić sklep na Frognerveien; ciekawe, kto kupuje antyki z Bliskiego Wschodu? zastanawiał się wczoraj Jonson, stojąc przed zamkniętym sklepem; to pytanie dręczyło go także dzisiaj: czynsz za lokal sklepowy na najlepszym odcinku Frognerveien na pewno jest wysoki, dokładnie wszystko sprawdził, także obroty pana Goldmana, które okazały się niezbyt wysokie, nawet nie wystarczyłyby na pokrycie czynszu; poza tym mężczyzna miał też mieszkanie na Gabels gate, bardzo duże mieszkanie, dwieście dziesięć metrów kwadratowych, tego też Jonson zdołał się dowiedzieć; kartka na drzwiach informowała, że sklep jest otwarty, ale Jonson nadal stał i wpatrywał się w wystawę. Stare książki.

Jakieś wazy i ozdoba głowy?

Rzymskie monety.

Kurz.

Dokładnie studiował przedmioty wystawione w oknie; kurz, mnóstwo kurzu, właściciel chyba od roku niczego tu nie ruszał; Jonson nie sądził, żeby taka wystawa była w stanie kogokolwiek przyciągnąć; jego nie interesowały rzeczy z tego rejonu świata, ale nawet gdyby było inaczej, to sklep raczej nie zapraszał do odwiedzin, pokryty kurzem i porośły mchem, jak powiedziałyby Knut Gribb; Jonson ruszył w górę po schodkach i właśnie miał otworzyć drzwi, kiedy te nagle same się otworzyły i nieznajomy mężczyzna wpadł prosto na niego, obaj się przewrócili, na szczęście nikomu nic się nie stało.

* Bardzo przepraszam * powiedział młody człowiek, przyglądając się Jonsonowi.

* Nic się nie stało * uspokoił go śledczy.

Mężczyzna uśmiechnął się niepewnie, odwrócił i ruszył przed siebie ulicą. Jonson zmarszczył czoło; twarz mężczyzny, miał wrażenie, że ktoś już mu ją kiedyś opisał: brzydka blizna ciągnąca się od prawej skroni, obok nosa, do wargi, dokładnie tak Peder Ungbeldt opisał

twarz mężczyzny, który mieszkał na drugim piętrze w kamienicy na Saxegaardsgata: Josva Corbin.

Śledczy zawahał się.

Po chwili znów ruszył po schodach, otworzył drzwi i wszedł do sklepu.

Skarphedin starał się dokładnie wymieszać cukier w filiżance świeżo zaparzonej kawy, którą podano mu w „Ramons Kaffebar” na Bygdoy Alle; było tuż po wpół do jedenastej, miał więc jeszcze trochę czasu do rozpoczęcia zebrania zespołu; siedział i przyglądał się ludziom, uśmiechał się do siebie, dlaczego? dlaczego był w takim świetnym humorze? czuł jakieś przyjemne łaskotanie w klatce piersiowej: sprawa, co do której początkowo miał pewne opory, stała się poważnym wyzwaniem, próbą, testem, który musi zdać, i to z wyróżnieniem! Miał wrażenie, że jakiś wewnętrzny głos próbował go przekonać, że jest stary i wypalony, że do niczego już się nie nadaje; to właśnie sprowokowało pozytywną reakcję; jego myśli znów były klarowne, siedział i rozkoszował się dobrą kawą, było sobotnie przedpołudnie; minął ponad tydzień od powrotu małżeństwa Gar*tlandów z podróży do Izraela; co robili, zanim doszło do zamachu? Prawdopodobnie jakieś cztery, może pięć dni temu Michaelowi Mel*lingowi poderżnięto gardło w jego własnym mieszkaniu w Torshov; fakty były przygnębiające; co powiedział mu na pożegnanie jego siostrzeniec? że w grę mogą wchodzić przestępstwa jeszcze gorsze niż morderstwo? co może być gorszego? wojna światowa? niewątpliwie tak, pomyślał, stukając łyżeczką w filiżankę, i niewątpliwie trzeba będzie jak najszybciej doprowadzić do zakończenia tej sprawy; już on o to zadba, nawet jeśli będzie to ostatnia rzecz, jaką zrobi tu, na

ziemi! Znów czuł się silny, uśmiechnął się; Fredric powiedział, że tryska humorem i energią, to prawda; w nocy spał zaledwie kilka godzin, ale to mu wystarczyło; z doświadczenia wiedział, że nie potrzebuje wiele snu, kiedy jest zajęty sprawami wymagającymi pełnej koncentracji; włożył rękę do kieszeni płaszcza, znalazł kartki, które dał mu Fredric: faks od archeologa Stephena Pratta, rozłożył je, wyglądził, położył przed sobą na stole i zaczął czytać. „Drogi Fredricu,

Zdziwiłem się, kiedy wspomniałeś o alchemii w związku ze znaleziskami w Aszkelonie. Nadal czekamy na przekłady rękopisów znalezionych w starych dzbanach, ale mój dobry przyjaciel Derek Stonehawk, który pracuje dla Fundacji Gwelliona, przesłał mi wstępne sprawozdanie z prac, które, łagodnie to określając, jest zadziwiające, żeby nie powiedzieć sensacyjne. Przesyłam ci kilka fragmentów raportu Stonehawka. Przeczytaj je i podziel się ze mną swoimi uwagami.

„... kultura esseńczyków musiała być znacznie starsza, niż to sobie do tej pory wyobrażaliśmy. Jest już w zasadzie pewne, że ich centrum duchowe znajdowało się w Aszkelonie; dalsze znaleziska pozwolą nam dowiedzieć się o nich czegoś więcej; pozwalam sobie zacytować kilka już przetłumaczonych fragmentów; napisz, co o tym myślisz.

Fragment 1: ... mędrzec Habithap wyróżnia się tym, że potrafi kształtować metale, poddając je działaniu zimna lub ciepła; w ten sposób marna miedź staje się błyszczącym złotem mogącym konkurować blaskiem z Hebe (gwiazda?); drzwi, za którymi pracuje, lśnią niczym święty płomień... (brak) nasi kapłani posiadli wszelką mądrość (brak) * zostanie ukryta...

Fragment 2: ... wszedł czwarty mędrzec, niosąc szkatułkę, którą wszyscy (starszyzna) widzieli; kiedy ją otworzono, wszystko dookoła stało się błękitne jak niebo i morze zarazem; czwarty (mędrzec?) położył na dywanie to, co zostało stworzone, srebro i złoto w najczystszej formie... (brak), a wszystko tak błyszczało, że ludzie stali oślepieni, wznosząc dzięki do (bogów?)... czwarty (mędrzec?) zamknął szkatułkę i zabrał ją tam, gdzie świętość.... (brak) ... tak jak być powinno **(brak)... myśleli pozbawieni wiedzy, nasi wrogowie...

Fragment 3: ...skąd to bogactwo pochodzi? spytał ten, który przybył do nas jako przyjaciel. Kiedy usłyszał odpowiedź, ukląkł, pochylił głowę i ucałował ziemię. Mędrcy żyją wśród nas od tysięcy lat, zaś cztery tysiące lat wcześniej... (brak) możemy mieć wszystko złoto, jakiego zapagniemy. Nasze bogactwo jest nieskończone, lecz złoto nie czyni naszych ciał i naszych myśli czystymi... (brak).

Fragment 4: On (mędrzec) zamknął wszystko powietrze. Nie było powietrza. Szkatułka była zapieczętowana czterema (pieczęciami?) jedna na drugiej, tak żeby nic nie przeniknęło w żadną stronę... Alupsin (mędrzec?) wiedział, co było punktem wyjścia, że był nim metal nieszlachetny... (brak), wiedział też, co otrzymano, te niebezpieczne promienie, które mogły zabijać, tylko że tak nie wolno było ich używać...

Fragment 5: Ta (wiedza) musi pozostać ukryta, nikt nie może do niej dotrzeć... (brak) nasza wiedza jest naszą mądrością, wynika z troski o wszystko, co żyje...

Fragment 6: Wiemy, że części naszego ciała odbudowują się... (brak) według takich samych reguł jak metal... zostało nam dane wieczne życie, nie będziemy się starzeć... nasi (mędrcy?) mówią, że żyją na tej ziemi tysiąc, a nawet cztery tysiące lat, od czasów, gdy wszechwiedzący zeszli na ziemię... (brak).

Fragment 7: ...nadejdą rabusie, którzy będą chcieli umrzeć w tym świętym mieście, i cztery szkatułki, które pierwotnie były jednością, zostaną otwarte... (brak); kiedy szkatułka zostanie otwarta, oni przerażą się i umrą. Nie znają mądrości... (brak) należy ukryć... (brak) wiedza o przemianie metali i historia naszego rodu i naszych mędrców... (brak) wędrować będą po ziemi tysiąc lat a może jeszcze cztery tysiące... (brak).

Jak zapewne już się domyśliłeś, Stephenie, teksty te są częścią większej całości, którą wkrótce być może lepiej poznamy (...) przekład zdaje się wierny, tylko co to wszystko, do licha, znaczy?

Kiedy wspomniałeś o alchemii, przypomniały mi się te teksty, bo kojarzą mi się one właśnie z alchemią. Prawdę mówiąc, nie wiedziałem, że szwajcarski lekarz Paracelsus był alchemikiem i że w swoim czasie odwiedził te tereny nad Morzem Martwym. Fakt ten czyni te teksty jeszcze bardziej interesującymi! Pytałeś o sektę „Celsus”, tutaj się poddaję. Rozpytywałem trochę, ale nikt nie posiada żadnej wiedzy o tym, żeby Paracelsus, alchemik (!), miał dzisiaj jakichś swoich wyznawców. To musi być jakiś norweski fenomen! Chętnie usłyszę twoje zdanie o fragmentach przetłumaczonych przez Stonehawka.

Stephen".

Skarphedin czytał kartki kilka razy, wypił kawę, ale nadal siedział przy stoliku; nie znał się specjalnie na archeologii, rozumiał jednak, że znaleziska z Aszkelonu doprowadziły do nowych odkryć w grotach nad Morzem Martwym, jak ważne były te odkrycia? na tyle, że mogło dojść do morderstwa? nawet kilku? do jeszcze gorszych rzeczy? jakie kryły się za tym motywy? alchemia? Prychnął: wszystko zaczęło się na Starym Mieście w Oslo, w Norwegii, kiedy zaginął starszy pan; na miejscu została krew i złoto! alchemia! wtedy do sprawy włączono detektywa Centrali Policji Kryminalnej, Skarphe*dina Olsena, sprawa okazała się mieć związek z zamierzłą historią, sięgała czasów starożytnego miasta, właściwie powinien być dumny, że powierzono mu taką sprawę; jeśli ją rozwiąże, jego nazwisko trafi do podręczników historii; uśmiechnął się sam do siebie, a potem zaczął się śmiać z własnych myśli. Pewne fakty były niezaprzeczone: Sara Bronken uczestniczyła w poszukiwaniach, a potem w odkryciu grot nad Morzem Martwym; numer rejestracyjny jej samochodu został znaleziony w zeszytach Rhymfaxe, a jej samej nie widziano od poniedziałku: gdzie podziewa się Sara Bronken? Skarphedin zaczynał się niepokoić, zerknął na zegarek, do zebrania brakowało jeszcze godziny. „Prawdziwa fizyka polega na umieszczeniu człowieka w jednolitym kontekście”. Skarphedin Olsen wstał od stołu, czuł, że lekko drży; skinął głową właścicielowi i wyszedł na ulicę; i wtedy właśnie pomyślał sobie: czemu to wszystko ma służyć? Zatrzymał taksówkę, wsiadł i kazał się wieźć do szpitala w Ulleval, gdzie na oddziale

intensywnej terapii leżał mały chłopiec; on mógłby mu pomóc? nie, pomyślał, ale czy jedzie do niego dlatego, że oczekuje od niego pomocy? nie, robi to z wewnętrznej potrzeby; chce się upewnić, że mały ma wszystko, czego mu trzeba; zrobił się sentymentalny? możliwe, to nic złego; jest jaki jest, jest człowiekiem, który właśnie został wciągnięty w szerszy kontekst, po prostu, tak to wygląda, mruzczał pod nosem.

Taksówka podjechała pod szpitalną bramę.

Kierowca spytał o Oddział Intensywnej Opieki.

Strażnik wszystko mu wyjaśnił.

Skarphedin poprosił kierowcę, żeby zaczekał na niego; kierowca zaczął marudzić, ale kiedy detektyw wyciągnął swoją legitymację, nagle zmienił ton; Skarphedin wysiadł i podążył za strzałkami prowadzącymi na Oddział; drażnił go zapach szpitala, kichnął dyskretnie trzy razy, stanął i zaczął się rozglądać; kogo mógłby spytać? usłyszał głośny płacz niemowlęcia i cofnął się, stanął w półotwartych drzwiach zapewne jakiejś dyżurki, nagle zobaczył przed sobą twarz pielęgniarki w okularach; na widok Skarphedina zmarszczyła brwi, ten zaś pokazał na siebie i zaczął bezdźwięcznie poruszać wargami; pielęgniarka otworzyła drzwi i wyszli na korytarz: Kristine Korno, odczytał na plakietce, około czterdziestki? zgadywał Skarphedin, wydała mu się miła i sympatyczna.

* W czym mogę pomóc? * spytała. Olsen kolejny raz wyjął swoją legitymację.

* Chodzi o chłopca, którego znaleziono dzisiaj w nocy, Beniamina Gartlanda * powiedział i odchrząknął. * Chciałbym się dowiedzieć, w jakim jest stanie.

* Nadal go obserwujemy. Jest w śpiączce.

* W śpiączce? * powtórzył detektyw i znów odchrząknął.

* Był silnie wychłodzony, policja powinna to wiedzieć, nie współpracujecie ze sobą? * powiedziała srogo, odsuwając okulary na czoło.

* Oczywiście, że współpracujemy, tyle że... jesteśmy... z dwóch różnych wydziałów; po prostu chcę wiedzieć, czy wyzdrowieje?

* Wyzdrowieje * powiedziała pielęgniarka, uśmiechając się. *

Kiedy ciało małego dziecka ulega wychłodzeniu, dochodzi do hipotermii, rodzaju zatrucia, tak to można chyba określić; zostaje zaburzona równowaga organizmu. Można ją przywrócić, ale trzeba postępować bardzo powoli, stopniowo dochodzić do właściwej ciepłoty ciała.

* Czyli mały jest w śpiączce i wystąpiła u niego hipotermia * powtórzył cicho Skarphedin, kiwając głową, jakby wszystko doskonale rozumiał. * Kiedy się obudzi? Myśli pani, że mogło dojść do nieodwracalnych zmian?

* Przypuszczam, że obudzi się jeszcze dzisiaj * powiedziała pielęgniarka i uśmiechnęła się. * Natomiast czy doszło do nieodwracalnych zmian, tego jeszcze nie można stwierdzić, miejmy nadzieję, że wszystko będzie dobrze. Liczymy też, że pojawi się ktoś z rodziny i zajmie się chłopcem. Przykra sprawa, taki zamach.

* Tak * potwierdził detektyw, nie bardzo wiedząc, co ma robić. Stał ze spuszczoneym wzrokiem.

* Jeśli chce go pan zobaczyć, to mały leży w sali numer 211, tylko proszę nie robić hałasu.

* Dziękuję * odpowiedział Skarphedin i ostrożnie ruszył we wskazanym kierunku.

Powoli otworzył drzwi.

W pokoju było chłodno, niemal zimno.

Było tam łóżko i parawan.

Zajrzał za parawan.

Na łóżku za parawanem leżał chłopiec.

Leżał na plecach, od pępka w górę był nagi.

Do jego ciała przytwierdzono całe mnóstwo kroplówek, rurek, wokół łóżka stały różne maszyny; chłopiec leżał bez ruchu, miał zamknięte oczy, ale widać było, że oddycha;

Skarphedin podszedł ostrożnie bliżej: chłopiec był ładny, miał jasne włosy, wyraźne rysy

twarzy i miękkie wargi, obok jego ręki leżało pluszowe zwierzątko, łasica? jeż? trudno powiedzieć; przyglądając się maskotce, Skarphedin zauważył, że pluszowe zwierzątko ma na szyi żółtą wstążeczkę z karteczką; karteczka była pomięta i zniszczona, zdjął ją ostrożnie, wygładził i zaczął czytać: „Dla Bena, który był bardzo grzeczny, kiedy mama i tata wyjechali. Już nigdy cię nie zostawimy. Bardzo za tobą tęskniliśmy!”. Olsen chrząknął, odwrócił się, ale po chwili podszedł do łóżka i bardzo delikatnie, niemal go nie dotykając, pogładził chłopca po czole; poczuł wzruszenie: gdzie był chłopiec w chwili wybuchu? Mam nadzieję, że tego nie widziałeś, powiedział sam do siebie; kiedyś o wszystkim zapomnisz, powiesz ci się w życiu. Naprawdę się rozklejam, pomyślał; jak długo tak stał? nie potrafił powiedzieć, spojrział na zegarek, za dziesięć minut miało się odbyć spotkanie zespołu; szybko opuścił pokój, pożegnał się grzecznie z pielęgniarką w dyżurce, nagle zawrócił, wyciągnął wizytówkę i podał ją kobiecie.

* Jeśli pojawią się jacyś krewni, to mam prośbę, żeby się ze mną skontaktowali * powiedział. Pielęgniarka wzięła wizytówkę i pokiwała głową.

Skarphedin ruszył do wyjścia, mijając automat z kawą, zwrócił nagle uwagę na znajomą sylwetkę, zatrzymał się, czując jak bije mu serce: kobieta spojrzała na niego, ale nie uśmiechnęła się; kilka kroków od niego stała Rakel Starkabel, była ubrana po cywilnemu, miała na sobie jasnoniebieski płaszcz, a na szyi żółtą chustkę. Jaka to piękna kobieta, pomyślał i poczuł, że coś w nim jakby śpiewa, i wtedy wydarzyło się coś, co nie przytrafiło mu się już dawno, coś szalenie krępującego: poczuł bowiem, że ma wzwód, że coś wypycha mu spodnie! szybko się odwrócił i okrył się szczelniej płaszczem.

* Witaj, Rakel * powiedział niepotrzebnie głośno.

* Dzień dobry, Olsen. Powiedz mi, czy KRIPOS naprawdę nie ma czym się zajmować? Miałam wrażenie, że ta sprawa należy do nas?

* To prawda, tylko bardzo się zmartwiłem historią chłopca i chciałem...

* Olsen * przerwała mu. * Co ty tu robisz?

* Odwiedzam małego chłopca, który jest w śpiączce i ma hipo*termię.

Popatrzył na stojącą przed nim kobietę, dopiero teraz odważył się spojrzeć jej w oczy i po raz kolejny się zmartwił: jej twarz była szara, zmęczona, oczy bez blasku, nie pałały miłością do mężczyzny,

który przed nią stał, ale Rakel Starkabel taka właśnie była: skupiona, odważna, kiedy pracowała; prywatnie zaś była osobą łagodną, czułą; była głęboko religijna, co uważał za bardzo piękne; Skarphedin czuł, że nadal jest podniecony, jednak płaszcz dobrze go krył. Sprawa z chłopcem, o którym policja początkowo w ogóle zapomniała, była niewybaczalnym błędem, na pewno bardzo ją to poruszyło.

* Czyżbyśmy prowadzili równoległe dochodzenia? * spytała nadal bez uśmiechu.

* Nie * odpowiedział Skarphedin nieswoim głosem. * Obiecałem tylko wyjaśnić pewną sprawę kolegom z Izraela * skłamał.

Zmrużył oczy, miał wrażenie, że kobieta, która i tak była od niego wyższa, staje się jeszcze wyższa; nagle się uśmiechnęła i położyła mu rękę na ramieniu.

* Dziwak z ciebie, ale przyznaję, że bardzo sympatyczny. Prawdę mówiąc, cieszę się, że kiedy to wszystko się skończy, pójdziemy razem na kolację.

* A ja cieszę się, że to słyszę, Rakel, ty i ja...

* Dobrze, dobrze * przerwała mu. * Nie obiecuj sobie zbyt wiele. Zobaczymy, co przyniesie nam przyszłość. Dla mnie jesteś i pozostajesz niepoprawnym poganinem, który pewnie nawet nie wie, co to jest „komunia”?

Skarphedin nie wiedział, co ma odpowiedzieć.

* Żyje? * spytała.

* Tak, ale nadal jest w śpiączce. Możliwe jednak, że dzisiaj się obudzi, tak powiedziała pielęgniarka. Myślisz, że mógł coś widzieć? * spytał. Czuł, że podniecenie mija.

Rakel ledwie poruszała ustami.

* Miejmy taką nadzieję * powiedziała ze wzrokiem wbitym w ścianę.

* Macie jakiś trop? * spytał Skarphedin, kierując się do wyjścia.

* Palestyńscy terroryści. Przyjdź na konferencję prasową, skoro najwyraźniej brakuje ci zajęcia.

Olsen odwrócił się w drzwiach, już miał jej odpowiedzieć, ale powstrzymał się, pokręcił tylko głową; był przekonany, że policja jest świadomie dezorientowana; kto się za tym kryje? wołał w nim jakiś głos.

Kraj traci bezcenne dobra kultury!

(Tel Awiw, IP). Izraelskie Ministerstwo Kultury bije na alarm. Odbywa się zorganizowana grabież bezcennych skarbów naszej kultury, które są nielegalnie wywożone z kraju. Angielski archeolog David Graham wielokrotnie prosił władze o pomoc w walce ze zorganizowanymi bandami, grabiącymi wykopaliska archeologiczne na wybrzeżu na południe od Tel Awiwu. Także tereny wokół Jerycha i Morza Martwego, gdzie też prowadzone są wykopaliska, nawiedzane są przez łowców skarbów. Rząd izraelski zobowiązał się do...

Fragment artykułu z „Jerusalem Post”, 14.06.1977.

9

Rozmowy o podejrzanym gardle,
szef Centrali Policji Kryminalnej przedstawia się jako kość,
a Skarphedin Olsen ogląda plac zabaw

Zbliżało się wpół do pierwszej, Skarphedin Olsen postukał lekko palcem w stół i cichy gwar umilkł; detektyw wstał z taką miną, jakby miał przemawiać w rzymskim senacie, podszedł do tablicy i napisał na niej czarnym pisakiem pięć nazwisk: na samej górze Aron Rhymfaxe ze znakiem zapytania, następnie: Gartlandowie i Micha*el Melling z dużym czarnym krzyżem obok, oraz Jack Bekk i Sara Bronken, bez żadnych dodatkowych symboli; wszystkie nazwiska zostały wzięte w kółko, od którego odchodziła strzałka w stronę „Celsus”, nazwa została dwa razy podkreślona; Skarphedin stał z zamkniętymi oczami, miał lekko otwarte usta, jakby czekał, że słowa same pojawią mu się na języku albo olśni go jakaś nagła myśl; nic takiego nie nastąpiło, jednak przedstawione przez niego podsumowanie było zwięzłe i logiczne.

* Zamach na małżeństwo Gartlandów został dokładnie zaplanowany i bardzo profesjonalnie przeprowadzony, to byli zawodowcy * zaczął. * Także zabójstwo Michaela Mellinga w jego mieszkaniu na Krebs gate nie było wynikiem spontanicznego działania, tylko precyzyjnie zaplanowaną zbrodnią. Kiedy przybyłem tam razem z Torem, odniosłem wrażenie, że to dzieło szaleńca, że ktoś chce się z nami zabawić. Ale nie, sprawca nie bawi się z nami. Wszystkie jego działania są wynikiem wcześniej zaplanowanego ciągu zdarzeń. Morderstwo na Krebs gate miało charakter przewencyjny, zostało popełnione na kilka dni przed włączeniem nas do sprawy; gdyby numery rejestracyjne samochodów nie były zapisane w zeszycie Rhym*faxe, nawet nie wiedzielibyśmy o istnieniu Mellinga. Dzisiaj w nocy ja i Tor dokładnie przeszukaliśmy mieszkanie ofiary. Nie znaleźliśmy wiele, ale pewne ślady mogą okazać się istotne. Michael Melling został pozbawiony życia ciosem w plecy; cios został zadany nożem, a raczej rodzajem sztyletu. Sprawca jednak nie poprzestał na tym. Kiedy Melling padł martwy na podłogę między szafkami a stołem w kuchni, zabójca poderznął mu gardło, przecinając obie tętnice, tak by pozbawić ciało krwi. To było bardzo fachowe cięcie, wykonane dokładnie według wskazówek podręczników wojennych opisujących różne techniki zabijania. Dlaczego zabójca to zrobił? W napadzie złości? Do tego pytania jeszcze

wrócimy. Oto co wiemy: Michael Melling znał osobę, która go zabiła, inaczej zapewne nie stałby w kuchni i nie parzył kawy dla siebie i swojego gościa. Po dokonaniu zabójstwa morderca umieścił narzędzie zbrodni obok głowy ofiary. Nóż, czy raczej sztylet, znajdował się w widocznym miejscu, tuż nad prawym ramieniem Mellinga; widać to wyraźnie na zdjęciach leżących przed wami na stole. Dlaczego zabójca to zrobił? Do tego także wrócimy później. Peder, możesz opisać narzędzie zbrodni? * poprosił Skarphedin; skrzyżował ręce na piersi i zaczął wędrować po pokoju.

* Chętnie * odpowiedział Ungbeldt. * Określiłbym je raczej jako sztylet niż nóż. Mamy kilka wyraźnych zbliżeń. Spójrz, Jon, nie było cię z nami. Na rękojeści są bogate arabskie ornamenty i wyraźne symbole. Podejrzewam, że może to być specjalny sztylet używany przez niektóre grupy islamskich fundamentalistów do rytualnego uboju owiec zgodnie ze wskazaniami Koranu. Sztylet sprawia wrażenie nowego; ani na ostrzu, ani na rękojeści nie ma żadnych śladów, żadnych rys, zadrapań. Na ostrzu są natomiast jakieś hebrajskie znaki. Podejrzewam, że taki sztylet można kupić w każdym sklepie z pamiątkami w Tel Awiwie czy Jerozolimie.

* Właśnie * potwierdził Skarphedin. * Narzędzie zbrodni jest na tyle szczególne, że łatwo je zidentyfikować. Nie można nie zwrócić na nie uwagi, jakby zabójca mówił nam: To

muzułmański sztylet wyprodukowany w Izraelu, czyli zapewne użyty przez Palestyńczyka!

* O la la * powiedział Tor, wznosząc oczy do nieba. * Ślady znów prowadzą do Palestyny! Skarphedin wrócił do tablicy i podniósł do góry palec.

* Kiepska aranżacja, łatwa do przejrzania * powiedział. * Zabójca umieścił tam sztylet specjalnie. Poderżnięte gardło też może wskazywać na jakiś muzulmański rytuał ofiarowania; osoba ta najwyraźniej bardzo chce, żebyśmy uwierzyli, że mamy do czynienia z aktem zemsty ze strony palestyńskich terrorystów i że zabójca poderżnął ofierze gardło w napadzie szału. Ergo rodzi się pytanie: kim był Mi*chael Melling? Zagorzałym zwolennikiem Izraela, którego należało usunąć? Agentem Mossadu? Peder ma chyba na to odpowiedź.

* Cóż * odchrząknął Ungbeldt, który przed chwilą skończył ssać kolejnego miętusa. * Bardzo dokładnie przejrzelśmy wszystkie szuflady Mellinga, szafy, półki, wszystkie dokumenty. Nie znaleźliśmy niczego, co wskazywałoby, że miał jakiegokolwiek powiązania z Izraelem. Powiedziałbym, że wręcz przeciwnie. Książki, które miał na półkach, wskazywały na dość radykalną przeszłość i raczej propalestyńskie sympatie. W Izraelu był zapewne służbowo, był inżynierem, wolnym strzelcem, projektował systemy nawadniające w krajach rozwijających się. Znalezione papiery wskazywały na jego zaangażowanie w różnych krajach w Afryce; są także dowodem na to, że pracował jako konsultant przy projektach irygacyjnych w Gazie, na terenach kontrolowanych przez Palestyńczyków; mówiąc krótko: nic z tego, co znaleźliśmy, nie wskazuje na to, żeby Melling w jakikolwiek sposób występował przeciwko Palestyńczykom. Oczywiście możemy się mylić.

* Ale znaleźliśmy jeszcze coś, prawda, Peder? * powiedział Skarphedin, a na jego ustach pojawił się grymas.

* Owszem * potwierdził Ungbeldt. * Na stole w kuchni leżała sterta papierów. Rzuciła się w oczy. To były jakieś broszurki. Pisane po hebrajsku. Podobne znaleźliśmy też w różnych miejscach na półkach z książkami. Sfotografowaliśmy je i cały dzień dzisiaj próbowałem dojść, o co w nich chodzi. Okazuje się, że są to ulotki, pamflety o zdecydowanie politycznym charakterze, popierające Likud i skrajnie ortodoksyjnych Żydów, którzy najchętniej raz na zawsze zniszczyliby wszelkie palestyńskie ciągoty niepodległościowe.

* Czyli że... * zaczął Jon Fuhelle, wstając z krzesła.

* Spokojnie, Jon * powstrzymał go Skarphedin, nadal krzywo się uśmiechając. * Jesteśmy niemal pewni, że to zabójca zostawił ulotki w mieszkaniu Mellinga. Po dokonaniu morderstwa. Żeby

uwiarygodnić motyw zemsty. Bawi się z nami! Nie jestem tylko pewien, czy policja... * urwał nagle.

* Świetnie się spisaliście dzisiaj w nocy * pochwalił kolegów Furhelle.

Skarphedin usiadł przy stole i złożył ręce.

* Gartlandowie zostali zamordowani * powiedział cicho. * Policja i POT uważają, że to dzieło palestyńskich terrorystów. Niedługo będą mieli na głowie kolejne morderstwo. Tym razem także wszystkie ślady będą wskazywać na skrajne ugrupowania palestyńskie. Proste, prawda? Pora jednak przestać zajmować się polityką i konfliktem między Izraelczykami i Palestyńczykami, bo przecież wiemy już, że jest to fałszywy trop obliczony na gamoniów o kurzych mózdkach! Prawdziwe motywy tych zbrodni są całkowicie inne * powiedział Skarphedin, wstając od stołu.

Przez następne pół godziny opowiadał rzymskiemu senatowi

o tym, do czego dotarł Fredric Drum: o wykopaliskach na terenie starożytnego miasta Aszkelonu, o niedawno odkrytych grotach

i próbach odczytania starych rękopisów; opowiadał też o esen*czykach, o mędracach i tekstach zawierających przedziwne treści, o ukrytych wręcz bezcennych skarbach dawnej kultury; w dramatycznych słowach przedstawił decyzję władz izraelskich o zagroźeniu i zamknięciu sporego terenu wokół Morza Martwego, co doprowadziło do rozpacz angielskich archeologów; starał się nie pominąć żadnego szczegółu, z wyjątkiem jednego, a mianowicie tego, że jego informacje w przeważającej mierze pochodzą od młodego szefa kuchni na Frognerveien; kończąc, narysował na tablicy drugie kółko wokół słowa „Celsus”, dodał też kilka strzałek wskazujących na Arona Rhymfaxe.

Tor Jonson westchnął głośno i rozprostował nogi. Jon Furhelle siedział i ssał kolejną mentolową pastylkę. Peder Ungbeldt mrugał.

* Jeśli mam być szczerzy, to nic z tego nie rozumiem * wyznał Jonson.

* Może za chwilę zrozumiesz nieco więcej * powiedział Skarphedin, wyraźnie zły. Uderzył palcem w tablicę, wskazując na czwarte

nazwisko. *Ta osoba, Sara Bronken, była członkiem zespołu archeologów, który znalazł nowe groty nad Morzem Martwym!

* Co takiego? * wyrwało się Furhelle.

* Właśnie * pokiwał głową Olsen. *Właśnie. Proponuję, żebyśmy teraz zrobili krótką przerwę.

Skarphedin wyszedł z pokoju zebrań i udał się do swojego gabinetu; podszedł do półki z książkami i sięgnął po egzemplarz słownika wyrazów obcych, odszukał wyraz „komunia” i zmarszczył czoło.

* Ach tak * powiedział sam do siebie.

Poczuł, że zmarszczki na twarzy wygładzają mu się i że ogarnia go błogi spokój, odstawił słownik na miejsce, podszedł do lodówki i wyjął z niej trzy rodzaje serów: camembert, stiiion i chevre; pokroił sery na małe kawałki, nadział na wykałaczki i ułożył na desce; wziął też cztery plastikowe kubki i pół butelki Chateaux Gablot z Fronsac; wszystko to zaniósł do pokoju zebrań i postawił na stole.

Furhelle stał przy oknie, wydmuchując niebieski dym.

Peder Ungbeldt siedział i prawie spał.

Jonson próbował dotknąć rękami palców u stóp, nie zginając nóg w kolanach, trochę przy tym sapał, ale i tak sporo mu brakowało, pewnie około dziesięciu centymetrów.

* Rozumiem, że szare komórki pracują? * rzucił Skarphedin, siadając przy stole. Dał znak pozostałym.

* Jakieś niezłe bagienko nam się trafiło * westchnął Jonson.

* Więc Sara Bronken też tam była * powiedział Furhelle, wypuszczając dym. * Ciekawe, gdzie jest teraz?

* Martwa, zastrzelona, utopiona, uduszona, poćwiartowana * cedził słowa Ungbeldt; sięgnął po kawałek stiltona, powąchał go i pokiwał głową.

* Twoja kolej, Jon * powiedział Skarphedin, rozlewając wino do szklanek. * Opowiedz o swojej nocnej wizycie w Nittedal.

Furhelle wypił łyk wina i cichym głosem zaczął opowiadać o podróży do Nittedal; powiedział, czego dowiedział się od właścicieli domu: że Sara Bronken ma narzeczonego w Anglii. Ciekawe, kto to jest? Skarphedin zmarszczył czoło i zapisał coś w swoim notesie. Furhelle nie zauważył niczego szczególnego w mieszkaniu; zwrócił jednak uwagę na dwie rzeczy.

* Sara Bronken miała być u dentysty w czwartek o 14.15. Raczej tam nie poszła, skoro nie było jej w domu od poniedziałku. Poza tym pudełko z jej tabletkami antykoncepcyjnymi leżało w łazience; ostatnią tabletkę wzięła wieczorem w niedzielę, tak przynajmniej wynika z opakowania * zakończył Furhelle.

* Te tabletki źle wróżą * skomentował Tor, przeżuując kawałek chevre'a.

Skarphedin nie odezwał się. Siedział z zamkniętymi oczami.

* Cóż * mruknął Ungbeldt. * Wiele wskazuje na to, że możemy się spodziewać kolejnego trupa.

* Jest jeszcze Jack Bekk, ostatni na liście. Neurochirurg. Nadal nie wiadomo, gdzie on się podziewa? * spytał Ungbeldt.

* Pewnie utopił się w Niagarze * zaśmiał się Jonson.

* Przestańcie, do diabła! * krzyknął Skarphedin, uderzając ręką w stół. * I zaczniście myśleć, po co inaczej to wino i sery?

* No tak * wybąkał Ungbeldt ledwie słyszalnie.

* Zarówno Gartlandowie, jak i Sara Bronken mieli powiązania z archeologami pracującymi nad Morzem Martwym * powiedział Furhelle. * Mam wrażenie, że w końcu docieramy do czegoś istotnego.

* Właśnie * pokiwał głową Skarphedin. * Można chyba powiedzieć, że... * nagle urwał.

Drzwi do pokoju zebrań otworzyły się.

Na progu stanął szef, Arthur Krondal.

Poszli do gabinetu Olsena, Krondal był blady, miał ściągniętą twarz; Olsen nie przypominał sobie, kiedy ostatnio widział go w takim stanie; szef stanął plecami do okna.

* Skarphedinie * zaczął * gdzieś nad moją głową toczy się wojna. Mam wrażenie, że jestem kością, o którą biją się dwa wygłodniałe kundle. Ktoś żąda natychmiastowego zaprzestania śledztwa.

* O czym ty mówisz, do diabła? * spytał Skarphedin, starając się nie okazywać zdenerwowania.

* To potwornie frustrujące; nie mam pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi. Jak ci ostatnio mówiłem, jestem przekonany, że ty wiesz znacznie więcej ode mnie * powiedział i zaczął trzeć czoło.

* Kto ci bruździ?

* Niektórzy szefowie wydziałów w ministerstwie.

* Urzędnicy. Może naczytali się Kafki? Krondal uśmiechnął się blado.

* Miarka się przebrała w związku z morderstwem w Torshov. Przez kilka dni nie chcieliśmy wychodzić z tym na zewnątrz, żebyście mogli spokojnie pracować. Pewnie nam się to uda, ale...

* Ale? * powtórzył Skarphedin, wyjmując z ust wykałaczkę.

* Pewne siły nalegają, żeby natychmiast zaprzestać dochodzenia i zniszczyć wszelkie dokumenty z nim związane. Jeśli nie posłucham, mogę stracić stanowisko; słyszałem takie głosy.

* A co mówi druga strona? * Skarphedin zmarszczył czoło.

* Żąda, żebym jak najszybciej rozwiązał sprawę. Jeśli nie nastąpi to dość szybko, mogę stracić stanowisko * powiedział Krondal i znów otarł pot z czoła.

* Do licha, Arthurze! * roześmiał się Skarphedin. * Widzę, że faktycznie sprzeczne polecenia krzyżują się nad twoją głową; myślałem, że podlegasz jednemu szefowi.

* To prawda * pokiwał głową Krondal, wpatrując się w mgłę. * To znaczy zwykle tak było, ale w ostatnich godzinach najwyraźniej zaszły jakieś zmiany, i prawdę mówiąc, jestem w szoku.

Skarphedin odchrząknął.

Na moment zapadła cisza.

Z dołu dobiegał szum ulicy, zatrąbił jakiś samochód.

* Możesz podać mi jakieś nazwiska? Albo stanowiska? * zaczął wypytywać Skarphedin, szczerze zaciekawiony.

* Nie pomożesz mi. * Krondal pokręcił bezradnie głową. * Mógłbym wymienić nazwiska kilku ministerialnych radców, a nawet i wiceministrów, ale ostateczna decyzja nie należy do nich. Za tym wszystkim stoi jeszcze ktoś, a ja, do diabła ciężkiego, nie mam pojęcia, czyje on interesy reprezentuje! * powiedział Krondal, podnosząc głos. Zaczął nerwowo krążyć po pokoju.

* No tak. * Skarphedin zerknął z ukosa na swojego szefa. * Chcesz powiedzieć, że grozi ci utrata stanowiska niezależnie od tego, co zrobisz? To absurd. Chyba sam w to nie wierzysz?

* Nie wiem, który z potworów jest groźniejszy, ale chętnie bym się dowiedział * wyznał Krondal, znów stając przy oknie.

* Arthurze, Arthurze, sprawiasz mi zawód. Dobrze wiesz, jakie siły okażą się na dłuższą metę najsilniejsze! Do czego byłoby to podobne, gdybyśmy wstrzymali dochodzenie teraz, kiedy wiemy, że popełniono już co najmniej dwie poważne zbrodnie, które powinny zostać ukarane najsroższą z kar?

* Miałem nadzieję, że to właśnie od ciebie usłyszę * powiedział Krondal i wreszcie też się uśmiechnął.

* Jaką podjąłeś decyzję? * spytał Skarphedin.

* Że kontynuujecie pracę. Całą parą, tylko, na litość boską, uważajcie, gdzie stąpacie!

* Bardzo ci dziękuję; obiecuję, że od tej pory już zawsze będziemy zdejmować buty * zapewnił Skarphedin; podszedł do szefa i poklepał go po ramieniu.

Dwóch weteranów stało i przyglądało się sobie.

Było co prawda wiele niewiadomych, ale niektóre rzeczy były pewne:

Zbliża się lato.

Nadchodzi sezon wędkarski.

Idą dobre czasy.

Skarphedin wyszedł na korytarz, już miał otworzyć drzwi do pokoju zebrań, kiedy Krondal go powstrzymał.

* Domyślasz się, o co tu naprawdę chodzi? * spytał cicho.

* Prawdę mówiąc, sam nie wiem * odpowiedział Skarphedin, mrużąc oczy. * Wiem tylko, że w tej chwili ślady prowadzą do starożytnego miasta Aszkelon, gdzie niedawno dokonano nowych odkryć. I wiem jeszcze jedno; właściwie wiedziałem, zanim jeszcze mi opowiedziałeś o toczących się walkach psów w krainie Kafki, a mianowicie, że jest to gra o naprawdę dużą stawkę, cokolwiek to znaczy.

Skarphedin otworzył drzwi do pokoju zebrań i dołączył do czekających na niego kolegów, którzy bynajmniej nie zmarnowali czasu: na tablicy pojawił się nowy zapis dużymi literami: Josva Corbin i Ebezer Goldman.

Skarphedin nie wierzył własnym oczom, kiedy idąc Ensjoveien w stronę Toyen, zobaczył nagle, że mgła zaczyna jakby pękać, a przez szpary wpadają jasne, złociste promienie słońca; czyżby słyszał też śpiew ptaków? tak, z koron drzew dobiegał go śpiew zięby, rudzika i

drozda; od razu poprawił mu się nastrój. Skręcił w kierunku Ogrodu Botanicznego, nagle zdał sobie sprawę, że widzi nie tylko ulicę Finnmarksgata, ale i budynki muzeum! cieszył się, że po zakończonym zebraniu zdecydował się na ten krótki spacer; dotarł do postoju taksówek przy stacji metra Toyen, właściwie był już w drodze do domu, uznał jednak, że coś jeszcze powinien sprawdzić: chciał jeszcze raz przejść się Gabels gate, tylko czy ma to zrobić teraz? sprawa nie była pilna; potrzebuje trochę czasu, żeby przemyśleć niektóre informacje przedstawione na zebraniu przez Tora i Pedera; dlatego szedł dalej, postanowił stąpać ostrożnie, jak to określił Krondal; dokładnie wiedział, jak spędzi sobotnie popołudnie i wieczór; pozostali członkowie zespołu mieli swoje zadania, czyżby wreszcie coś zaczynało się klarować? czyżby kawałki układanki zaczynały do siebie pasować? Ostateczny wzór wciąż był mało wyraźny, nie wiedział jeszcze, co kryje, ale kroczył ulicą zadowolony, nuąc coś pod nosem; kiedy znalazł się na Toyengata, nagle znów usłyszał ten wewnętrzny głos, który wmawiał mu, że jest stary i wypalony i że powinien raczej spędzać czas w „Kasserollen”, dotrzymując towarzystwa Fredri*cowi; ale nie, pokaże wszystkim, do czego jeszcze jest zdolny, nawet gdyby miało go to kosztować jego pracę w KRIPOS, jeśli ma pójść na dno, to przynajmniej z fanfarami! Przypomniał sobie, że on i Ra*kel mieli umówić się na kolację po zakończeniu sprawy; czy on jest słodki? takiego określenia użyła? słodki? tak, nie miał żadnych wątpliwości; tuż przed Granlandsleiret nagle się zatrzymał, był czerwony na twarzy: erekcja, niezwykle krępujące zdarzenie, czy ona mogła to zauważyć? mało prawdopodobne, ruszył dalej; zanim jednak wszedł do nieznanego mu baru na Storgata, zdążył jeszcze zobaczyć, jak pierwszym promieniem słońca udało się przedrzeć przez mgłę. Zamówił espresso i croissanta.

Usiadł gdzieś w kącie.

Ebezer Goldman.

Tor Jonson opowiedział o swoim zderzeniu z Corbinem na schodkach przed sklepem Goldmana; uznał, że to przypadkowe spotkanie może się okazać ważne, zachował więc anonimowość wobec właściciela sklepu; Skarphedin pochwalił go za to; kiedy Jonson wszedł do środka, Goldman zajęty był układaniem różnej wielkości pudełek pod ladą, jakby chcąc je ukryć, opowiadał Jonson; odniósł też wrażenie, że Goldman był nieco zdenerwowany, gdy spytał, czym może mu służyć? Jonson wyznał, że interesuje go starożytna biżuteria, znajdzie tu taką? właściciel pokiwał głową i zaczął wyjmować różne pudełka, w których były pierścionki, kolczyki i inne drobiazgi mające ponad dwa tysiące lat, jak twierdził właściciel sklepu; to możliwe? zdziwił się Jonson i dowiedział się, że biżuteria jest dziełem Lykkijczyków, którzy kiedyś osiedlili się nad Morzem Śródziemnym, w Turcji, i mieszkali tam aż do narodzin Chrystusa. Goldman nagle bardzo się podniecił, wyjął stare mapy i jakieś albumy, w których można było obejrzyć słynne kute w skałach grobowce, które lud ten po sobie pozostawił; ale tak stare złoto? wolno coś takiego sprzedawać? dziwił się dalej Jonson; ależ oczywiście, dopóki nie są to norweskie rzeczy, znalezione na terenie Norwegii, uspokoił go Goldman; Jonson wymyślił więc na poczekaniu jakąś historyjkę, powiedział, że chce kupić coś wyjątkowego dla swojej ukochanej na urodziny, może takie małe kolczyki? te przypominające winogrona? ile kosztują? dwa tysiące sto czterdzieści koron, powiedział Goldman, wycierając pot z czoła; kosztują mniej więcej tyle samo koron, ile mają lat, zaśmiał się; Jonson powiedział, że jeszcze się zastanowi, i spytał, czy może się trochę rozejrzeć po sklepie? Sprzedaż starego złota i srebra jest w Norwegii dozwolona, wszedł mu w słowo Skarphedin, tyle że transakcje muszą być rejestrowane; były? Jonson pokręcił głową, kupił kolczyki, najmniejsze, jakie znalazł, ale Goldman nie odnotował transakcji, Jonson musiał nawet specjalnie prosić o rachunek! położył go teraz na stole, żeby wszyscy widzieli; jednak także inne rzeczy zwróciły jego uwagę:

Większość znajdujących się w sklepie przedmiotów była bezwartościowa.

Zauważył jednak arabski sztylet.

Podobny do tego, którym zabito Michaela Mellinga.

Został wyprodukowany w Izraelu.

Zarówno sklep, jak i jego właściciel zrobili dość chaotyczne wrażenie, takiego właśnie słowa użył, Skarphedin przytaknął. Co się stało z kolczykami? chciał wiedzieć Furhelle: zostały natychmiast dostarczone do laboratorium, do Maltstuen, który bez chwili wahania przemielił złoto na proszek, uzyskując dokładnie dwanaście i trzy dziesiąte gramów; kilka minut później Maltstuen stwierdził, że było to zaledwie czternastokaratowe złoto i raczej nie pochodziło z Lykkii; poza tym Maltstuen miał też informacje dotyczące szminki pani Gartland: była marki Dior, koloru karminowy róż.

Skarphedin ugryzł croissanta.

Kłamstwa, fałsz, blef.

Tym zajmował się Ebezer Goldman.

Okłamał go w sprawie rozmowy z panią Gartland.

Żeby coś ukryć, tylko co?

Jonson zakończył swoje sprawozdanie, kładąc na stole papiery pokazujące stan kont Goldmana: na jednym było ponad dwa miliony koron, na drugim prawie trzy, jednak uwagę śledczych zwróciły przede wszystkim dane świadczące o tym, że w ciągu ostatnich czterech tygodni z jego kont czterokrotnie wypłacano większe kwoty, każda po dwieście pięćdziesiąt tysięcy koron, co dokładnie odpowiadało sumom, jakie * tak wynikało z wcześniejszych dociekań Ungbeldta * wpłynęły ostatnio na konto Corbina; to chyba jest ten punkt zaczepienia, którego tak długo szukali, powiedział Skarphedin, a pozostali przyznali mu rację; co zatem z Corbinem? Un*gbeldt opowiedział, czego zdołał się dowiedzieć: Corbin w ostatnich miesiącach regularnie kursował między Izraelem a Norwegią, odbył sześć lotów między Gardermoen a Tel Awiwem w poszukiwaniu nowych turystycznych celów podróży? raczej wątpliwe, stwierdzili śledczy; według Ungbeldta także teraz Josva Corbin był w Izraelu, poleciał tam dzisiaj w południe, o 12.30, samolotem Swissair, lot numer 288; wraca w poniedziałek wieczorem; Skarphedin zaczął bębnić palcami w blat stołu.

* Rozumiem, odwiedził Goldmana, a potem od razu udał się na lotnisko * powiedział.

Kim jest ten Corbin? czy Ungbeldtowi udało się czegoś dowiedzieć? skąd pochodzi? nie wiadomo; Ungbeldt sprawdził, że Josva Corbin figurował w rejestrze ludności: miał obywatelstwo norweskie, a adres zamieszkania był zgodny ze stanem faktycznym; nie miał też żadnych grzechów na sumieniu.

Ebezer Goldman i Josva Corbin.

Obaj zostaną wezwani na przesłuchanie w najbliższy wtorek.

Skarphedin zjadł ostatni kawałek croissanta i uśmiechnął się; następnie wstał i wyszedł; kiedy znalazł się na ulicy, uśmiech natychmiast zniknął z jego twarzy: mgła była znów równie gęsta jak wcześniej; złapał taksówkę i poprosił, żeby kierowca zawiózł go na Gabels gate, chciał sprawdzić pewien drobiazg, właściwie chyba w ogóle nieistotny; podczas jazdy nie odezwał się ani słowem; taksówka skręciła w stronę Bygdo Alle, a potem jeszcze raz w prawo, w Gabels gate; Skarphedin poprosił kierowcę, żeby zatrzymał się na skrzyżowaniu z Carl Guldbergs vei; kiedy wysiadał z wozu, zadzwonił telefon komórkowy, sięgnął do kieszeni.

* Słucham, Olsen * odezwał się krótko.

* Mówi Tor, szybko zakończyliśmy spotkanie * powiedział.

* Owszem, szybko, a o co chodzi? * spytał Skarphedin, zerkając na drugą stronę ulicy.

* Zapomniałem powiedzieć jeszcze o jednej rzeczy. Zajęliśmy się Goldmanem i Corbinem, a Maltstuenowi udało się nareszcie ustalić, co było nie tak z tą krwią.

* Z krwią? Z jaką krwią? * dopytywał się Olsen, nic nie rozumiejąc; był zamyślony, zajęty zupełnie innymi rzeczami, na asfalcie, po którym teraz szedł, wciąż widać było plamy.

* Z krwią w mieszkaniu Rhymfaxe oczywiście. Pamiętasz, że było coś, co zwróciło jego uwagę: zauważył, że nie wszystkie cząsteczki krwi uległy krystalizacji, pamiętasz?

* Dlaczego, do diabła, miałbym coś takiego pamiętać? * spytał Skarphedin, który właśnie zatrzymał się przed wejściem do budynku.

* Znalazł wytłumaczenie * powiedział Jonson nieco markotnie.

* Tak?

* Maltstuen nigdy jeszcze nie badał krwi pochodzącej z banku krwi. Do takiej krwi dodaje się specjalne składniki. Krew, która była na podłodze w mieszkaniu Rhymfaxe, pochodziła z banku krwi!

Skarphedin nie odpowiadał.

* To znaczy, że mamy kolejne potwierdzenie, że to, co widzieliśmy w mieszkaniu Rhymfaxe, zostało zaaranżowane * ciągnął dalej Jonson.

* Na to wygląda * odpowiedział Skarphedin. * Dobrze, że zadzwoniłeś, Tor. * Rozłączył się. Krew, krew z banku krwi? Uniósł brwi i zaczął się zastanawiać. Rhymfaxe żyje; tego już wcześniej był prawie pewien, tylko co w takim razie znaczą rzeczy pozostawione w jego mieszkaniu? Ciekawe; teraz jednak musi się skupić na czymś innym; zaczął się rozglądać: a więc to tutaj się wydarzyło, ślady po eksplozji były nadal wyraźne; do wybuchu doszło jakieś trzydzieści metrów od wejścia do kamienicy, w której małżeństwo miało niewielkie mieszkanie; detektyw zmrużył oczy, stanął dokładnie w miejscu, gdzie stał ich samochód; stał i patrzył; widział bramę prowadzącą na wewnętrzne podwórze, drzwi do klatek nie było widać; spojrzał na ulicę i nagle znieruchomiał, jego oczy zrobiły się wąskie jak szparki. Jakies pięćdziesiąt metrów dalej była otwarta przestrzeń.

Plac zabaw dla dzieci.

Huśtawki, zjeżdżalnia, piaskownica i mała karuzela.

Z miejsca, w którym stał, widać było cały plac zabaw.

Skarphedin przelknął ślinę.

Ruszył w kierunku placu zabaw, podszedł do huśtawek, potem do zjeżdżalni i piaskownicy; cały czas szedł z twarzą zwróconą w stronę miejsca, gdzie doszło do zabójczego w skutkach wybuchu; chrząknął i pokiwał głową, tak to mogło wyglądać: rodzice i dziecko wybierali się gdzieś samochodem, chłopiec dostrzegł plac zabaw i chciał iść się pobawić, rodzice się zgodzili, chłopiec się huśtał, zjeżdżał na zjeżdżalni, rodzice się zniecierpliwili, powiedzieli, że wracają do samochodu, a on ma zaraz do nich dołączyć, podeszli do samochodu, wsiedli, włączyli silnik i...

Skarphedin zamknął oczy.

Tak to mogło się odbyć.

Być może chłopiec wszystko widział.

Może nawet poczuł podmuch wybuchu.

A potem?

Tak mogło być.

I prawdopodobnie tak było. Skarphedin stał chwilę na placu zabaw, dlaczego to ma dla niego takie znaczenie? dla sprawy jest to właściwie nieistotne, dlaczego więc ciągle myśli o chłopcu? dlatego, usłyszał znów jakiś wewnętrzny głos, że potworność zbrodni uderza nas najbardziej, gdy dotyczy dziecka; detektyw zagryzł zęby, aż zbieleły mu szczęki, po chwili nieco się rozluźnił, postanowił wrócić na piechotę do swojego domu na Skoyen, ale co z Ebezerem Goldmanem? Zatrzymał się przed drzwiami do klatki, wszedł i zaczął czytać nazwiska przy dzwoneczkach, prawie natychmiast znalazł nazwisko Goldma*na; poczuł, jak narasta w nim ciekawość; dałby wiele, żeby dowiedzieć się czegoś więcej o prywatnym życiu tego mężczyzny, ale Krondal ostrzegł, że ma stąpać ostrożnie, więc tylko wzruszył ramionami. Postanowił wracać do domu, skierował się w stronę Bygdoy Alle: wróci do domu, weźmie prysznic, ogoli się, włoży coś bardziej odpowiedniego na sobotni wieczór i pójdzie

do „Kasserollen”; spędzi wieczór w towarzystwie Fredrica, przy ich prywatnym stoliku, między barem a kuchnią; Fredric już wcześniej obiecał, że zrobi sobie wolne i wspólnie jeszcze raz się nad wszystkim zastanowią; Skarphedin postanowił, że poda siostrzeńcowi wszystkie szczegóły, mimo że właściwie jest to sprzeczne z regulaminem, tym bardziej w przypadku TRUMNY, ale Fredricowi może zaufać. Wchodząc do bramy własnego domu, Skarphedin nawet coś sobie nucił; minęła właśnie piąta; wszedł do mieszkania, powiesił płaszcz i wtedy zadzwonił telefon.

* Słucham, Olsen przy telefonie.

* Dzień dobry, mówi Kristine Korno * odezwał się łagodny, nieco niepewny kobiecy głos.

* Kim pani jest? * spytał detektyw może trochę za ostro.

* Jestem pielęgniarką z Oddziału Intensywnej Terapii ze szpitala Ulleval; chcę przekazać, że mały Benjamin Gartland zmarł godzinę temu.

Skarphedin nie odpowiedział. Poczł nagle zimny powiew wiatru.

„Obecnie niemal wszyscy jesteśmy właściwie zgodni, że nasze działania zmierzają w kierunku poszukiwania rzeczywistości nieme*chanicznej; świat staje się raczej myślą niż maszyną”.

Cytat z wystąpienia angielskiego matematyka, fizyka i astronoma, sir Jamesa Hopwooda Jeansa, z 1943 roku.

Thomas Aquinas uważał,

że powietrze jest oddechem Boga,

znaczenie ekstraktu z jagód jałowca, nikt nie wie,

kim jest Aron Rhymfaxe, a Skarphedin Olsen podejmuje ważną decyzję

Minęła siódma, restauracja „Kasserollen” była już otwarta, wszystkie stoliki w kameralnym, ale zarazem dość przestrzennym wnętrzu były zajęte, jak niemal każdego wieczoru już od roku; w kącie między barem a kuchnią, oddzieleni od pozostałych gości, siedzieli Fre*dric Drum i Skarphedin Olsen; na stoliku stały dwa kieliszki, w jednym było czerwone wino, w drugim jałowcówka; detektyw sięgnął po kieliszek z jałowcówką i opróżnił go jednym haustem.

* Rozumiem, że Pratt nie wiedział, że Sara Bronken ma w Anglii narzeczonego? * spytał Skarphedin, trzymając kieliszek w dłoni.

* Nie wiedział.

Spełniając prośbę wuja, Fredric zadzwonił przed chwilą do Stephena Pratta w Anglii, żeby dowiedzieć się czegoś więcej o znajomych Sary Bronken, niestety Pratt niewiele wiedział, a w każdym razie nic, co byłoby interesujące.

Skarphedin przyszedł do restauracji pół godziny temu, zdążył już zapoznać siostrzeńca z różnymi aspektami sprawy; Fredric słuchał z zainteresowaniem; zwrócił uwagę na wyraz twarzy wuja, kiedy ten opowiadał o śmierci dziecka: pielęgniarka powiedziała Skarp*hedinowi, że po południu chłopiec odzyskał przytomność, otworzył na chwilę oczy, zamknął je i zasnął; wkrótce potem jego serce przestało bić; tak to się odbyło, może to i lepiej, wymamrotał Skarphedin, gdy niemal milcząc, siedzieli przy stoliku, każdy ze swoim kieliszkiem w ręku.

* Tak jak podejrzewałem, wujku, sprawa wygląda poważnie * odezwał się w końcu Fredric.

* Sądzę, że istnieją przynajmniej trzy różne powody, trzy różne możliwe motywy zbrodni; jeśli uda nam

się wyodrębnić ten właściwy i tym samym wyeliminować pozostałe, to będzie to bardzo dużo. Skarphedin zmarszczył czoło.

* Co masz na myśli? * spytał.

* Poczekaj * odpowiedział Fredric. * Mówiłeś, że szef Centrali Policji Kryminalnej, Artur Krondal, podejrzewa, że nad jego głową rozgrywa się jakaś walka, że istnieje konflikt interesów, o którym ani my, ani Krondal właściwie nic nie wiemy, bo sprawa jest, jak to się mówi, drażliwa.

* To słowo padło * potwierdził detektyw. * Nadal jednak nie rozumiem, że może być do tego stopnia drażliwa, żeby usprawiedliwiać zabójstwa.

* Nie było chyba mowy o tym, żeby w ogóle odłożyć ją na półkę * zaczął Fredric. * Chodziło raczej o odwrócenie uwagi od tego, co się wydarzyło, i przypisanie zbrodni na przykład palestyńskim terrorystom, czego przecież nie będzie można udowodnić.

* A niech to diabli * warknął Skarphedin. * Co za śmierdząca sprawa. Mam ochotę wypisać się ze społeczeństwa, które pozwala na takie manipulacje. Biedna Starkabel, która tkwi w tym po uszy.

* Przyjrzyjmy się wszystkiemu po kolei * powiedział Fredric, dolewając do kieliszków. * Mamy przed sobą cały wieczór, mam nadzieję, że wkrótce podadzą nam coś smacznego. Jestem przekonany, że uda ci się rozwiązać całą sprawę szybko i elegancko, wuju! Bije od ciebie entuzjazm i młodzieńcza werwa, dawno nie widziałem cię w takiej formie.

* Naprawdę? * Skarphedin podrapał się po karku i zaczął się przeglądać w lustrze wiszącym za barem.

* Naprawdę * zapewnił go Fredric. * Przyjrzyjmy się jednej z możliwości, powiedzmy, że jest to pierwsze rozwiązanie. Od naszego ostatniego spotkania przejrzałem sporo starych książek i dowiedziałem się wielu ciekawych rzeczy; zacznę od banalnego pytania: czy sądzisz, wuju, że nasza wiedza o świecie, historii, o prawach natury, religii i technice osiągnęła taki poziom, że możemy oświadczyć, że tak właśnie jest i już, że poznaliśmy prawdę?

* Raczej nie * powiedział Skarphedin, krzyżując ręce na piersi.

* Właśnie * niemal krzyknął Fredric. * Przykładów jest wiele: jeszcze kilka wieków wstecz we francuskich podręcznikach pisano, że elektryczność jest niewidoczną, lepką cieczą, która znajduje się we wszystkim; francuski chemik Lavoisier twierdził pod koniec osiemnastego wieku, że ciepło jest substancją; Thomas Aquinas, który żył w trzynastym wieku, uważał natomiast całkiem poważnie, że powietrze jest oddechem Boga; jeszcze w 1933 roku nie kto inny, tylko Albert Einstein zdecydowanie twierdził, że energii atomowej nie da się wykorzystać. Wszystkie te twierdzenia, jak dzisiaj wiemy, były błędne; w miarę jak nasza wiedza się pogłębia, zmienia się nasze widzenie świata; weźmy kolejny przykład: przyciąganie ziemskie, od czasu słynnego jabłka Newtona przedstawiano szereg teorii próbujących określić, czym naprawdę jest siła przyciągania ziemskiego; naukowcy do dzisiaj tego nie wiedzą, stwierdzają jedynie, że jest to jedna z podstawowych sił natury. Musimy więc szczerze przyznać, że to, co dzisiaj wiemy o świecie, za kilkaset lat może się okazać całkowicie błędne!

Skarphedin wypił łyk i pokiwał głową.

* W ten sposób dochodzimy do dziwnego zjawiska, jakim jest alchemia, która przy naszej nowoczesnej technice wydaje się czystą bzdurą. Ale gdybyśmy spróbowali odrzucić przesady? Pozostanie wtedy pytanie, czy posługując się najprostszymi technikami, możliwa jest fuzja pierwiastków, tak by powstały nowe, na przykład złoto. Arabski alchemik Jabir Ibn Hayyan twierdził w IX wieku, że jeśli poddamy metale właściwym wpływom astrologicznym, mogą się one zamienić w złoto. Inny, tym razem francuski, alchemik, Ni*cholas Flamel, który żył w końcu XIV wieku, uważał, że jeśli wymiesza się rtęć z czymś, co nazywał rtęcią filozoficzną, i filozoficzną solą oraz złotem, srebrem i siarką, wszystko oczywiście we właściwych proporcjach, to otrzyma się Kamień Mądrości, dzięki któremu można ponoć zamienić żelazo w złoto. Nawet znany angielski fizyk Isaac Newton wierzył, że promieniowanie antymonu może zamienić metal w złoto.

Skarphedin siedział, zmrużywszy jedno oko, i patrzył w sufit.

* Nie za bardzo się tym przejąłeś? * spytał siostrzeńca.

* Być może * odpowiedział Fredric niezrażony. * Uznałem jednak, że to konieczne, jeśli mamy do czegoś dojść. Zaraz przejdę do konkluzji. Przede wszystkim trzeba oddzielić bzdury od prawdziwej alchemii, wtedy być może dotrzemy do źdźbła prawdy, tej, której dzisiaj nie jesteśmy w stanie dostrzec, ale która za jakiś czas może okazać się oczywista. Dzisiaj wiemy, że jeśli niektóre metale poddamy promieniowaniu, jeśli zaczniemy je bombardować neutronami i protonami, możemy uzyskać złoto. Jednak koszty tego są tak ogromne, że procedura jest nieopłacalna. Słuchaj teraz uważnie, wuju: jesteśmy zgodni co do tego, że nasza dzisiejsza wiedza już jutro może się okazać nieaktualna. Możemy więc chyba także założyć, że przeszłość kryje rzeczy, które mogą wpłynąć na nasze dzisiejsze pojmowanie świata. Szwajcarski lekarz Paracelsus być może rzeczywiście odkrył coś naprawdę sensacyjnego podczas swoich podróży na Środkowy Wschód, nad Morze Martwe. Może Andre Fulcanelli, po którym po wojnie ślad zaginął, miał jednak rację: może istnieje jakiś prosty sposób pozwalający uwolnić energię atomową; jeśli dodamy do tego niedawne znaleziska na miejscu starożytnego Aszkelo*nu, to może jednak świat starożytny posiadał jakąś wiedzę, która jest nam nieznana; myślę też o tych zadziwiających tekstach, które przesłał mi Stephen Pratt, pewnie też je czytałeś, no i jeszcze te ostatnio odkryte groty nad Morzem Martwym; być może będziemy musieli zmienić nasze spojrzenie na wiele rzeczy; być może ta wiedza jest dostępna już od dawna, tyle że jedynie wąskiemu gronu ludzi! Fredric wstał od stołu i poszedł po butelkę białego wina, Borgog*ne la Palotte z Brocard w Francji; dał też znać kuchni, żeby podano im przystawki.

* Założmy, że... * zaczął Skarphedin cicho, niemal mamrocząc pod nosem, na tyle jednak głośno, żeby Fredric go słyszał. * A więc założmy, że „Celsus”, ta sekta czy klub, który w pewnym sensie kontynuuje średniowieczne tradycje, ukrywa jakąś tajemnicę. Nagle okazuje się, że może ona wyjść na jaw! Członkowie sekty są zdecydowani do tego nie dopuścić! Do tego stopnia, że gotowi są nawet mordować! Zamordowali już przecież dwóch swoich członków!

* Spójrz na to nieco inaczej * powiedział Fredric, znów siadając przy stole. * Założmy, że są to mądry ludzie, ich pozycja w społeczeństwie zdaje się o tym świadczyć. Rozsądek nakazuje im przekazać tę wiedzę, o ile takowa faktycznie istnieje, we właściwe ręce; dopilnować, żeby nie trafiła tam, gdzie nie powinna. Może właśnie robią wszystko, by nie trafiła w niepowołane ręce! Dlatego stają się ofiarami. Gartlandowie mogli stanąć komuś na przeszkodzie. Skarphedin pokiwał głową.

* Posłuchaj, wuju * kontynuował Fredric. * Znasz izraelskiego badacza jądrowego Petera Shlomsky'ego? Trafił do więzienia, bo...
Detektyw podskoczył na krześle.

* Shlomsky'ego? Tak, znam, miałem kiedyś sprawę... Do licha, Fredricu, skąd ty o tym wiesz? Słyszałeś, że izraelskie władze twierdzą, że on zniknął z więzienia?! * krzyknął Skarphedin, kręcąc głową.

* Wiem niewiele * zaczął Fredric. * Profesor Shlomsky był naukowcem, miał kilka doktoratów, zajmował się między innymi chemią i fuzjami, ale znał też starohebrajski. Kilka lat temu wiele o nim pisano w fachowej prasie. Potem został aresztowany i trafił do więzienia; twierdzono, że zdradził izraelskie plany dotyczące broni atomowej. Mówię o nim jednak przede wszystkim dlatego, że on twierdził coś podobnego jak Fulcanelli...

* Wiem * przerwał mu Skarphedin. * Znam historię tego człowieka; czytając o Fulcanellim, miałem podobne skojarzenia, ale on zniknął; pewnie zamęczono go w jakimś izraelskim więzieniu!

* Zniknął? Tego nie wiedziałem * powiedział Fredric cicho. Skarphedin prychnął zagniewany.

* Zaczynam dostrzegać pewien wzór * ciągnął dalej Fredric. * Okazuje się, że wszyscy najwięksi, najpoważniejsi alchemicy nagle znikają. Wygląda na to, że już sama świadomość faktu, że manipulowanie pierwiastkami w ogóle jest możliwe, pozwalała inaczej rozumieć życie; na przykład esseńcyzy twierdzili, że nieśmiertelność jest do osiągnięcia tu, na ziemi.

* Wkraczasz na niebezpieczny teren, drogi siostrzeńcu * powiedział Skarphedin, przyglądając się bacznie butelce na stole. Na stoliku pojawiły się też talerze.

* Jest faktem, że władze izraelskie zagroziły znaczną część terenów wokół Morza Martwego. W kręgach archeologicznych uznano to posunięcie za całkowicie niezrozumiałe.

* Jaki płynie z tego wniosek? * spytał Skarphedin, klepiąc się po brzuchu; najwyraźniej był zainteresowany czekającym go posiłkiem.

* Rozwiązanie pierwsze może być następujące: motyw popełnionej zbrodni może mieć związek z niedawnymi wykopaliskami, z czymś, co najwyraźniej grozi poważnymi konsekwencjami dla stanu naszej obecnej wiedzy, hasłowo rzecz ujmując: chodzi o energię atomową, zimną fuzję, transmutacje. Ta wiedza jest tak ważna, że Izrael pragnie zachować ją dla siebie, dlatego postanowiono zagrozić wspomniane tereny. Ale w grę mogą również wchodzić inne, nie tylko polityczne interesy, co znacznie komplikuje sprawę.

* I dlatego w pewnym mieszkaniu na Starym Mieście w Oslo, w Norwegii, rozlano na podłogę cztery litry krwi z banku krwi, zostawiono żelazne opiłki, trochę złotego pyłu, bukiet lilii i kilka zeszytów, wszystko po to, żeby do sprawy został włączony przebiegły i doświadczony detektyw Skarphedin Olsen! * roześmiał się detektyw, odchylając się na krześle. * Doprawdy mam powód, żeby czuć się zaszczycony * dodał.

* Mogą też być inne motywy, których w tej chwili jeszcze nie dostrzegamy * odezwał się Fredric cicho.

* Nie próbuj pomniejszać moich zasług! * powiedział Skarphedin z szerokim uśmiechem na twarzy. * Pracuję nad sprawą, której rozwiązanie może zapobiec wybuchowi kilku wojen. Nic dziwnego, że wielkie mocarstwa toczą ze sobą wojny za plecami biednego Arthura! Wiesz, jakoś trudno mi w to wszystko uwierzyć.

Fredric nic nie powiedział, jedynie nieśmiało się uśmiechnął.

Na stole pojawiło się jedzenie.

Przystawka.

Skarphedin nachylił się.

Powąchał.

Danie było apetycznie podane: kawałki sztokfiszka ułożone na musie z ananasa, posypane różowym pieprzem; detektyw podnosił właśnie widelec do ust, kiedy zadzwonił jego telefon komórkowy, zamruczał coś poirytowany i sięgnął do kieszeni.

* Słucham, mówi Olsen.

* Cześć, tu Jon. Dłuższa przerwa.

* Co takiego? Jesteś pewien?

* Ostatni raz w niedzielę? Nie było innych lotów?

* Dobrze, pracuj dalej. I zadzwoń, jeśli dowiesz się czegoś ważnego. Do wtorku i przesłuchania Goldmana i Corbina jest jeszcze sporo czasu.

Skarphedin skończył rozmowę, siedział i patrzył przed siebie. Fredric milczał, nalał wina do kieliszków, detektyw sięgnął po widelec i zaczął mu się przyglądać, jakby nigdy w życiu nie widział widelca.

* Jack Bekk * zaczął powoli. * Jeden z zapisanych w zeszycie numerów rejestracyjnych to numer jego samochodu. Neurochirurg, podobno miał być na kongresie w Stanach. Ale w Stanach go nie ma.

* A gdzie jest? * spytał Fredric.

* Diabli wiedzą! Dzwonił Jon Fuhelle; ma dostęp do bazy danych i sprawdził, że nikt o takim imieniu i nazwisku nie rezerwował ostatnio biletów na lot przez Atlantyck. W ciągu

ostatniego miesiąca żadne linie lotnicze nie miały pasażera o takim imieniu i nazwisku, który leciałby z Europy do Stanów. Natomiast w zeszłą niedzielę, tydzień temu, ktoś taki leciał ze Stavanger do Oslo o godzinie 19.30.

Olsen dokładnie przyglądał się daniu.

Wziął kawałek ryby na widelec, włożył do ust.

Zamknął oczy.

Przez chwilę nikt nic nie mówił, gwar dochodzący od strony pozostałych stolików i dyskretna obecność personelu nie przeszkadzała im; siedzieli i jedli w milczeniu, Skarphedin mlaskał.

* Wyborna kombinacja, Fredricu! * odezwał się w końcu. * Lekko posolona biała ryba podana z lekko kwaśnym ananasem. Udane połączenie.

* Nie nazbyt odważne? * spytał Fredric, który zawsze cenił sobie uwagi wuja.

* Tak więc w niedzielę wieczór Jack Bekk przybywa do Oslo.

Prawdopodobnie w poniedziałek poderżnięto gardło Michaelowi Mellingowi * powiedział Skarphedin, wracając do przerwanej rozmowy. Odłożył widelec na bok. * Tego samego dnia znika Sara Bronken. Kilka dni później eksploduje bomba w samochodzie Gartlandów. Tak wygląda chronologia.

* Kiedy dokładnie Rhymfaxe zniknął ze swojego mieszkania? * spytał Fredric.

* Zapewne między piątkiem a niedzielą, tydzień temu. * Skarphedin wypił resztkę białego wina z kieliszka.

* Czyli zanim zaczęło się pasmo zbrodni? Skarphedin przytaknął.

* Cóż * powiedział Fredric. * Przyjrzyjmy się drugiemu rozwiązaniu. Zacznę od krótkiego wprowadzenia, ale szybko przejdziemy do tego, co w tym przypadku jest najważniejsze, czyli słynnych już rękopisów znad Morza Martwego, znalezionych w 1947 roku w grotach w pobliżu Khirbet Qumran. Później zrobiono wiele kopii tych dokumentów, żeby udostępnić je badaczom na całym świecie. Jest jednak jeden problem, chodzi mianowicie o to, co znaleziono w grocie numer cztery. To znalezisko uznawane jest bowiem za najważniejsze: chodzi o kilka tysięcy fragmentów, które trzeba zebrać i przetłumaczyć. Zadanie to zostało powierzone wąskiej grupie badaczy, którzy mieli pracować nad nim w palestyńskim muzeum archeologicznym we wschodniej Jerozolimie, kiedyś części Jordanu. Zespół zajął dość dziwne stanowisko: postanowiono nie ujawniać częściowych wyników badań, tylko czekać do przedstawienia oficjalnych wyników. By zostać członkiem zespołu, trzeba było spełnić ostre wymagania: między innymi trzeba było być katolikiem! Kiedy umierał któryś z członków zespołu, jego następcę wybierano bardzo starannie. Nie wydaje ci się to podejrzane?

Skarphedin przytaknął; Fredric wziął kolejny łyk wina i mówił dalej:

* Ogrom pracy tak naprawdę wymagał o wiele większego zespołu; w pewnym momencie nieodzowna okazała się dobra znajomość machabejskiego, starohebrajskiego i aramejskiego. Kiedy okazało się, że przekład zwojów znalezionych w grocie numer cztery trwa nie lata, ale już dziesięciolecia, część naukowców zaczęła głośno

protestować. W rozmowie z 1977 roku Geza Vermes, znany naukowiec z uniwersytetu w Oksfordzie, określił przeciągające się prace jako największy skandal XX wieku! Zaczęły krążyć plotki, że kościół katolicki świadomie utajnia informacje, ponieważ mogą one wręcz zniszczyć chrześcijaństwo.

* Wielce możliwe * skomentował Skarphedin.

* Właśnie * przytaknął Fredric. * Możliwe. Tak więc w latach osiemdziesiątych powiększono zespół; w jego skład weszło dwudziestu naukowców; w 1990 roku zrobiono to ponownie, ustalono także dokładny harmonogram, określając daty wydania poszczególnych zwojów. I w końcu, gdzieś w połowie lat dziewięćdziesiątych, nastąpił przełom. Wydano pierwszą wersję dotąd nikomu nieznaną zwojów znad Morza Martwego: A Preliminary Edition of the Unpublished Dead Sea Scrolls.

Fredric wbił wzrok w Skarphedina.

* Po trwającej prawie pięćdziesiąt lat procedurze, zapewne pod baczną kontrolą Watykanu, pokazano w końcu jakieś rezultaty, jednak radość z tego faktu szybko została zakłócona. Okazało się bowiem, że młody teolog, który w latach siedemdziesiątych był członkiem zespołu, w pewnym momencie zniknął z pięcioma zwojami rękopisów. Znalezione go potem martwego w jego własnym mieszkaniu we Florencji; podobno popełnił samobójstwo. Mimo dokładnych poszukiwań w kręgu znajomych mężczyzny zwojów nigdy nie odnaleziono. Pojawiły się natomiast wątpliwości, czy mężczyzna rzeczywiście sam targnął się na swoje życie.

Na chwilę zaległa cisza.

Podszedł kelner, przynosząc nowe sztuce.

Podano butelkę czerwonego wina.

* Czyli co właściwie wiemy? * spytał Skarphedin, wyciągając nogi pod stołem.

* Poruszany się po bardzo delikatnym terenie * odpowiedział Fredric. * Chodzi o moralne korzenie całego zachodniego świata; mówimy o dwutysięcznej tradycji i wierze chronionej przez potężne państwa i kościół, który ma ponoć dwa miliardy wyznawców na całym świecie. Jeśli pojawi się coś, co zakwestionuje choćby tylko niektóre chrześcijańskie dogmaty, konsekwencje mogą być nieprzewidywalne. Naprawdę potężne!

* Może najwyższa pora * zamruczał pod nosem Skarphedin.

* Tak pokrótce przedstawia się historia zwojów znad Morza Czarnego * powiedział Fredric, stukając palcem wskazującym w kieliszek. * Kto wiedział, co znajdowało się w pięciu zaginionych rękopisach? Niedawno odkryto nowe groty, co się w nich kryje? Izraelskie władze zagroziły cały teren, co wywołało zdziwienie. Możemy założyć, że esseńczycy, chociaż najprawdopodobniej mieli swoją główną siedzibę w starożytnym Aszkelonie, z jakiegoś powodu większość swoich rękopisów przenieśli w rejon Morza Martwego, o czym wspomina zarówno Filon z Aleksandrii, jak i żydowski historyk Józef Falwiusz. Zakładając, powtarzam, zakładając, że w niedawno odkrytych grotach znaleziono materiały źródłowe dotyczące tekstów biblijnych i że trafią one w ręce obiektywnych badaczy, to może się zdarzyć, że na ich podstawie będzie można przedstawić zupełnie inną historię życia Jezusa Chrystusa niż ta, którą znamy z ewangelii!

* Wtedy dopiero zrobi się zamieszanie * powiedział Skarphedin, zerkając w stronę kuchni w oczekiwaniu na nową potrawę.

* To na pewno * potwierdził Fredric spokojnie. * Nie wspominając o chrześcijańskich fundamentalistach, zapewne także w samym kościele są potężne siły, które mogą okazać się gotowe na wszystko, byle tylko nie dopuścić, żeby tego rodzaju odkrycia dostały się w ręce obiektywnych badaczy.

* I tak dochodzimy do sprawy zabójstwa * powiedział Skarphedin, kiwając głową.

Fredric nie odpowiedział; dał znak ręką jednemu z kelnerów i po chwili postawiono przed nimi dwa duże białe talerze.

* To jest drugie rozwiązanie * powiedział Fredric. * Silne, prawdopodobnie fanatyczne grupy chrześcijan, wspierane odgórnie, będą wszelkimi sposobami starały się nie dopuścić, by wiedza o tym, co znaleziono w grotach, została upowszechniona, ponieważ mogłaby ona zaszkodzić, jeśli nie obalić tak zwane oczywiste dogmaty chrześcijaństwa.

* Chcesz powiedzieć, że Gartlandowie, którzy na co dzień pracowali jako informatycy w Haugesund, i inżynier Michael Melling, ekspert ds. krajów rozwijających się, specjalizujący się w systemach nawadniania, znali zawartość znalezionych na zamkniętym terenie nieznanych rękopisów, których treść mogłaby zagrozić chrześcijaństwu, i dlatego zostali pozbawieni życia?! Świetnie, Fredricu * roześmiał się Skarphedin.

* Jak już mówiłem wcześniej, może też istnieć jakieś prostsze wytłumaczenie. Pamiętaj, że nadal nie wiemy, kim jest ów Aron Rhymfaxe.

Skarphedin przez chwilę przyglądał się Fredricowi.

* To prawda, tego nadal nie wiemy * powiedział w końcu.

* Omawiając ewentualne motywy, musimy pamiętać o tym, co ustaliliśmy na samym początku, mianowicie, że nasza wiedza o świecie, jego historii, o prawach natury i religii za kilkaset lat zapewne będzie wyglądała zupełnie inaczej; a także o tym, że nad głową twojego szefa Arthura Kronała toczą walkę jakieś potężne siły.

Skarphedin nie odpowiadał.

Wpatrywał się w swoje odbicie w wiszącym za barem lustrze.

Po chwili pokiwał głową zamyślony.

Uniósł brwi.

Spojrzał na biały talerz przed sobą.

Fredric Drum uśmiechnął się.

* Zaraz dostaniesz * powiedział.

* Co? * zdziwił się Skarphedin.

* Danie, na które czekasz.

Detektyw zaczął mamrotać coś niewyraźnie, wziął butelkę i nalał wina do kieliszków: powąchał, spróbował, długo trzymał łyk w ustach, w końcu pokiwał głową z uznaniem; po chwili na stole pojawiło się jedzenie: pięknie podana pieczona pierś gęsi z groszkiem, jasnym sosem i puree z ziemniaków z dodatkiem odrobiny musztardy z sherry i trufli; do tego półmisek z kromkami świeżo upieczonego toskańskiego chleba, masło i miseczka z oliwą z oliwek. Skarphedin uśmiechnął się do swojego siostrzeńca, który odwzajemnił jego uśmiech; minęła właśnie dziewiąta, mieli przed sobą jeszcze niemal cały wieczór; zaczęli jeść w milczeniu, na twarzy Skarphedina malowała się rozkosz; podczas posiłku kilka razy kiwał głową z uznaniem i zerkając na Fredrica, unosił kieliszek z winem; kiedy na talerzu już nic nie zostało, Skarphedin zrobił coś, co wszyscy szefowie kuchni niezwykle sobie cenią: mianowicie wylizał talerz do czysta.

* Fredricu, to było rzeczywiście wspaniałe!

* Dziękuję * odpowiedział skromnie siostrzeniec.

* Sos: była w nim śmietana, pomarańcza i...

* Likier pomarańczowy i odrobina wyciągu z jagód jałowca.

* Właśnie! * Skarphedin podniósł do góry kciuk. * To właśnie zadecydowało o ostatecznym smaku, niezwykle udane zestawienie.

* Ciekaw byłem, czy będzie ci smakować.

Siedzieli, popijając czerwone wino; Skarphedin wytarł kilka razy usta serwetką; czuł, że w pełni odzyskał jasność widzenia i znów mógł się skupić na słuchaniu tego, co Fredric miał do powiedzenia.

* A co z trzecim rozwiązaniem, mój drogi? * spytał, sadowiąc się wygodnie na krześle i przymykając powieki.

* To ostatnie z możliwych * zaczął Fredric * i pewnie najłatwiejsze do zrozumienia.

Rozmawialiśmy o archeologicznych wykopaliskach, różnych znaleziskach, skarbach z przeszłości wykopanych z ziemi. Dwie pierwsze próby znalezienia jakiegoś wytłumaczenia dla popełnionych zbrodni mają raczej charakter duchowy, czy może należałoby powiedzieć, że reprezentują bardziej teoretycznonaukowe podejście.

* Zauważyłem to * powiedział detektyw.

* Więc teraz skupmy się na czymś bardziej konkretnym * ciągnął Fredric. * Skarby ukryte w ziemi. To zawsze fascynowało i kusilo ludzi, wystarczy wymienić płądrowanie grobów w starożytnym Egipcie za czasów faraonów czy znacznie późniejszą historię skarbu z Turmbad w Austrii. Tylko w dziedzinie egiptologii w ciągu ostatnich stu lat popełniono co najmniej dwanaście potwierdzonych morderstw. Odkryte przez archeologów skarby dawnych kultur mają często wielką wartość. Część z nich pada łupem złodziei, część trafia na czarny rynek;

doskonale wiemy, że istnieją bogaci kolekcjonerzy, Liebhabere, skłonni zapłacić każdą sumę za piękne starożytne dzieła sztuki. Bardzo, naprawdę bardzo wiele rzeczy trafia na czarny rynek, wystarczy przyrzeć się aukcjom Sotheby w Anglii * powiedział Fredric i zrobił krótką przerwę.

* Rozmawiałem o tym ze Stephenem Pratem * powiedział. * Stephen twierdzi, że Izrael to świetne miejsce, jeśli ktoś chce w nielegalny sposób wejść w posiadanie starożytnych dzieł sztuki. Wynika to między innymi z tego, że bardzo dokładnie kontroluje się tam lotniska i przejścia graniczne, ale służby szukają głównie bomb i terrorystów; inne rzeczy mają mniejsze znaczenie.

* Więc uważasz * przerwał mu Skarphedin * że wywiezienie antycznej wazy czy dzbana z Izraela nie jest wcale trudne?

* Niestety, jest to dość proste. Możesz mieć walizkę pełną antycznych skarbów, a nikt niczego nie zauważy.

* Ciężka sprawa * skomentował Skarphedin, bębniąc palcami w blat stołu.

* W fachowej prasie archeologicznej dużo o tym w ostatnim czasie pisano * ciągnął dalej Fredric. * W Izraelu kwitnie nielegalny handel antykami, ostatnio to zjawisko przybrało nawet na sile, co także ma związek z nowymi, bardzo ważnymi odkryciami właśnie w rejonie Aszkelonu.

* W tym przypadku mamy przynajmniej wyraźny motyw * powiedział Skarphedin właściwie sam do siebie. * Małżeństwo Gartlandów, Melling i być może także inni z sekty „Celsusa” mogą być w coś zamieszani. Dlaczego Gartlandowie tak długo przebywali nad Morzem Martwym? Dlaczego zdecydowali się wyjechać i zostawić synka? Tu chodzi o duże pieniądze, prawda?

* Owszem * potwierdził Fredric i rozłożył ręce. * O bardzo duże pieniądze.

* Josva Corbin i Ebezer Goldman. Obaj mają izraelskie korzenie. Mogą tam mieć różne kontakty.

Fredric Drum nie odpowiedział.

Pozwolił Skarphedinowi myśleć w spokoju.

Detektyw zmarszczył czoło.

* Tylko co, do licha, ma znaczyć ta maskarada w mieszkaniu Rhymfaxe: alchemia, zeszyty zapisane szyfrem i ukryte w nich numery rejestracyjne samochodów...

Fredric nadal milczał.

* Do licha, muszę się napić. Poproś o jeszcze jeden kieliszek jałowcówki.

Fredric sam podszedł do baru i nalał wujowi jeszcze jeden kieliszek.

* Drogi Fredricu * zaczął Skarphedin, mrużąc oczy. * Wszystkie trzy przedstawione przez ciebie rozwiązania są mi znane; ja też

o tym myślałem. I to nawet sporo. Jesteś znakomitym mówcą i masz dar przekonywania, podajesz szczegóły, które czynią wymienione przez ciebie motywy wielce prawdopodobnymi, tym niemniej nadal wiele pozostaje niewyjaśnionych.

* To prawda * przytaknął Fredric. * Ale sprawa wcale nie musi być tak skomplikowana, na jaką wygląda.

* Nie? Jak więc wytłumaczysz zachowanie Arona Rhymfaxe? Czemu wylał krew z banku krwi na podłogę własnego mieszkania?

i złoto; siedemdziesiąt pięć gramów jest sporo warte! * powiedział Skarphedin zły.

* Gdyby nie to, sprawa zapewne nigdy nie trafiłaby w twoje ręce * odpowiedział Fredric spokojnie. * Nie wiem, czy wiesz, ale w pewnych kręgach jesteś dość dobrze znany.

* Naprawdę? * spytał Skarphedin, otwierając szeroko oczy.

* Tak * potwierdził Fredric, wstając od stołu.

Peder Ungbeldt siedział w pokoju we własnym mieszkaniu; żona z dziećmi wyjechała do szwagra, do Toten, siedział więc i trzymał w ręku telefon komórkowy, nie własny, tylko Michaela Mellinga; na podłodze dookoła niego rozłożone były billingi z ostatnich dwóch tygodni; dostarczono mu je jakąś godzinę temu.

Zawierały wiele numerów telefonów.

Śledczy otarł czoło.

Wydzwanianie do różnych ludzi zmęczyło go.

Rozmawiał z co najmniej trzydziestoma osobami, chcąc dowiedzieć się czegoś istotnego o Mellingu; jego rozmówcy byli różni, głównie mężczyźni; nikt nie wiedział, gdzie Melling obecnie się znajduje, nikomu też chyba go specjalnie nie brakowało, co on miał im mówić? Jak najmniej, bo przecież nie mógł zdradzić, co się przytrafiło Mellingowi.

Przedstawiał się jako śledczy Centrali Policji Kryminalnej, tłumaczył jednak, że chodzi o sprawę służbową; żaden z jego rozmówców specjalnie się nie zdziwił, żaden go nie zbył; nudne rutynowe zajęcie, pomyślał Ungbeldt, lista telefonów, które jeszcze musiał wykonać, była długa, zawierała numery telefonów do biur, instytucji publicznych, ministerstw. Nie spodziewał się otrzymać jakichś istotnych informacji; równie dobrze może zaczekać do poniedziałku, tym bardziej że była sobota wieczór, dochodziło wpół do jedenastej; śledczy ziewnął i przeciągnął się, sięgnął po w połowie opróżnioną butelkę piwa, która stała na stole pomiędzy papierami, wypił piwo jednym haustem; kilka razy w ciągu wieczoru rozmawiał z Jonsonem, ale jemu też nie udało się zdobyć informacji ani o Sa*rze Bronken, ani o sekcie „Celsus”; Ungbeldt przetarł oczy i znów zaczął się przyglądać papierom.

Zwrócił uwagę na jeden z numerów.

Telefon z zagranicy; powtarzał się czterokrotnie.

Pierwsza rozmowa miała miejsce w czwartek, nieco ponad tydzień temu.

Trwała dwanaście minut.

Z tego samego numeru dzwoniło też we wtorek, w środę i czwartek w tym tygodniu, oczywiście nikt nie odbierał, bo wówczas Melling już nie żył.

Tego numeru nie zdążył jeszcze sprawdzić.

Otworzył kolejną butelkę piwa i zadzwonił do informacji telefonicznej, gdzie dowiedział się, że numer, z którego dzwoniło do Michaela Mellinga w poprzedni czwartek, a potem jeszcze kilka razy, należał do hotelu „Bahr Lut Occident Star”.

Morze Martwe.

Zbliżała się jedenasta; Fredric był w kuchni, w lokalu zostało zaledwie paru gości, którzy zresztą zbierali się już do wyjścia; Skarphe*din Olsen siedział z filiżanką świeżo zaparzonej kawy i kieliszkiem armaniaku; cały posiłek był wyborny, powiedział to już siostrzeńcowi; myślał o tym, co usłyszał, o przedstawionych przez Fredrica trzech możliwych rozwiązaniach; dyskutowali o tym, roztrząsali różne możliwości, jednak nadal brakowało mu czegoś konkretnego, czegoś, czego mógłby się uchwycić; gnębiło go to; czuł, że zaczyna go boleć głowa, powinien wrócić do domu, położyć się do łóżka; wypił resztkę kawy, opróżnił kieliszek, wziął do ust kostkę brunatnego cukru, podszedł do wieszaka, sięgnął po płaszcz i właśnie w tej chwili usłyszał dzwonek telefonu komórkowego. Odchrząknął i powiedział:

* Olsen, słucham? Dzwonił Peder Ungbeldt. Skarphedin słuchał go uważnie.

* Naprawdę? Możemy się domyślić, kto stamtąd do niego dzwonił.

* Właśnie, ja też tak myślę.

* Co ty mówisz? Trzy rozmowy, także w tym tygodniu? Przecież Gartlandowie wrócili... * zaczął i nagle przerwał.

Stał, trzymając w ręku telefon komórkowy, mimo że skończył już rozmowę; nagle drgnął, bo telefon znów zadzwonił.

* Słucham, co tym razem? * spytał ostro. Tym razem jednak dzwonił Jon Furhelle. Wciąż jeszcze siedział przed komputerem.

* Co ty mówisz?

* Do licha...

Skarphedin rozmawiał jeszcze dobrą minutę, po czym zakończył rozmowę. Fredric wyszedł z kuchni i na widok miny wuja sięgnął po jego kieliszek, podszedł do baru i nalał mu jeszcze trochę arna*niaku; wrócił na miejsce i usiadł przy stole.

* Niech to licha, wygląda na to, że ta Bronken żyje * powiedział, chłonąc zapach alkoholu.

* Naprawdę? * spytał Fredric z zaciekawieniem.

* Najpierw zadzwonił Peder Ungbeldt * zaczął opowiadać Skarphedin. * Podobno do Michaela Mellinga dzwoniło z Izraela, z hotelu nad Morzem Martwym, w ubiegły czwartek. Na pewno dzwonili Gartlandowie, którzy, zdaje się, wyjechali stamtąd następnego dnia.

* Tak?

* To znaczy, że Gartlandowie i Melling kontaktowali się ze sobą,

* To ważna informacja * przyznał Fredric.

* Słuchaj dalej * powiedział Skarphedin, biorąc do ręki kieliszek. * Z tego samego hotelu dzwoniło do niego jeszcze trzy razy, już po powrocie Gartlandów. I posłuchaj: Sara Bronken miała wykupiony bilet na lot do Tel Awiwu, rejs Lufthansa w poniedziałek po południu, o 15.15!

* Więc chyba to ona dzwoniła. Pewnie nadal jest w Izraelu * powiedział zamyślony Fredric.

* Właśnie. Bez swoich pigułek antykoncepcyjnych! * dodał Skarphedin z błyskiem w oku.

* O czym myślisz, wuju? * dopytywał się siostrzeniec.

* O tym, że chyba zaraz zadzwonię do policyjnego operatora i poproszę o kupienie mi biletu na najbliższy lot do Izraela!

Spotkanie policji w duchu chrześcijańskim, Oslo

Spotykamy się w sali numer 314, w najbliższy czwartek o godzinie 18.00. Temat spotkania: Chrześcijaństwo i nauka: „Co Bóg mówił o Stworzeniu i o Życiu?”.

Weźcie ze sobą śpiewnik! Będziemy śpiewać i modlić się za naszych misjonarzy.

(Ogłoszenie w „Politforum”, wewnętrznym organie policji w Oslo, 14.06.1997.)

11

Detektyw przybywa na plac targowy, Ungbeldt otrzymuje informacje o przeprowadzce, pieje kogut, a Olsen wspina się po wapiennej skale

Skarphedin Olsen otarł pot z czoła i zaklął siarczyście; był sam, siedział na przydrożnym kamieniu i czuł, jak słońce pali mu skórę; jego ciało aż parowało: po co, do licha, przyjechał tu w płaszczu?! pomyślał; natychmiast go zdjął i schował do brązowej torby podróżnej; następnie podwinął rękawy, kolejny raz zaklął i spojrzał na zakurzoną drogę prowadzącą w dół zbocza; trzy, cztery kilometry, powiedział kierowca taksówki; gdzieś z tyłu dochodził go warkot buldożera; nie podobało mu się to, nie podobał mu się ten kraj, ale skoro już tu przyjechał, to musi doprowadzić swoje zadanie do końca. Napił się wody z butelki, którą trzymał w ręku; zbliżała się szósta po południu, była niedziela; do tej pory podróż przebiegała właściwie bez większych problemów; detektyw podjął decyzję późnym wieczorem, potem sprawy potoczyły się niemal błyskawicznie: podziękował Fredricowi za miły wieczór i udał się spacerem do Skoyen, otworzył karton soku pomidorowego, napił się i zadzwonił do Arthura Krondala.

* Jadę jutro do Izraela * powiedział. Krondal jakby się zawahał.

* Do Izraela? * spytał.

* Jest parę rzeczy, które należałoby wyjaśnić.

* Domyślam się * odpowiedział szef KRIPOS.

Skarphedin przedstawił pokrótce swoje zamiary; Krondal obiecał, że podrzuci mu telefon komórkowy, którego będzie mógł używać także za granicą, a konkretnie w Izraelu, chciał bowiem, żeby pozostawali w kontakcie; Skarphedin podziękował, następnie porozumiał się z Ungbeldtem; przekazał mu kierowanie dochodzeniem podczas jego nieobecności. Już wcześniej poprosił o załatwienie biletu na lot w niedzielę o 10.30, z lotniska Gardemoen, i wczesnym

popołudniem wylądował w Tel Awiwie; chwilę konferował z nagabującymi go taksówkarzami, decydując się w końcu na właściciela stosunkowo nowego opla; był to Palestyńczyk, nazywał się Ofram i mówił stosunkowo zrozumiałą angielszczyzną; Morze Martwe, przez Jerozolimę i Jerycho; kierowca przytaknął, znał hotel „Bahr Lut Occident Star”, zapewnił Skarphedina, że podróż zajmie im góra trzy godziny; Skarphedin właściwie cały czas milczał; wykonał tylko kilka telefonów do swoich najbliższych współpracowników, informując ich o sprawie; kiedy zbliżali się do Morza Martwego, nagle okazało się, że dalsza podróż jest niemożliwa; musieli się zatrzymać.

Osunęła się ziemia.

Droga została zamknięta.

Buldożer miał oczyścić szosę.

Zajmie mu to kilka godzin.

Skarphedin zdenerwowany, spocony, z gardłem pełnym kurzu, wysiadł z samochodu, ruszył drogą zasypaną piaskiem, spojrzał w dół, widać było Morze Martwe? nie, Ofram powiedział, że ma przed sobą kilka kilometrów drogi i wyposażył go w butelkę wody; detektyw siedział na kamieniu i rozglądał się dookoła; potrzebuje kilka minut na aklimatyzację, tłumaczył sam sobie. Droga do hotelu prowadziła w dół, nie powinna mu zająć więcej niż pół godziny? co spodziewał się tam znaleźć? nie miał pojęcia; może jechał nadaremnie? niewykluczone, ale przecież była niedziela, miał wolne, zaśmiał się; księga hotelowych gości, tak, musi ją dokładnie przejrzeć i dowiedzieć się, dokąd goście ostatnio dzwonili; czy w ciągu ostatnich dwóch tygodni były jakieś rozmowy z Norwegią? tego też się dowie, zawsze to coś. Podniósł się, znów otarł pot z czoła, chwycił swoją torbę i zaczął iść; droga była kręta, za każdym kolejnym zakrętem spodziewał się zobaczyć Morze Martwe; słońce zaczęło już zachodzić, zrobiło się nieco chłodniej; nieciekawa okolica: piasek, żwir, gołe skały, dlaczego ludzie tu żyją? nawet ryb tu nie ma, pomyślał Skarphedin, czując, że zaczyna robić się głodny; miał nadzieję, że w hotelu będzie jakieś jedzenie. Znów zaczął się rozglądać; wśród skał widać było ślady zwierząt: kóz? wielbłądów? kusilo go, żeby zboczyć z drogi, może odkryje jakąś grotę wśród skał? to wcale nie jest takie nieprawdopodobne, pomyślał i zatrzymał się na chwilę, postawił na ziemi torbę, kopnął jakiś kamień, który zaczął się toczyć w dół; ponownie chwycił torbę i już miał ruszać, kiedy usłyszał za sobą głosy; odwrócił się i zobaczył dwóch mężczyzn prowadzących osła; mężczyźni mieli chusty na głowach, każdy trzymał w ręku kij; na widok Skarphedina rozmowa się urwała, ruszyli powoli w jego stronę; detektyw stał, trzymając w ręku torbę; mężczyźni podeszli bliżej, uśmiechnęli się.

Skarphedin odwzajemnił ich uśmiech.

* AFkala ish enh'is al istha muhin? * spytał jeden z nich.

* Tak, właśnie * potwierdził Skarphedin, nic nie rozumiejąc.

* Ehr'phal insh uklahim? * spytał drugi.

* Możliwe.

* Thilim, mushit * powiedział Arab, wskazując głową na osła.

* Tak, piękne zwierzę * odpowiedział Skarphedin, zamierzając ruszyć dalej.

* Usthit, a'khala? * spyтали mężczyźni, nadal wskazując na osła.

Skarphedin szedł dalej, i wtedy wydarzyło się coś nieoczekiwanego: jeden z mężczyzn stanął przed nim i pchnął go w stronę osła; zanim Skarphedin zorientował się, co się dzieje, wylądował na grzbiecie niepozornego zwierzęcia, które wydało z siebie przeraźliwy ryk,

pokazując rząd brązowych zębów; po chwili na grzbiecie osła znalazła się też torba Skarphedina; zwierzę wydało kolejny ryk, ale jednak zaczęło iść; mężczyźni roześmiali się, warga Skarphedina lekko drgnęła, co można było uznać za nieśmiały uśmiech; zaczęli schodzić ze zbocza: Skarphedin jechał na osle, obok niego szło dwóch Palestyńczyków, niemal zataczając się ze śmiechu, nagle droga skręciła i wtedy zobaczył:

Morze Martwe.

Leżało kilkaset metrów w dole.

Jasnoniebieska tafla wody była nieruchoma, bez ani jednej fałdki.

Brzeg był pokryty białymi taflami, jakby lodu.

Sól, domyślił się Skarphedin.

W dole, na brzegu dostrzegł większy budynek otoczony zielenią:

hotel; droga właśnie do niego prowadziła, wcześniej musieli jednak minąć niewielką wioskę; co zrobić, żeby zwierzę się zatrzymało? zastanawiał się Skarphedin; jak ma zejść? gestami próbował dać Palestyńczykom do zrozumienia, że dalej chce już iść pieszo, oni jednak udawali, że go nie słyszą, wręcz zaczęli popędzać osła, który ruszył teraz truchtem w stronę domów i czegoś, co przypominało rynek czy plac targowy. Skarphedin trząsał się na oślim grzbiecie, czuł, jak żółć podchodzi mu do gardła; nagle poczuł zapach jedzenia, woń smażonego mięsa? oliwy i jeszcze czegoś słodkiego; zebrani na placu ludzie zaczęli się przyglądać obcemu, który wjechał na rynek na osle, ustępowali mu miejsca, a on rozglądał się dookoła: większość miała rozłożone swoje chusty bezpośrednio na ziemi; część ludzi chwyciła palmowe gałęzie i zaczęła rzucać je przed nim, wołając: Hosanna! Błogosławiony ten, który przybywa z Oslo i niesie pokój naszemu ludowi, Hosanna! Oto nadjeżdża zbawiciel na osle! Widzicie Go, córki Syjonu?! Błogosławiony niech będzie ten, który przybywa do nas z Oslo! Skarphedin potrząsnął energicznie głową, zwierzę nareszcie się zatrzymało; natychmiast podbiegła do niego gromadka brudnych dzieci; Skarphedin chwycił swoją torbę; Palestyńczycy patrzyli na niego wyczekująco; detektyw skinął głową, wyciągnął z kieszeni dziesięć dolarów i dał mężczyznom, ci zaś skłonili się grzecznie i ruszyli przez zwarty tłum ludzi, którzy stali, wyciągając do nich ręce. Skarphedin w końcu znalazł się na skraju placu targowego, przed nim był hotel; otrzepał spodnie i koszulę z kurzu i ruszył do wejścia, na dachu budynku widniał napis: „Bahr Lut Occident Star”, na zewnątrz stało kilka samochodów i niewielki autokar turystyczny. Skarphedin znów otarł pot; słońce już zaszło, nadal jednak było dość ciepło; wszedł do środka i poczuł przyjemny chłód; ruszył do recepcji, podał paszport i potwierdzenie rezerwacji, i wkrótce stał już przed pokojem numer trzysta sześć, otworzył drzwi, wszedł i rzucił torbę na łóżko.

Peder Ungbeldt wszedł przez bramę na podwórze domu przy Saxegaardsgata 1; zatrzymał się przed klatką; całe przedpołudnie

i dużą część popołudnia spędził nad billingami rozmów Mellinga, ale niewiele z tego wynikło; zbliżała się siódma, kiedy nagle przyszedł mu do głowy pewien pomysł; postanowił jeszcze raz złożyć wizytę sąsiadom Rhymfaxe; przede wszystkim chciał dowiedzieć się czegoś bliższego o Corbinie, który miał zostać przesłuchany, jak tylko wróci z Izraela; może usłyszy coś nowego; wszedł po schodach i stanął przed jednym z mieszkań na pierwszym piętrze.

Dziwne.

Tabliczka z nazwiskiem została usunięta, niedawno.

Wisiała tu jeszcze kilka dni temu; było na niej napisane: Isak Windjarn.

Zadzwoił.

Żadnej odpowiedzi, nic.

Ungbeldt rozmawiał z Windjarnem dwa razy, zawsze siedząc na ławce na podwórku; mężczyzna wydał mu się sympatyczny, był uprzejmy, odpowiadał na pytania; nigdy nie był u

niego w mieszkaniu. Odkaslnął i odwrócił się do drugich drzwi, mieszkała tu rodzina Rhasoon, zza drzwi dochodziły głosy; zadzwonił, po chwili otworzył mu mężczyzna, pan Rhasoon, pamiętał go; Ungbeldt uśmiechnął się, skinął głową i wyciągnął legitymację.

* Pana sąsiad się wyprowadził?

* Tak, wczoraj. Miał dużo rzeczy, duża przeprowadzka * powiedział Rhasoon, wychodząc na klatkę; w mieszkaniu dzieci darły się jak opętane.

* Ach tak * zdziwił się Ungbeldt. * Wie pan, dokąd się wyprowadzili?

* Nie mam pojęcia * wzruszył ramionami Pakistańczyk. * Nigdy z nim nie rozmawiałem.

Ungbeldt stał i rozmawiał z Rhasoonem: tak, przyjechał duży wóz meblowy; dwóch mężczyzn wynosiło meble, kilka razy obracali; jaki to był wóz? dopytywał Ungbeldt, może miał wypisaną nazwę firmy? Rhasoon miał wrażenie, że to była toyota, niebieska, żadnej nazwy firmy nie zauważył; pracowników było dwóch, młodzi chłopcy; śledczy nadal wypytywał, a sympatyczny Pakistańczyk odpowiadał tak szczegółowo, jak potrafił; siedział na podwórku, rozmawiał

ze szwagrem, wszystko widział; Ungbeldt poprosił, żeby spróbował przypomnieć sobie, co wynoszono z mieszkania: łóżko, krzesła, stół, kartony, lustro, szafę...

* Co w tym czasie robił Windjam? * spytał Ungbeldt.

* Jego tu w ogóle nie było * odpowiedział Rhasoon.

* Ach tak. * Ungbeldt zmarszczył czoło.

* Jeszcze tylko jedno pytanie. Proszę dobrze się zastanowić: zauważył pan coś niezwykłego, może coś zwróciło pańską uwagę, nie zapamiętał pan niczego szczególnego?

Pakistańczyk podrapał się w głowę.

* Owszem, zdziwiłem się, kiedy zobaczyłem wózek inwalidzki. Przypominał ten, na którym jeździł ten drugi starszy pan.

* Wózek inwalidzki na kółkach? * spytał zaskoczony Ungbeldt.

* Tak, wózek na kółkach * pokiwał głową Rhasoon.

* Bardzo panu dziękuję * odpowiedział śledczy.

Wszedł piętro wyżej i zadzwonił do drzwi Moniki Waal, samotnej matki.

Skarphedin Olsen zaciągnął zasłony i wyszedł na balkon; zapadł już zmrok, ale wybrzeże było widoczne, podobnie jak morze, w którym nie ma ani jednej ryby, mruknął niezadowolony, nadal było ciepło. Wszedł do pokoju, zamknął drzwi balkonowe, wciągnął powietrze, pachniało kamforą i cynamonem; spojrzął na zegarek, zbliżała się ósma; zamierzał wziąć ciepłą kąpiel, a potem coś zjeść; książka gości mogła poczekać; w holu przy recepcji nie było żywej duszy, czyżby to nie był sezon? zastanawiał się detektyw, nie miał pojęcia; na pewno jednak nie był tu jedynym gościem; miał niecałą dobę do dyspozycji, w poniedziałek po południu odlatywał z powrotem do Oslo; wszedł do łazienki, odkręcił kurek nad wanną. Wszedł do wanny pełnej wody.

Leżał w wodzie i drapał się po pępku.

Namydlił się.

Pogwizdywał głośno, fałszując.

Dziwne, zaledwie kilka godzin temu siedział z Fredrikiem

w „Kasserollen”, a teraz był tysiące kilometrów od Oslo; szybko się przemieszczamy, pomyślał, ulegając filozoficznemu nastrojowi, odprężył się. W ciągu kilku godzin można było dolecieć z Oslo do Tel Awiwu, a co w tym czasie działo się z kulą ziemską? pokonywała miliony kilometrów na drodze wokół słońca; nasz system słoneczny też pędził swoją galaktyką! a on, Skarphedin, w tym wszystkim uczestniczył; wycierając się, zaczął się zastanawiać, w ilu i jakich okrążeniach brał udział: poruszała się sama galaktyka ze swoimi miliardami słońc, także teraz, właśnie w tej chwili, był częścią kosmicznej całości, może zbliżał się do prędkości światła? to nie było wykluczone; nic dziwnego, że czuł lekki zawrót

głowy, chociaż to zapewne miało inne przyczyny: żołądek domagał się jedzenia; ubrał się w ciemny T*shirt i nieco pogniecioną jasną bluzę od dresu, zamknął pokój i zszedł do recepcji, gdzie się dowiedział, że najlepsza restauracja hotelowa jest w ogrodzie, pod palmami.

Wyszedł na duży taras.

Było już całkowicie ciemno.

Pod kolorowymi latarniami stały stoliki i krzesła.

Dwuosobowa orkiestra grała cicho.

Doszedł go zapach mięsa z grilla.

Przy stolikach siedzieli ludzie.

Detektyw zszedł ze schodów, minął fontannę i skierował się w stronę ubranego na ciemno mężczyzny stojącego przy wejściu do restauracji: kierownik sali? okazało się, że tak; wskazano mu stolik pod groźnie wyglądającą pomarańczową latarnią przedstawiającą głowę smoka? ani latarnia, ani światło, jakie dawała, nie przypadło mu do gustu; otrzymał kartę, jednak nie otworzył jej, tylko siedział i słuchał. Muzyka na chwilę zamilkła, przy stoliku po jego prawej stronie siedziało sześcioro starszych osób, Francuzów; natomiast tuż za nim, za jego plecami, siedziało dość młode małżeństwo; odwrócił się i zobaczył kobietę, trzydziesto*, może czterdziestoletnią; jakim językiem mówili? po norwesku? tak, mówili po norwe*sku! nie miał żadnych wątpliwości; poczuł niemiłe łaskotanie w żołądku, wyraźnie słyszał pojedyncze słowa, ale zaraz orkiestra znów zaczęła grać. Obok niego stanął kelner, uśmiechał się, Skarphedin

też się uśmiechnął, otworzył kartę, zaczął czytać, po chwili zamówił kilka dań; nie była to restauracja dla smakoszy, ale był tak głodny, że gotów był zjeść pół wielbłąda; zauważył, że podświadomie odchylił się do tyłu, próbując wychwycić coś z toczącej się za jego plecami rozmowy, jednak muzyka była zbyt głośna; był spięty, przekonany, że coś się wydarzy, czuł to. Na stoliku pojawiła się duża butelka wody i koszyk z pieczywem, wina jeszcze nie dostał; Skarphe*din odłamał kawałek chleba i zaczął jeść, po chwili doczekał się zamówionych potraw: najpierw przystawka: kawałki mięsa kozy marynowane w ziołowej zalewie z bazylii i pomarańczy, do tego małe pomidorki, groszek i sałata z orzeszkami pinii; potem bouillabaisse z czosnkiem i fenkułem; następnie grillowana ryba z oregano i musem z soczewicy oraz kwaśno*słodką kapusta z marynowanymi oliwkami; Skarphedin jadł, nie zastanawiając się specjalnie, co wkłada do ust; muzyka nadal grała, Francuzi przy stoliku obok głośno rozmawiali; podano mu deser: lodowe parfait z miodem, daktylami i imbirem; Skarphedin poczuł, że zaspokoił głód, stłumił beknięcie, wytarł usta serwetką; dyskretnie się odwrócił: para nadal siedziała przy stoliku za jego plecami, przed nimi stała butelka czerwonego wina, mężczyzna i kobieta cicho ze sobą rozmawiali. Skarphedin znów poczuł łaskotanie w żołądku: jak ma to rozegrać? był pewien, że słyszał norweski; a gdyby tak przeniósł się na drugą stronę stolika? wtedy miałby ich na oku; ostrożnie wstał i podniósł krzesło, zakasłał i uśmiechnął się nieco głupkowato do kelnera, który przyglądał mu się zdziwiony; zamówił kawę, próbował zachowywać się na luzie. Do restauracji wszedł mężczyzna, sześćdziesięcioletni? kobieta pomachała do niego ręką, mężczyzna zobaczył ją, podszedł i usiadł przy stoliku; Skarphedin zamknął oczy i zaczął się zastanawiać; właściwie zamiast tutaj siedzieć, powinien jak najszybciej iść do recepcji, wyciągnąć swoją legitymację i poprosić o książkę gości, tak robi, dał znak kelnerowi i poprosił o rachunek; nagle muzyka przestała grać; Francuzi wstali i wyszli, pod palmami zapanowała cisza.

Skarphedin zamknął oczy.

Teraz słyszał wyraźnie każde słowo.

* To niemożliwe * powiedziała kobieta.

* Jeszcze tylko cztery dni, słyszysz, co mówi Winston * tłumaczył jej młody mężczyzna.

* Yes, Sara, it is true. Patience * odezwał się po angielsku starszy pan.

Sara! Skarphedin czuł, jak krew uderza mu do głowy; nie miał już żadnych wątpliwości: kobieta siedząca przy stoliku naprzeciwko niego to Sara Bronken; czuł, jak spływa z niego całe napięcie, odprężył się; jednak podróż okazała się strzałem w dziesiątkę; uśmiechnął się, gestem ręki przywołał kelnera i poprosił o pół butelki Bordeaux, trochę za późno, przecież już zjadł, czuł jednak, że potrzebuje napić się wina; nadal siedział z przymkniętymi oczami, nasłuchiwał; rozmowa nie miała dla niego żadnego sensu, ale goście przy stoliku najwyraźniej na coś czekali, na kogoś? zaraz się dowie, nie musi się już nigdzie spieszyć; kim jest mężczyzna, który przed chwilą przybył, Anglikiem? zamówił coś do jedzenia i wino, towarzystwo rozmawiało po angielsku, młoda kobieta i mężczyzna z wyraźnym norweskim akcentem: kim są ci ludzie? tego też pewnie wkrótce się dowie, pomyślał i napił się wina, było zdecydowanie za ciepło.

* What could be left? * Głos młodszego mężczyzny.

* Possibly nothing. * Starszy mężczyzna wzruszył ramionami.

* You are sure about the fire? * Kobieta.

* Ofcourse. Elian Konow told me. * Znow starszy mężczyzna. * By the way, have you seen the man from Norway arriving?

* We have, yes * odpowiedział młodszy mężczyzna, patrząc prosto na Skarphedina. * He is sitting there, right in front of us, listening.

Skarphedin wzdrygnął się, cała trójka zwróciła na niego spojrzenie; detektyw odstawił kieliszek, nieco zbyt gwałtownie, trochę wina się rozlało; uniósł się na krzesło.

* Witamy, panie Olsen; reprezentuje pan Centralę Policji Kryminalnej z Oslo, prawda?

Zapraszamy do naszego stolika * powiedział młodszy mężczyzna; wstał i podszedł do Skarphedina.

* Kim pan... Co u licha... Co to znaczy? * wydukał wreszcie detektyw.

* Nazywam się Jack Bekk * powiedział mężczyzna, wyciągając do niego dłoń.

* Ach... tak...

Skarphedin próbował dojść do siebie, nie bardzo mu to jednak wychodziło; ujął dłoń Bekka, uśmiechając się niepewnie; podszedł do stolika, przywitał się z Sarą Bronken, Jackiem Bekkiem i z Anglikiem, który nazywał się Winston Abe Prescott, był profesorem archeologii i pracował w Muzeum Rockefellera w Jerozolimie; Skarphedin był całkowicie zaskoczony obrotem sprawy, na dodatek było wyjątkowo ciepło i wilgotno, powietrze jakby stało, przyglądał się nieznanym, nikt z nich nie wydawał się szczególnie zdziwiony; więc jednak są na tym świecie sprawy, o których on najwyraźniej w ogóle nie ma pojęcia, pomyślał, coś podobnego; odchrząknął i napił się wina; kto powinien zacząć rozmowę? ludzie przy stoliku byli poważni, spotkanie nie zapowiadało się na rozrywkowe; zaczął bębnić palcami w stół, zerkając jednocześnie na Bekka.

* No cóż * odezwał się w końcu. * Tak więc spotkaliśmy się. Okazuje się, że doktor Bekk wcale nie jest na seminarium w Stanach. Rozumiem, że jestem tu oczekiwany, czy ktoś z państwa może mi powiedzieć, jak to możliwe, zanim zadam swoje dwa tysiące pięćset pytań?

* To w zasadzie bez znaczenia * powiedział Bekk, uśmiechając się niepewnie. * Prawdę mówiąc, sam nie wiem, kto przekazał nam informację. W recepcji była kartka adresowana do Sary Bronken. Masz ją może przy sobie, Saro?

* Kartka? * powtórzył Skarphedin.

Na stoliku pojawiła się kartka, najwyraźniej napisana przez pracownika recepcji, ktoś pewnie przekazał wiadomość telefonicznie; Skarphedin przyglądał się jej nieufnie, czytał: „Pan Olsen z KRI*POS przybędzie dzisiaj po południu. Skontaktuje się z wami. Możecie przekazać mu wszelkie informacje”.

* Dobrze się zaczyna * powiedział Skarphedin. * Jakaś kartka, nie wiadomo od kogo, a może jednak wiadomo? O co tu, do licha, chodzi?

* Czy to jest pierwsze z pana licznych pytań? * spytał Bekk.

Skarphedin milczał. Położył dłonie na stole.

* No dobrze * powiedział wreszcie. * Zaczniemy od początku. Sprawa dotyczy zabójstwa czterech osób, łącznie z synkiem Gartlandów; rozumiem, że ostatnie wydarzenia nie są dla nikogo tajemnicą, także sposób, w jaki zginął Michael Melling? Może było więcej podobnych tajemniczych „karteczek”?

Sara Bronken i Bekk przytaknęli.

* Bardzo nas poruszyła śmierć Gartlandów i Mellinga * powiedział Bekk cicho. * Nikt z nas nie spodziewał się czegoś tak strasznego.

Skarphedin bawił się kieliszkiem.

* Możecie mi przekazać wszystkie informacje, tak tu jest napisane * powiedział, kładąc dłoń na kartce. * Odłożę na razie na bok swoje pytania, jeśli będzie potrzeba, wrócimy do nich później. Poproszę natomiast, żebyście mi dokładnie powiedzieli, co wiecie o całej sprawie, a przede wszystkim kim jesteście, dlaczego się tu znajdujecie i kto stoi za zabójstwami w Oslo? W ten sposób zyskam też odpowiedź na część moich pytań, rozumiesz po norwesku, człowieku? * zwrócił się nieco obcesowo do Anglika, który najwyraźniej śledził całą rozmowę.

* Rozumiem, trochę * powiedział.

* Propozycja wydaje się rozsądna * uznał Bekk. * Możesz zacząć, Saro?

Młoda kobieta bawiła się kieliszkiem; była urocza, Skarphedin od razu to zauważył; miała wyraźne rysy twarzy, brązowe oczy i długie ciemne włosy, była szczupłą; zerknęła na starszego Anglika, który ledwie zauważalnie skinął głową.

* W moim przypadku wszystko zaczęło się kilka lat temu; nagle, całkiem niespodziewanie moje życie się odmieniło * zaczęła Sara. * Podczas studiów przez jakiś czas pracowałam jako wolny strzelec dla „Aftenposten”. Nagle zachorował mój dziadek, wezwano mnie do niego. Powiedział mi wtedy coś, co w pierwszej chwili uznałam za starcze majaki; dopiero po jakimś czasie zrozumiałam wagę jego słów. Poprosił, żebym skontaktowała się z pewną osobą w Haugesund, co zrobiłam. Spotkałam się z sympatycznym starszym panem, od którego się dowiedziałam, że mój dziadek przez całe życie nosił w sobie tajemnicę, którą pragnął mi przekazać, uznawszy, że jestem jedyną osobą w rodzinie, która posiada odpowiednie ku temu wykształcenie. Po spotkaniu ze starszym panem napisałam krótką notatkę do „Aftenposten”.

* Simon Kateter * rzucił Skarphedin.

* Nigdy potem już go nie spotkałam * powiedziała Sara. * Podał mi jednak nazwiska osób, z którymi miałam się skontaktować; okazało się, że o tej tajemnicy wie jeszcze pięć osób w Norwegii. Nadal jednak nie znałam jej szczegółów. Ponieważ jestem ciekawa z natury, postanowiłam dążyć sprawę dalej. W ten sposób poznałam Jacka, a także Davida i Evę Gartlandów. W końcu wtajemniczono mnie w sprawę, ale i tak musiało minąć sporo czasu, zanim dotarła do mnie powaga sytuacji.

* Tajemnicza sekta „Celsus”, wiedza tajemna * wtrącił Skarphedin nieco ironicznie.

* Proponuję, żebyś kontynuował * zwróciła się Sara do Bekka, najwyraźniej lekko dotknięta.

* Olsen * zaczął Bekk spokojnie. * Wiem, że jest pan inteligentnym człowiekiem. Dlatego też to pan, a nie ktoś inny, siedzi tu teraz z nami. Nie mam pojęcia, kto pana do tego wciągnął, rozumiem jednak, że stało się to, zanim doszło do pierwszego zabójstwa w Oslo.

* Zgadza się * potwierdził Olsen. * Chętnie też zdradzę więcej szczegółów, żebyście pojęli, w jak potężnej sieci zła się znaleźliście. Tajemnicze karteczki to drobiazg!

Skarphedin opowiedział zwięźle, acz dokładnie o tym, co się stało w pewnym mieszkaniu na Starym Mieście w Oslo: o złotym pyłe, banku krwi i kryptotekstach, alchemicznym bełkocie z podrzuconych tam zeszytów.

* A jednak nie wszystko, co tam zapisano, było bełkotem: to właśnie w tych zeszytach natrafiliśmy na numery rejestracyjne waszych samochodów, waszych i ludzi, którzy zginęli! Gdyby te informacje dotarły do nas wcześniej i w bardziej przejrzystej formie,

może udałoby się nam ich uratować! Rozumiecie? Kim jest Aron Rhymfaxe?

Jack Bekk zamrugął.

Sara Bronken wypła łyk wina.

Angielski profesor siedział nieruchomo.

* Z ręką na sercu, Olsen * powiedział Bekk cicho * nigdy wcześniej nie słyszałem tego nazwiska. Rhymfaxe. Wiemy tylko, że Eva i David znali osobiście człowieka, który był naszym pierwszym kontaktem w Norwegii; wspomnieli, że zaraz po powrocie do Oslo przekazali bukiet lilii jakiemuś Isakowi. Może to właśnie on był tym kontaktem i w ten sposób przekazano mu ostrzeżenie, że wkrótce może się coś wydarzyć.

* Kontakt? Coś poważnego może się wydarzyć? Isak!?

* Detektyw pokręcił głową.
* Spokojnie * ciągnął dalej Bekk. * Zaraz panu wszystko wytłumaczę, Olsen. Zależało nam, żeby osoba w Oslo, która ma dobre kontakty z określonymi organami naszego systemu politycznego, została ostrzeżona; żeby miała świadomość, że coś złego może się wydarzyć, i zawnoczu podjęła działania, wciągając w sprawę policję. Ważne było jednak, żeby zajął się tym ktoś inteligentny, najlepszy, człowiek doświadczony, o szerokich horyzontach, czyli krótko mówiąc * pan, panie Olsen. Stąd nasze dzisiejsze spotkanie, stąd też cała misterna maskarada, o której pan przed chwilą wspominał, a która miała sugerować zbrodnię.

Wszystko zostało dokładnie przemyślane. Proszę pamiętać, że miało to miejsce, zanim doszło do zabójstw; w tamtym momencie nikt nie mógł przewidzieć, z jak chorym umysłem mamy do czynienia * powiedział Bekk; Skarphedin zauważył, że drgają mu kąciki ust.

Wymamrotał coś niezrozumiałego.

Na jego twarzy zagościł przebiegły uśmiech.

* Zanim powiem coś więcej, chciałbym, żebyśmy zgodzili się co do jednej rzeczy * powiedział Bekk, prostując się na krześle.

* Tego tylko brakowało! * Skarphedin zaczął rozglądać się za lustrem, ale nie widząc żadnego, napił się po prostu wody.

* Mogę coś zaproponować? * spytał Bekk, podnosząc do góry rękę. * Nie możemy dzisiaj stwierdzić, że znamy całą prawdę o sensie naszego istnienia, ani też zapewnić o trwałości poszczególnych religii. Być może przeszłość kryje coś, co może dramatycznie zmienić nasz pogląd na to, co do tej pory uważaliśmy za pewne.

Skarphedin chwycił się za głowę.

Niedawno słyszał podobne stwierdzenie.

Niemal takich samych słów użył Fredric.

Wtedy przyznał mu rację.

* To wydaje się dość logiczne, doktorze Bekk * powiedział poważnie. * Nie sądzę, że ewolucja się zatrzyma dlatego, że wynaleźliśmy bombę atomową, telefon komórkowy czy Internet.

* Mnie chodzi bardziej o aspekt duchowy * wyjaśnił Bekk.

* Oczywiście * zgodził się Skarphedin, właściwie nie zastanawiając się nad głębią tego stwierdzenia.

* Świetnie. Mogę więc mówić dalej. Tak jak powiedziała Sara, w Norwegii jest kilka osób, a jeszcze więcej w Europie, do nich należy między innymi nasz przyjaciel Winston, które mają świadomość, że istnieje pewna wiedza, która * jeśli stanie się powszechna * może bardzo istotnie zmienić wiele rzeczy. Podam przykład: jeśli pokażemy jakimkolwiek otwartemu na świat archeologowi, geologowi czy inżynierowi zachodnią ścianę słynnej egipskiej piramidy Che*opsa i poprosimy, żeby dokładnie przyjrzał się najniższej warstwie kamieni o długości dwustu trzydziestu metrów, to każdy szanujący się archeolog, geolog czy inżynier zaprzeczy, by tworzące ją bloki będące sześcianami o ponad dwumetrowych bokach i ważące między dwadzieścia a trzydzieści ton mogły zostać tam umieszczone z taką precyzją i przy

zachowaniu idealnej geometrii bez pomocy nieznaney nam techniki! Nawet nasza współczesna wiedza techniczna, nasze dźwigi, precyzyjne narzędzia i lasery nie byłyby w stanie zapewnić takiego ułożenia bloków, żeby przetrwało ono tysiące lat.

Jack Bekk przerwał na chwilę swój wywód. Skarphedin pokiwał głową.

* Weźmy inny przykład: transmutacja pierwiastków. W dawnych pismach, łącznie z Biblią, znajdujemy odniesienia, które mogą wskazywać, że ówczesna wiedza dotycząca procesów fizycznych i chemicznych przewyższała naszą dzisiejszą wiedzę w tym zakresie. Najbardziej znanym przykładem jest tajemnica Arki Przymierza, tej dziwnej skrzyni przeniesionej przez pustynię przez lud Mojżesza, której zawartość była tak ważna. Wierzmy, że historia ukrywa jeszcze wiele nieodkrytych przez nas tajemnic. Nie jesteśmy sektą ani żadną tajną wspólnotą, tworzymy raczej rodzaj sieci, zaś nazwę „Celsus” wymyśliła Sara, było nie było * dziennikarka. Jesteśmy zwykłymi ludźmi, w większości dobrze wykształconymi; łączy nas wiara w to, że przeszłość nadal skrywa wiele niewyjaśnionych rzeczy, ale czasem uchyla rąbka tajemnicy i wtedy ta tajemnica winna trafić w odpowiedzialne ręce. Powiedzmy, że chodzi o rodzaj profilaktyki; kontaktujemy się ze sobą i obowiązują nas jasne instrukcje działania. Poza tym łączy nas jeszcze jedno: nikt z nas nie wyznaje żadnej konkretnej religii, jesteśmy otwarci na świat, pozbawieni przesądów; przeciwstawiamy się dogmatycznemu myśleniu, dystansujemy od mistycznych spekulacji w najszerszym znaczeniu tego słowa. Żeby nie było żadnych nieporozumień, jeszcze raz podkreślam, że nikt z tutaj obecnych nie zna szczegółów tej wiedzy, także Gartlandowie ani Melling jej nie znali, chociaż zapewne każdy z nas coś wie. Wiemy na przykład, że prędzej czy później pojawią się materiały źródłowe, które będą nam w stanie powiedzieć więcej niż zwoje znad Morza Martwego; wtedy prawdopodobnie trzeba będzie od nowa spojrzeć na to, co dzisiaj stanowi podwaliny chrześcijaństwa. Może Jezus ukaże się nam w całkowicie innym świetle, podobnie jak jego przesłanie. Pewne poszlaki pozwalają nam tak sądzić. Oprócz czysto duchowych czy moralnych aspektów, o których jest tu mowa, może się także zdarzyć, że pojawi się wiedza, która będzie miała daleko idące konsekwencje ekonomiczne; nie chcę wchodzić w szczegóły, proszę jedynie, by nie zapominał pan o Arce Przymierza. Największym problemem mogą jednak okazać się wartości, które tracą swoją aktualność; mam tu na myśli sferę duchową, to, co nazywamy przesądami, a co przecież stanowi podstawę naszych wielkich religii. Potężne siły będą chciały za wszelką cenę się bronić, mogą więc sięgać po równie potężne środki * powiedział Bekk, biorąc do ręki kieliszek z winem.

Skarphedin siedział skupiony, z zamkniętymi oczami.

* W ostatnim roku sprawy nagle nabrały tempa. W starożytnym mieście Aszkelon, tu, w Izraelu, dokonano niezwykłego odkrycia. Znaleziono rzeczy wskazują na istnienie kultur, o których dotychczas niewiele wiedzieliśmy. Z czasem doszło do odkrycia grot nad Morzem Martwym, w pobliżu Khirbet Qumran, gdzie, jak wiadomo, żyli kiedyś esseńczycy i gdzie dokonano jednego z najbardziej sensacyjnych odkryć naszych czasów: to tu bowiem znaleziono rękopisy nazwane Zwojami znad Morza Martwego. Rozumiem, że zna pan ich historię?

Skarphedin przytaknął; nadal siedział z zamkniętymi oczami.

* W naszej sieci jest wielu bardzo szanowanych archeologów, do nich należy także siedzący tu z nami profesor Prescott * powiedział Bekk, wskazując głową na Anglika. * Profesor brał udział w wykopaliskach w Aszkelonie. Był także członkiem zespołu, któremu pozwolono na poszukiwanie grot, w jego skład wchodziła też Sara Bron*ken. Groty zostały znalezione. Archeologowie szybko stwierdzili, że wewnątrz góry kryje wiele różnych przedmiotów: dzbany, pergaminowe zwoje, skrzynie, sarkofagi różnych kształtów i rozmiarów. Było to być może największe odkrycie naszych czasów! Od razu zaczęliśmy podejrzewać, że może ono skrywać różne tajemnice. Dzięki naszym w najwyższym stopniu przykładowym stosunkom z państwem Izrael, co ma ogromne znaczenie, jeśli chce się prowadzić jakiegokolwiek prace na

tym terenie, i kontaktom w Ministerstwie Kultury oraz w Knesecie udało nam się wstrzymać wszelkie prace w grotach. Archeologowie zostali poproszeni o opuszczenie terenu wykopalisk. Miejsce zostało zagrodzone i poddane kontroli. Niestety z czasem kontrola ta ustała i tak zaczęła się tragedia.

Doktor nalał sobie wody do szklanki. Skarphedin odchrząknął.

* Niezłą macie siłę przebicia, to znaczy ta wasza „sieć”; jesteście skuteczni. To wszystko miało miejsce w zeszłym roku jesienią, prawda? Co było dalej? * spytał Skarphedin.

* Jak pan zapewne już się domyślił * uśmiechnął się Bekk pod nosem * mamy spore wpływy w różnych ważnych miejscach w wielu krajach, także w naszym. Chociaż mamy oczywiście i przeciwników, ale dość o tym. Odkrycie grot i wprowadzenie niemal zaraz potem zakazu badań na tym terenie wywołało oczywiście protesty i sporo zamieszania w kręgach naukowych; doskonale to rozumiemy. Nasz cel jest jasny: jeśli znalezione tutaj rzeczywiście okażą się tak cenne, jak sądzimy, zrobimy wszystko, żeby nie powtórzyła się historia ze Zwojami; nie możemy pozwolić, żeby kościół katolicki poprzez swoich archeologów i badaczy przejął znalezisko, zaanektował je i umieścił na indeksie, a potem interpretował poprzez własne nieomyślne dogmaty. Kościół posiada wielką władzę, znacznie potężniejszą niż nasza skromna sieć. Tym razem postanowiliśmy być zapobiegliwi. Udało nam się przekonać do naszych racji kilka osób na kluczowych stanowiskach: chcemy stworzyć grupę skupiającą naukowców, uznanych badaczy z dziedziny archeologii, języków pierwotnych i teologii, i zlecić jej badania nad tym, co zostało znalezione. Do tego czasu miejsce to pozostanie niedostępne dla nieupoważnionych osób. Niestety, zatrudnieni w tym celu strażnicy nie sprostali zadaniu; wiemy, że były osoby, którym udało się wejść na zagrodzony teren i poczynić tam wiele szkód.

* Chwileczkę * odezwał się Skarphedin. * Groty zostały odkryte ubiegłej jesieni i od tego czasu * o ile dobrze rozumiem * są niedostępne. Co więc Gartlandowie tu robili? Mieli specjalne pozwolenie na prowadzenie badań? Na zabranie stąd jakichś rzeczy?

* Ależ nie * przerwała mu Sara. * Sprawa jest prosta, zaraz panu wszystko wytłumaczę. Chcieliśmy, to znaczy członkowie sieci chcieli mieć pewność, że to miejsce rzeczywiście będzie bezpieczne. Do grot można dostać się tylko tą drogą prowadzącą przez wioskę i obok hotelu. Od czasu, kiedy teren wykopalisk został zamknięty, w hotelu zawsze jest ktoś z nas, rejestrujemy wszelkie ruchy, każdą próbę wtargnięcia na zamknięty obszar. Eva i David przyjechali tu, by przez kilka tygodni strzec terenu. Niestety pod koniec ich pobytu coś się wydarzyło...

* Zaraz opowiem o tym dokładniej * wszedł jej w słowo Bekk. * Chcę, żeby nasz przyjaciel z KRIPOS nadał za naszą opowieścią.

* Ależ nadażam * parsknął Skarphedin. * Nawet domyślałam się, z jakiego powodu znaleźli się tu doktor Bekk i panna Bronken; po prostu teraz jest ich kolei, by obserwować teren. Nie wybierał się pan na żadne seminarium do Stanów, tylko właśnie tutaj, prawda, Bekk? Fragmenty waszej wcześniejszej rozmowy, które udało mi się usłyszeć, wskazują, że po pierwsze, coś zaszło przy grotach; ktoś z sieci, jakiś badacz? Elian Konow, twierdzi, że coś mogło zostać spalone; a po drugie, stworzony przez was zespół zostanie dopuszczony na miejsce dopiero za cztery dni, mam rację? * spytał Skarphedin, drapiąc się po piersi.

Jack Bekk uśmiechnął się.

* Owszem, tak to wygląda * potwierdził. * Z jednym wyjątkiem: Sara nie miała tu być.

Spotkałem ją w Oslo w poniedziałek po południu. Byłem w drodze na lotnisko, kiedy Sara o tym usłyszała, podjęła szybką decyzję i postanowiła lecieć ze mną.

* Co prawdopodobnie uratowało jej życie * wymamrotał Skarphedin.

Wokół stołu zapadła cisza.

Było już późno i byli jedynymi gośćmi w restauracji.

Skarphedin odchrząknął.

Profesor Prescott wstał od stołu, chciał się przejść.

Ale rozmowa nie została jeszcze zakończona.

Pozostało jeszcze kilka nieprzyjemnych rzeczy do powiedzenia.

* Podczas pobytu Gartlandów coś się tu wydarzyło. * Skarphedin mówił cicho, ale wyraźnie.

* Wtedy zaczął się dramat, tak? Możecie mi powiedzieć, co się stało?

* To było we wtorek, już prawie dwa tygodnie temu * zaczął Jack Bekk. * Zaledwie kilka dni przed powrotem Ewy i Davida do Oslo. Ktoś się tu pojawił. Całkowicie nieoczekiwanie. Nie spodziewaliśmy się tutaj tej osoby. Pamięta pan, że Sara powiedziała, że poznała pięć osób, które należą do sieci w Norwegii?

Skarphedin przytaknął.

* No więc dwie osoby to David i Eva Gartlandowie; trzecią był Michael Melling; czwarta osoba to ja. Pierwotnie był też ktoś piąty. Ten człowiek od samego początku budził wątpliwości, ale został zaakceptowany, ponieważ przejął tajemnicę od swojego ojca, który był bardzo szanowaną osobą. Jednak dwa lata temu zerwaliśmy z tym człowiekiem wszelkie kontakty. Uznaliśmy jego postępowanie za całkowicie sprzeczne z naszymi normami etycznymi; osoba ta zaczęła wykazywać skłonności do gwałtownych zachowań, postępowała, łagodnie mówiąc, fanatycznie. Zdarza się, że osoby odchodzą z sieci, bo zmieniły się ich poglądy albo po prostu straciły zainteresowanie sprawą; jak powiedziałem, to się zdarza i zwykle nie dzieje się nic dramatycznego. W tym jednak przypadku było inaczej, bo osoba, o której mowa, nie tylko chciała z nami zerwać, ale postanowiła nas zwalczać.

Doktor spuścił wzrok.

Sara Bronken wytarła oczy.

Skarphedin poczuł łaskotanie w żołądku.

Domyślał się, czyje nazwisko zaraz padnie.

* Sytuacja stała się dramatyczna * kontynuował swoją opowieść Bekk. * Mieliśmy do czynienia z fanatykiem o gwałtownych skłonnościach, który jednak potrafił doskonale się maskować. Był to chyba klasyczny przykład podwójnej osobowości. Nagle pewnego dnia osoba ta zjawiała się tu, w hotelu. Gartlandowie od razu zrozumieli, co może się wydarzyć; zaczęli się ukrywać, starali się nie wychodzić z pokoju, jednak pewnego dnia niespodziewanie spotkali się na korytarzu. I to spotkanie przesądziło o wszystkim.

Gartlandowie natychmiast nas powiadomili, zażądali też wzmocnienia posterunków, co * z jakiegoś powodu * nie nastąpiło. Wkrótce wrócili do domu.

* Ale osoba ta podążyła za nimi * powiedział Skarphedin cicho, przyglądając się swoim paznokciom. * Postanowiła bowiem zatrzeć wszelkie ślady i uciszyć tych, którzy za dużo wiedzieli.

Doktor Bekk pokiwał głową.

* Osoba ta podążyła za nimi, ale dopiero po kilku dniach. Co działo się w tym czasie, tego nie wiemy, ale podejrzewamy najgorsze, bo * jak już mówiłem * groty nie były należycie strzeżone.

* A ten ktoś chciał coś znaleźć i spalić * dodał Skarphedin. Bekk milczał chwilę, potem znów zaczął mówić.

* Ten człowiek wiedział, że Gartlandowie natychmiast nas o wszystkim powiadomią. Tak też się stało. Ogłosiliśmy alarm.

David i Eva zadzwonili do mnie, do Sary i Mellinga w czwartek w ubiegłym tygodniu.

Uznaliśmy, że powinni natychmiast wracać do domu. Prawdopodobnie już wtedy wszyscy znaleźliśmy się na liście śmierci tej osoby, bo byliśmy w stanie ją zidentyfikować. Niestety nie wiedzieliśmy, że sytuacja jest aż tak poważna. Nie wyobrażaliśmy sobie, że osoba, którą przecież dobrze znaliśmy, w swojej chorej wyobraźni uznała, że wolno jej zabijać, że jej

fanatyzm to usprawiedliwia. Ani Sara, ani ja nie mieliśmy o tym pojęcia, kiedy przyjechaliśmy tu w poniedziałek * powiedział Bekk i zwilżył usta wodą.

* Biedny maleńki Benjamin * powiedziała Sara, wyciągając chusteczkę.

Na chwilę znów zapadła cisza.

Potem padło nazwisko.

Skarphedin odwrócił się, patrzył na morze, na jego gładką taflę wody; było idealnie spokojne, martwe; czuł, że w nim też coś umarło, zamarzło; poczuł straszny ból.

Peder Ungbeldt stał i kręcił głową, gorzej nie mogło być, pomyślał, dlaczego wcześniej nie zainteresowali się tym Windjarnem? Była niedziela, wieczór, dochodziła jedenasta; po wizycie u Rhaso*ona odbył jeszcze kilka rozmów z innymi sąsiadami, którzy także byli świadkami przeprowadzki, niczego nowego jednak się nie dowiedział; w rozmowach nie poruszał tematu Corbina, być może niesłusznie, pomyślał teraz, bo przecież dlatego tu przyszedł, żeby dowiedzieć się czegoś więcej o Corbinie; sprawa Windjarna wypłynęła właściwie przez przypadek; wózek inwalidzki? Ungbeldt ziewnął i ponownie zajrzał w notatki, które leżały przed nim na stole.

Isak Windjarn nie miał w domu telefonu.

Nie było go w żadnych spisach czy rejestrach.

Peder Ungbeldt znów zaczął się zastanawiać.

Rozumiał, że musieli coś ważnego przeoczyć.

Czy na pewno ważnego?

Aron Rhymfaxe i Isak Windjarn najwyraźniej ze sobą współpracowali, a może w ogóle była to jedna i ta sama osoba? ktoś, kto tak naprawdę w ogóle nie istniał, dlatego mógł tak łatwo zniknąć; im

więcej Peder Ungbeldt o tym myślał, tym bardziej był przekonany, że Rhymfaxe i Windjarn to rzeczywiście jedna osoba; to także tłumaczyło fakt, dlaczego w mieszkaniu Rhymfaxe nie znaleziono śladów mebli czy czegokolwiek, co świadczyłoby, że w mieszkaniu w ogóle ktoś mieszkał; nie znaleziono ich, bo ich nie było; dlatego też nikt nie widział, żeby Rhymfaxe się stamtąd wyprowadzał; byli natomiast świadkowie przeprowadzki Windjarna; dlaczego wyniósł się z całym swoim dobytkiem? Ungbeldt podrapał się po karku; Monica Waal, samotna matka mieszkająca na drugim piętrze, powiedziała mu, że Rhymfaxe i Windjarn wprowadzili się mniej więcej w tym samym czasie, czyli około półtora roku temu; części układanki zaczynają do siebie pasować, pomyślał śledczy, jednak podstawowy problem pozostaje: jaki jest cel tego wszystkiego? czemu miała służyć ta maskarada w mieszkaniu Rhymfaxe: złoty pył, alchemia, krew? dlaczego w tak bestialski sposób pozbawiono troje ludzi życia? Ungbeldt zaczął krążyć po pokoju, zerknął na zegarek, sięgnął po telefon, ale nagle zmienił zdanie: już jest późno, poinformuje o tym Skarphedina jutro, nie ma pośpiechu, poza tym znał Olsena i wiedział, że potrzebuje tego wieczoru na aklimatyzację, w taki czy inny sposób.

Był wczesny ranek, bardzo wczesny, szósta rano; Skarphedin stał na balkonie, wypatrując wschodu słońca, patrzył, jak szaroniebieskie zarysy górskich szczytów stają się coraz wyraźniejsze, jak zmieniają kolor, stają się brązowe, żółte; dookoła panowała cisza, było ciepło, tafla wody była gładka; Skarphedin przetarł oczy, zamrugał; nawet we śnie nie potrafił przestać myśleć; stał, wsłuchując się w poranne modły imama dochodzące z niewielkiego meczetu w miasteczku, dźwięk przypominał mu bzyczenie zamkniętej w słoiku osy; poczuł w nozdrzach jakiś zapach: słodki, ciężki; miał wrażenie, że znajduje się kilkaset metrów pod wodą, ale nie to go dręczyło, to było coś innego.

Ubrał się.

Nie był głodny.

Zszedł do recepcji, wyszedł na zewnątrz.

Znalazł ścieżkę prowadzącą na brzeg.

Stał i przyglądał się białym tafłom soli.

Nie zamierzał się kąpać, nie chciał zanurzać ciała w soli, jego skóra i tak była wystarczająco delikatna; zaczął iść wzdłuż brzegu, kierował się na południe, od czasu do czasu stawał i rozglądał się, próbował napawać się otaczającą go egzotyczną przyrodą, ale nie był w stanie; wczorajsza wieczorna, a właściwie nocna rozmowa z Sarą Bronken i Bekkiem wciąż w nim tkwiła; wiedział, że zostanie w nim na długo. Mozolnie próbował powiązać wszystkie nici, które teraz stały się widoczne; właściwie to były widoczne od samego początku, wszystko układało się w logiczny ciąg, tylko nikt nie mógł przewidzieć konsekwencji, na pewno nie Bekk, nie Melling ani też ich tak zwany pierwszy kontakt z Saxegaardsgata; jednak on, Skarphedin Olsen, powinien był zacząć działać już wtedy, na tym bardzo wstępnym etapie, czy udałoby mu się uratować życie tych ludzi? prawdopodobnie nie, bo nawet wtedy było już za późno, ale powinien był zrozumieć; Jon Fuhelle od samego początku trzymał w ręku klucz do rozwiązania sprawy. Skarphedin szedł dalej na południe, góry wokół niego zrobiły się złociste, ale słońce nadal jeszcze chowało się za szczytami na wschodzie; zdjął buty i teraz niósł je w ręku; stanął na brzegu, przyglądał się gładkiej tafli wody; zmrużył oczy, dziwne, pomyślał, co za niezwykle zjawisko! nie widział jeszcze słońca, a w wodzie, dość daleko od brzegu, zobaczył cztery słońca, które jakby tańczyły na powierzchni, bawiły się; ich światło było tak silne, że aż oślepiało; Skarphedin zamrugał, zjawisko trwało kilka minut; powoli promienie traciły swoją moc, w końcu znikły, a po chwili zza górskich szczytów wyjrzało prawdziwe słońce, poczuł jego piekące promienie na swoich plecach; szedł dalej; do przyjazdu taksówki, która miała go zawieźć na lotnisko, zostało jeszcze kilka godzin.

Dotarł do dużych wapiennych skał.

Wdrapał się na nie, zerknął dół.

Po drugiej stronie na brzegu zobaczył niewielką szopę.

Biały domek otoczony palmami.

Doszedł go ryk osła.

Zapiał kogut, głośny, przesywający dźwięk.

Skarphedin włożył buty, zszedł ze skały i ruszył w stronę domku.

Oświadczenie w sprawie Kościoła z dnia 21 listopada 1964 roku i wyznanie wiary papieża Pawła VI z 30 czerwca 1968 roku

Kościół Katolicki jest jedynym prawdziwym Kościołem.

Kościół Katolicki jako jedyny głosi nieomyłne prawdy.

Kościół Katolicki jest jedyną drogą do zbawienia.

Kościółowi Katolickiemu jako jednemu powierzony został całkowity skarb dóbr niebiańskich.

Kościół Katolicki jako jedyny jest w posiadaniu Ducha Chrystusa.

Kościół Katolicki jako jedyny jest w posiadaniu całej i pełnej prawdy.

Konstytucja dogmatyczna ogłoszona przez Kościół Katolicki 18 listopada 1965 roku

Biblia ma za autora Boga.

Biblia jest święta we wszystkich swoich częściach.

Biblia we wszystkich swoich częściach napisana została przy udziale Ducha Świętego.

Biblia naucza pewnie, wiernie i bez błędów.

Ślad palestyński! pisały wielkimi literami na pierwszych stronach wszystkie poranne dzienniki po wczorajszej konferencji w gmachu policji w Oslo; śledczy Peder Ungbeldt, Jon Furhel*le i Tor Jonson przygotowywali się w głównej siedzibie Centrali Policji Kryminalnej do przesłuchania Josvy Corbina i Ebezera Goldmana; było wtorkowe przedpołudnie; niemal dokładnie tydzień temu zespół zaczął pracować nad sprawą; przed chwilą zadzwonił Skarphedin Olsen z informacją, że spóźni się pół godziny. Będzie się smażyć we własnym tłuszczu! powiedział, mając prawdopodobnie na myśli Corbina? Goldmana? Olsen wrócił do Oslo w nocy, samolot z Izraela był opóźniony; ślad palestyński! parsknął Ungbeldt, odsuwając od siebie gazety; Jonson pokiwał głową; najgorsze, że wszyscy, cały sztab, łącznie z prowadzącą dochodzenie Starkabel, wydawali się pewni swoich racji, mimo że nie było żadnych konkretnych dowodów, poza jednym anonimowym telefonem; ktoś zadzwonił, twierdząc, że do zamachu przyznała się grupa mająca powiązania z Hamasem i że to jeszcze nie koniec; co to miało znaczyć? oczywiście zabójstwo Mellinga, warknął Furhelle; a co KRIPOS był w stanie zaprezentować? dużo, uważał Ungbeldt, według którego sprawa była niemal rozwiązana; policję czeka zapewne niezła reprimenda; Olsen zapowiedział, że na spotkaniu, które ma się odbyć jeszcze przed przesłuchaniem Corbina i Goldmana, obecny będzie także szef.

* Corbin został tu przywieziony prosto z lotniska. Przechwyciły go służby celne po naszej interwencji; wiół całą walizkę antycznych przedmiotów, nie miał pozwolenia Izraela na ich wywóz. Wpadł po uszy * powiedział Jonson.

* Zażądał adwokata? * spytał Furhelle. Ungbeldt wzruszył ramionami, nie odpowiedział.

* Ciekawe, co Goldman będzie miał do powiedzenia. Kiedy poinformowałem go o naszym „spotkaniu”, sprawiał wrażenie bardzo zdenerwowanego. Pewnie ma powody. Wiemy, że kłamał, relacjonując swoją rozmowę z panią Gartland, w ogóle nie wspomniał o Khirbet Qumran, bał się * powiedział Furhelle, wydmuchując dym z papierosa za okno.

* W porządku * odezwał się Ungbeldt. * Podsumujmy wszystko po raz ostatni: na Starym Mieście mieszka pewien dziwny osobnik mający jakieś ukryte powiązania z Izraelem. Z jakiegoś powodu nie chce ujawnić swojej tożsamości i działa jako Aron Rhymfa*xe i Isak Windjarn. Osoba ta ma także powiązania, a być może wręcz stoi na czele tajemniczej sekty „Celsus”, o której w zasadzie prawie nic nie wiemy. Ważne jest natomiast to, że Rhymfaxe/Windjarn prawdopodobnie śledził Corbina i znalazł dowody, że zajmuje się on przemytem starożytnych dzieł sztuki z Izraela. Ostatecznego dowodu dostarczają mu państwo Gartland, którzy odwiedzają go wkrótce po swoim pobycie w Izraelu, nad Morzem Martwym, gdzie, jak już wiemy, dokonano niedawno ważnego odkrycia. Gartlandowie przywożą mu bukiet lilii, są członkami tej samej sekty, dobrze się znają. Przekazują mu informacje o poczynaniach Corbina i Goldmana; podczas pobytu nad Morzem Martwym prawdopodobnie odkryli coś niezwykle ważnego; do tego stopnia ważnego, że Rhymfaxe/Windjarn uznaje, że pora włączyć w sprawę policję; nie wiemy, z jakiego powodu nie udaje się na policję osobiście, tylko urządza spektakularną maskaradę, która sprawia, że w sprawę niemal od razu włączeni zostają najlepsi policyjni śledczy. Tymczasem dochodzi do dwóch zabójstw! Rhym*faxe/Windjarn zapewne tego nie przewidział, inaczej pewnie nie komplikowałby sprawy, tylko próbował działać tak, by zapobiec morderstwom. Dysponując pewnymi informacjami, policja byłaby w stanie złapać sprawców, zanim doszło do wybuchu i zanim Melling został zamordowany w swoim mieszkaniu na Krebs gate. Najwyraźniej coś wymknęło się komuś spod kontroli. Możliwe, że

Corbin i Goldman wpadli w panikę, widząc, że grunt usuwa się im spod nóg, w końcu gra szła o duże pieniądze. Domyślili się, że Gar*tlandowie poinformowali swoich przyjaciół, czego byli świadkami nad Morzem Martwym. Nie mieli wyboru: musieli usunąć tych, którzy

wiedzieli o ich działalności * zakończył Ungbeldt, stukając palcem w leżące na stole teczki z dokumentami. * Wszystko układa się dość logicznie, nie sądzicie?

* Duch, człowiek o dwóch obliczach, sprytny * pokiwał głową Jonson. * Działał w dwóch mieszkaniach, w przebraniu, stąd ślady kremów w łazience, w końcu zrozumiał jednak, że jego życie może być zagrożone. Wyprowadził się, kiedy Corbin był w Izraelu, nie chciał niepotrzebnie ryzykować.

* Ale kim jest ten człowiek? * spytał Furhelle, wydmuchując kolejną partię dymu przez okno. * Nadal jest kilka rzeczy, których nie rozumiem.

* I pewnie nie zrozumiesz * powiedział Ungbeldt, sięgając po swojego miętusa. * Załóżmy, że Rhymfaxe/Windhjarn ma jakieś powiązania z Izraelem, może nawet na wysokim szczeblu, ale oczywiście nieoficjalne. Może jest agentem Mossadu i musi pozostawać w ukryciu? Może ślady prowadzą aż do norweskiego rządu? Sprawa jest drażliwa. Została zakwalifikowana jako TRUMNA, pamiętacie?

* Coś w tym jest, chyba zaczynam pewne rzeczy rozumieć. * Tor Jonson zaczął przechadzać się po pokoju.

* Zakładam, że Olsen też niejednego się dowiedział po rozmowie z Bekkiem i Sarą Bronken.

* Furhelle zamknął okno i usiadł. * Jak zareagował, kiedy powiedziałaś mu o Windjarnie?

* W ogóle nie zareagował * odpowiedział Ungbeldt. * Co potwierdza naszą teorię.

Rhymfaxe/Windhjarn nie jest w tej chwili najważniejszy; sprawa jest właściwie rozwiązana. Mamrotał coś o jakimś „pierwszym kontakcie”, nie wiem, o co mogło mu chodzić. Wydał mi się jakiś smutny, niewiele chciał mówić przez telefon, jakby go to już w ogóle nie obchodziło. Furhelle pokiwał głową, spojrzął na zegarek. Za pół godziny miało rozpocząć się zebranie. Skarphedin Olsen poprosił taksówkarza, żeby zaczekał na niego przed budynkiem policji na Gronland; chwycił swoją torbę i uśmiechnął się do ludzi siedzących na tylnym siedzeniu; następnie podbiegł do drzwi, wszedł do windy i wcisnął guzik, podczas jazdy na piąte piętro przestępował niecierpliwie z nogi na nogę; po chwili był już w recepcji działu personalnego, rzucił dyżurującej tam kobiecie swoją legitymację i poprosił o teczkę z aktami pewnej osoby; kobieta uniosła brwi, poprosiła go o wypełnienie formularza; Olsen wymamrotał coś niezrozumiałego, ale wypełnił formularz i po kilku minutach trzymał już w ręku całkiem grubą zieloną teczkę.

* Na jeden dzień? * spytała kobieta.

* Starczy mi w zupełności * odpowiedział. * W ciągu dnia ktoś się z nią tutaj zjawi.

Włożył dokumenty do torby, zbiegł po schodach, wszedł do taksówki i poprosił taksówkarza, żeby jechał na ulicę Fredrika Selera, na Helsefyr, do Centrali Policji Kryminalnej; nie wdając się w żadne rozmowy, otworzył teczkę, przerzucił kilka kartek i pogрузzył się w lekturze; czytał całą drogę, od czasu do czasu wydając z siebie jakieś dźwięki, najwyraźniej oznaki niezadowolenia; kiedy taksówka się zatrzymała, spojrzął na zegarek.

Większość powinna już być na miejscu.

Zebranie odbywało się w tym samym pomieszczeniu, gdzie zwykle odbywały się takie spotkania; rozłożono tylko stół i wstawiono kilka dodatkowych krzeseł. Po jednej stronie stołu siedzieli przedstawiciele stołecznej policji kryminalnej: Starkabel, Thomsen i Lutten; cała trójka zaangażowana była w dochodzenie w sprawie zamachu bombowego, jednak śledztwo prowadziła przede wszystkim Starkabel; po drugiej stronie stołu siedzieli: Ungbeldt, Furhelle i Jonson; szef KRIPOS, Arthur Krondal, siedział przy krótszym boku stołu, naprzeciwko miejsca, gdzie miał siedzieć Olsen; Thomsen i Lutten wyraźnie byli niespokojni. Sytuacja była dość niezwykła.

Starkabel była niezadowolona: po co to wszystko?

Krondal też miał wątpliwości.

Jednak Olsen obstawał przy swoim.

Także Ungbeldt nie do końca rozumiał celowość spotkania, i to w takim składzie, tuż przed przesłuchaniem Corbina i Goldmana? siedział i rozmawiał z Krondalem, właściwie o niczym. Raker Star*kabel, uznawana w kręgach policyjnych za silną kobietę, sprawiała wrażenie zmęczonej, miała szarą cerę, zaciśnięte usta; siedziała między Thomsenem i Luttenem i patrzyła na zegarek; w końcu drzwi do pokoju otworzyły się i wszedł Skarphedin; miał na sobie jasną, lekko pogniecioną kurtkę, zatrzymał się na chwilę, zmrużył oczy, skinął głową Krondalowi, podszedł do stołu i usiadł na swoim miejscu.

* Mam nadzieję, że Corbin i Goldman są tu gdzieś w pobliżu *rzucił jakby w powietrze.

* Tak, już tutaj są * przytaknął Ungbeldt.

* Mają trochę na sumieniu * powiedział Skarphedin; otworzył swoją torbę i wyjął z niej zieloną teczkę z dokumentami. Położył ją przed sobą. * Nic im się nie stanie, jeśli jeszcze trochę poczekają * dodał i otworzył teczkę.

Dłuższą chwilę milczał.

* Raker Starkabel * powiedział w końcu, nie podnosząc wzroku znad dokumentów. * Raker Starkabel, czterdzieści dwa lata, od szesnastu lat zatrudniona w policji; absolwentka Wyższej Szkoły Wojskowej, ekspert do spraw terroryzmu; specjalistka od bomb, instruktor technik walk i działań wojennych...

* Przepraszam, ale co to ma znaczyć, Olsen? * przerwała mu Starkabel, wstając.

Artur Krondal zmarszczył czoło.

Ungbeldt wziął kolejnego miętusa i nawet się z tym nie krył.

Olsen zmrużył oczy, były teraz jak szparki, i wpatrywał się w kobietę. Starkabel usiadła i złożyła ręce, jakby demonstrując swój sprzeciw.

* Zaraz wszystko będzie jasne! Proszę o całkowitą ciszę, zanim nie skończę mówić, ciebie to też dotyczy, pani Starkabel! * powiedział tak spokojnie, jak tylko był w stanie.

Furhelle zerknął na Jonsona, który ledwie widocznie pokręcił głową.

Nigdy nie widzieli Skarphedina w takim stanie. Wręcz pałał nienawiścią. W pokoju zapadła cisza.

* Mam przed sobą niezwykle ciekawe dokumenty * zaczął Ol*sen cichym głosem. * Nie będę zanudzał tu zebranych pustą gadaniną. Ograniczę się jedynie do tego, co konieczne. A więc mam przed sobą teczkę Raker Starkabel, córki szanowanego i poważanego ministra kultury, Johana Starkabel, byłego ambasadora Norwegii w Izraelu. Przez ostatnie cztery lata Starkabel stała na czele jednej z sekcji działu kryminalnego stołecznej policji; specjalizuje się w zamachach bombowych. Była wielokrotnie chwalona za swoje dokonania; od dwóch lat przewodniczy także Stowarzyszeniu Policjantów Chrześcijańskich w Oslo. Jednak w jej teczce znalazłem też kilka uwag, z pozoru może nieistotnych, ale przytoczę kilka z nich: „Notatka specjalnej komisji śledczej policji, sporządzona w wyniku skargi zatrzymanej kobiety, brutalnie potraktowanej w areszcie, gdzie trafiła po demonstracji wspierającej księży*gejów. Kobieta zeznała, że została w celi skopana przez Starkabel. Sprawa została umorzona z powodu braku dowodów”. To nie jest jedyny taki wypadek; w teczce znalazłem kilka adnotacji o gwałtownym zachowaniu Raker Starkabel. O, tutaj mamy kolejny przykład, skarga kolegów ze Stowarzyszenia: „Trudno jest nam godzić naszą wiarę ze sposobem działania naszej przewodniczącej, która wręcz namawia do nienawiści i fanatyzmu, do rasizmu, a także twierdzi, iż nauka jest dziełem Szatana, wykorzystuje nasze spotkania, by...”.

* Dosyć tego! Nie pozwolę na to!

Starkabel wstała, była blada, twarz miała napiętą, zacisnęła dłonie i ciężko oddychała.

* Panowie, wychodzimy stąd! Natychmiast! * powiedziała, zwracając się do Thomsena i Luttena.

Mężczyźni pozostali na miejscu. Obaj mieli spuszczone wzrok. Skarphedin zgrzytał zębami.

* Thomsen * powiedział. * Nie masz nic do dodania?

* Owszem. * Policjant wyciągnął z kieszeni brązową kopertę.

* Co jest w tej kopercie? * spytał Skarphedin; zamknął oczy i odchylił się na krześle.

* Nakaz aresztowania Rakel Starkabel * powiedział cicho.

* Co takiego?! * wykrzyknął Krondal, wstając z krzesła; wziął pismo i zaczął je czytać.

Kobieta stała, przyglądając się obecnym w pokoju mężczyznom; jej usta były białe, dwie wąskie kreski; po chwili usiadła i nerwowo się roześmiała: * Rozumiem, że Skarphedin uknuł niezłą intrygę, ale ta jest chyba już jego ostatnią. Jak sądzisz, Krondal? * zwróciła się nieco zbyt wysokim głosem do szefa KRIPOS.

Arthur Krondal nie odpowiedział.

Siedział, trzymając w ręku nakaz aresztowania.

Podpisany przez szefa policji kryminalnej w Oslo.

* Musisz nam to wytłumaczyć, Skarphedinie * powiedział wreszcie cichym głosem.

* Zrobię to, chociaż niezbyt chętnie. * Skarphedin wstał z krzesła, podszedł do Starkabel i stanął za nią. * Niemal całą noc rozmawiałem z szefem policji kryminalnej w Oslo, który jest osobą dobrze poinformowaną. Ta kobieta * powiedział, wskazując na Starkabel * reprezentuje najgorszy rodzaj fanatycznego fundamentalizmu religijnego. I to chrześcijańskiego. Rakel Starkabel jest jedyną córką wybitnego humanisty Johana Starkabel. Od swojego ojca otrzymała w spadku wiedzę o bardzo szczególnej naukowej sieci, zrzeszającej mądrych, otwartych ludzi, o różnych pozycjach w swoich społeczeństwach. Ludzie ci wyznają teorię, że nasza przeszłość być może kryje tajemną wiedzę, która mogłaby, niekiedy dość radykalnie, zmienić nasze widzenie i rozumienie świata, także w odniesieniu do religii i tak zwanych prawd objawionych będących jej podstawą. Ludzie ci usiłują nie dopuścić do tego, by nowe znaleziska archeologiczne trafiły w ręce dogmatyków, którzy w swoich badaniach kierują się jedynie wiarą, co uniemożliwia im obiektywne spojrzenie na przedmiot badań. Nie chcą dopuścić, by powtórzyła się historia Zwojów znad Morza Martwego. Ale dość o tym. Starkabel przez jakiś czas należała do sieci. Jej członkami byli także Eva i David Gartlandowie, Michael Melling, Sara Bronken i Jack Bekk.

I może jeszcze tak zwany „pierwszy kontakt”, osoba, która zwykle trzyma się z tyłu, ale ma dobre kontakty z określonymi władzami; takim kontaktem był, zdaje się, Rhymfaxe/Windjarn; w tym kontekście jego tożsamość nie jest szczególnie istotna. Tak więc przez jakiś czas Rakel Starkabel była członkiem sieci, jednak jej fanatyczne zachowania zaczęły coraz bardziej kolidować z zasadami etycznymi grupy i podstawową dewizą ich działania, jaką jest otwartość i brak przesądów. Nie było tu miejsca dla skrajnego fanatyzmu.

* To wszystko kłamstwo i wierutne bzdury! Ty oszalałeś, Ol*sen! Jesteś zgubiony! Ty! Nie ja! * wykrzyczała Starkabel; wstała, zaraz jednak się opamiętała i już spokojniejsza znów usiadła na krześle między swoimi kolegami Thomsenem i Luttenem.

* Starkabel! * Skarphedin przeszedł z drugiej strony stołu i patrzył jej teraz w oczy. * Twoja opalenizna zaczyna już blednąć. Możesz nam zdradzić, gdzie spędziłaś urlop?

Kobieta nie odpowiadała.

Patrzyła tylko na detektywa wzrokiem pełnym nienawiści.

* Dobrze * powiedział Olsen. * I tak wiemy, gdzie byłaś. W Izraelu, nad Morzem Martwym. Oczywiście nikt nie powinien był o tym wiedzieć, ale niestety natknęłaś się na Gartlandów, którzy też tam byli i na dodatek zatrzymali się w tym samym hotelu.

* Tak, i co z tego? Mam wielu przyjaciół w Izraelu; pamiętaj, że tam dorastałam; coś kiepsko ci idzie, Olsen! * odpowiedziała, próbując się opanować.

* Pojechałaś tam, Starkabel, żeby zobaczyć nowe znaleziska archeologiczne, które znałaś tylko ze słyszenia. Chciałaś się dostać na zamknięty teren. W swoim fanatyzmie bałaś się, że może wyjść na jaw jakaś wiedza, jakieś materiały źródłowe, które mogłyby podważyć nieomyślność Biblii, a także rzucić nowe światło na przykład na postać Jezusa. Pojechałaś tam, żeby je zniszczyć, jeśli okazałoby się, że coś takiego rzeczywiście tam jest. Podejrzewam, że

stoją za tobą potężne siły, zapewne miałaś ich pełnomocnictwo, ale chyba nie żeby zabijać, Rakel Starkabel! * powiedział Skarphedin głosem pełnym pogardy.

* Będziesz pławił się w siarce i kwasie po wsze czasy! * rzuciła wściekle kobieta. Stała, zaciskając dłonie. * Fałszywi prorocy padać będą na ziemię jak zarażone bydło!

* Tak mówisz? * Skarphedin zerknął na swoich kolegów. Ungbeldt siedział i marszczył czoło.

Jonson drapał się po karku.

Furhelle bawił się paczką papierosów i niesłyszalnie gwizdał.

* Dotarłaś do grot, Starkabel! * ciągnął dalej Skarphedin. * I pewnie udało ci się wiele rzeczy zniszczyć. Przed wejściem do jaskini zostały ślady ogniska; widać wyraźnie, że palono tu zwoje papirusów, stare rękopisy. Zniszczyłaś' rzeczy o nieocenionej wartości! Twoje ognisko można przyrównać do pożaru biblioteki w Aleksandrii! Dokonałaś dzieła zniszczenia i wróciłaś do domu; ulegając fanatyzmowi, postanowiłaś zabić tych, którzy widzieli cię w pobliżu grot. Musiałaś pozbyć się świadków, małżeństwa Gartlandów, Mi*chaela Mellinga, Sary Bronken i Jacka Bekka. Tożsamości pierwszego kontaktu być może nie znałaś. Udało ci się zabić Gartlandów i Mellinga. Sary Bronken i Bekka nie znalazłaś.

Kobieta stuknęła palcami w blat stołu.

Jej twarz była szara.

Próbowała się opanować, ale nie była w stanie.

* Wściekłość Pana jest sprawiedliwa! Na wzburzonym morzu pojawi się łódź i uratuje wiernych! Tych, którzy nie zwątpili! * wycedziła przez zęby.

* Bynajmniej tego nie pragnę, jednak muszę to zrobić, muszę to powiedzieć, Starkabel * mówił Olsen dalej bardzo spokojnie. *A więc Starkabel wróciła do Oslo w ubiegłą niedzielę. W poniedziałek odwiedziła Michaela Mellinga; znali się, zaproponował jej coś do picia. W kuchni dźgnęła go palestyńskim sztyletem, który kupiła w Izraelu, potem bardzo fachowo podcięła mu gardło, w końcu skończyła odpowiednie kursy; następnie sprokurowała ślady mające wskazywać na palestyńską akcję odwetową. Ślad palestyński! Następne dni upłynęły jej na planowaniu zamachu przeciwko Gartlandom; próbowała też znaleźć Sarę Bronken i Bekka, ale oni zdążyli już wyjechać z kraju. Pani ekspert od bomb miała teraz okazję wcielić w życie swoją wiedzę. Nie musiała się specjalnie wysilać, żeby umieścić bombę w samochodzie Gartlandów. Najlepsze w tym wszystkim było to, że wiedziała, że to ona będzie kierować późniejszym dochodzeniem, jak zawsze, gdy w grę wchodzi bomba. Znow będzie można grać śladem palestyńskim! W samochodzie Gartlandów znaleziono proizraelskie materiały propagandowe, oczywiście sama je tam umieściła. Zadbała także o anonimowe telefony na policję, w których jakieś palestyńskie ugrupowanie brało na siebie winę za zamach. Popełniła jednak kilka fatalnych...

* Pan da mi siłę! Wiem to! Pan mnie oświeci! * przerwała mu Starkabel.

Arthur Krondal czuł się wyraźnie skrępowany. Thomsen i Lutten nadal patrzyli w stół.

* Jon Furhelle * powiedział Olsen, zerkając w stronę kolegi. * Wiesz, że od samego początku miałaś w ręku klucz do rozwiązania zagadki, tyle że nikt z nas tego nie zauważył? Tuż po zamachu słuchałeś policyjnego radia. Ktoś powiedział, że para wróciła z podróży do Izraela, znad Morza Martwego, gdzie prowadzili badania w jakichś grotach w pobliżu Khirbet Qumran, prawda?

Furhelle przytaknął.

* Te informacje pochodziły od Starkabel, która przesłuchiwała jednego z sąsiadów: Ebezera Goldmana. Ale Goldman nigdy nie wspomniął o Khirbet Qumran. Sądziliśmy, że nas okłamał, ale nie, on dokładnie powtórzył nam swoją rozmowę ze Starkabel. To ona się przejęzyczyła; właśnie stamtąd wróciła i znała wszystkie nazwy, miejsca, dlatego podała nazwę geograficzną, która wcale nie padła w rozmowie z Goldmanem. Potem udawała, że

pomyliła Morze Martwe z Morzem Czerwonym, bo geografia nie jest jej silną stroną. To właśnie przeoczyliśmy. Uznaliśmy, że Goldman kłamie, pewnie miałby do tego powody, w tym jednak przypadku nie kłamał.

Wokół stołu zapadła cisza.

Kobieta zachowywała się jak w transie, wyrzucając z siebie kolejne biblijne cytaty.

Krondal kiwał głową.

* Niech to licho * mruknął Jonson.

* Gdybym wcześniej to wszystko jakoś poskładał... * ciągnął Skarphedin, wracając na swoje miejsce. * Dlaczego się nie domyśliłem? Ci ludzie nie musieli zginąć. Powinienem był zareagować na Khirbet Qumran, nazwę, która padła zaraz po wybuchu. Powinienem był ją przejrzeć; umówiła się ze mną w „Punjab Sweet House”, a przecież nienawidziła islamu, obcych potraw, kultur; widziałem, że odsuwa od siebie talerz z ledwie tkniętym jedzeniem, że wszystko ją tam brzydzi. Powinienem był ją spytać, gdzie była na urlopie. Zauważyłem, że była opalona; przede wszystkim jednak powinienem był pamiętać, że jest osobą niezwykle religijną; przyznaję, że jej pokora w pewnych sytuacjach wydawała mi się wręcz ujmująca.

* Ha! Nie masz żadnych dowodów na te wszystkie bzdury! * krzyknęła Starkabel, próbując wstać z krzesła; została jednak uprzejmie przytrzymana przez kolegów. * Nie macie dowodów! Diabeł przez ciebie przemawia, Olsen! Skarphedin Olsen jest diabłem wcielonym! Nie widzicie tego?!

* Nie mamy dowodów, tak twierdzisz? * powiedział Skarphedin, niezrażony jej krzykiem. * Owszem, mamy dowody, i to bardzo mocne. Bez nich pewnie nie wystawiono by nakazu aresztowania.

Skarphedin otworzył swoją torbę.

Wyjął z niej coś.

Podszedł do kobiety i położył przed nią.

Książkę.

Starą, zniszczoną, oprawioną w skórę książkę.

Były w niej trzy dziury.

To był Koran.

Wszyscy patrzyli na książkę, potem nagle zaczęli cicho wymieniać uwagi. Rakel Starkabel zdawała się nie reagować; Olsen wymknął się z pokoju, udał się do swojego gabinetu i gestem dłoni przywołał do siebie dwóch czekających tam mężczyzn; razem z nimi wrócił do pokoju zebranych.

Jeden z mężczyzn był młody, właściwie jeszcze chłopiec, ubrany w zdecydowanie za duży T*shirt i spodnie.

Drugi był w średnim wieku, miał okulary.

Chłopiec miał zabandażowaną lewą rękę.

Wzdrygnął się, kiedy zobaczył przed sobą Rakel Starkabel. Ona zaś patrzyła na niego z niedowierzaniem. Po chwili zmrużyła oczy, pochyliła się nad stołem i zastygła z kamienną twarzą.

* Przedstawiam wam Ahrada Ibn Alhakka, ma czternaście lat i mieszka nad Morzem Martwym, wytwarza sól i opiekuje się dwiema siostrami. Mężczyzna obok niego to Arik Mostapha, znakomity tłumacz * powiedział Skarphedin, wskazując mężczyznom dwa wolne krzesła przy oknie. * Koran, który tu widzicie, należy do młodego Ahrada; zawsze nosi go przy sobie, pod koszulą. Uratował mu życie, zatrzymując trzy kule wystrzelone ze służbowego pistoletu należącego do policji w Oslo. Jak więc widzicie, religia też się przydaje * zakończył Skarphedin.

* Pozwólmmy Ahradowi opowiedzieć swoją historię * dodał i usiadł.

Młody chłopiec zaczął opowiadać, mówił cichym głosem, cały czas patrząc z przestachem na kobietę. Opowiedział o pewnej wizycie. I o szczelnie okrytym mężczyźnie, który okazał się kobietą.

Skarphedin Olsen szedł po schodach; czuł, że jest zmęczony; ostatnia doba dużo go kosztowała, więcej niżby chciał; minął korytarz i zapukał do drzwi szefa; wszedł, nie czekając na odpowiedź; usiadł na kanapie pod oknem, spojrzał na twarz Krondala, zobaczył, że lekko się uśmiecha.

* Koniec * powiedział lakonicznie.

* Bardzo ci dziękuję.

* Goldman i Corbin. Przez chwilę myśleliśmy, że motywem tych wszystkich niecnych czynów jest chęć zysku. No i przez przypadek złowiliśmy te dwie rybki. Antyczne dzieła sztuki, które Corbin miał w swojej walizce, warte są duże pieniądze, mówimy tu o sumach sześć*cie*, może nawet siedmiocyfrowych. Norwegia jako kraj tranzytowy dla skarbów kultury. Corbin i Goldman zostaną przekazani wydziałowi przestępstw gospodarczych, będą mieli z czego się spowiadać. Ale ich czyny są przynajmniej zrozumiałe * westchnął Olsen głęboko.

Krondal pokiwał głową.

* Jak ci się udało tak szybko sprowadzić tu chłopca? * spytał zdziwiony.

* Dzięki dobrym kontaktom. Pomógł mi Elian Konow, ma związki z siecią i jest w Knesecie, izraelskim parlamencie.

* Sieć * powtórzył Krondal zamyślony. * Sieć. Teraz rozumiem te walki toczone nad moją głową; każdy ciągnął w swoją stronę. Starkabel też próbowano chronić. Był ktoś, kto o wszystkim wiedział. Stały za nią potężne siły. Jednak, jak słusznie zauważyłeś, jej pełnomocnictwo nie obejmowało morderstw.

* To prawda. * Skarphedin strzepnął niewidzialny pyłek z kurtki.

* Sieć * powtórzył po raz kolejny Krondal. * Dziwni ludzie.

* Nie, Arturze, nie dziwni. Mądrzy * poprawił go Skarphedin. * I bardzo potrzebni. Świat musi się rozwijać bez kłamstw i przemilczeń; żadnej wiedzy nie wolno zatajać. Chyba to rozumiesz?

Krondal uśmiechnął się, ale nic nie odpowiedział.

* Co się z nią stanie? Wybuchnie skandal, wielka awantura. TRUMNA przestaje chyba działać? * dopytywał się Skarphedin.

* Poniesie karę. Nie sądzę jednak, żeby sprawa przedostała się do publicznej wiadomości.

Jak sam mogłeś się przekonać, pewne rzeczy załatwia się za zamkniętymi drzwiami. Kościół ma dużą władzę, również w miejscach, gdzie najmniej można by się tego spodziewać.

Przekonałem się o tym * powiedział Krondal, przyglądając się swoim paznokciom.

* Wszystko zostanie ukryte! * Skarphedin wstał i podszedł do okna. * Co za przekłety system! Niedobrze mi się robi, kiedy pomyślę, że są wokół mnie ludzie, którzy się uśmiechają, chodzą w eleganckich garniturach, mają telefony komórkowe, ale pozwalają mordować ludzi w imię utrzymania jakichś przesądów!

* Tak to jest * powiedział Krondal cicho. W pokoju zaległa cisza.

* Niedługo rozpocznie się sezon wędkarski. Jedź do domu i weź sobie kilka dni wolnego; przejrzyj swój sprzęt, żebyś był gotów.

Oczy detektywa znów rozbłysły. Chwycił swoją torbę i ruszył do drzwi. Skinął głową, żegnając się z szefem.

Był czwartek, południe, mgła nadal była gęsta; Skarphe*din po raz n*ty zdusił przekleństwo; co za paskudztwo; jechał taksówką do krematorium przy Cmentarzu Zachodnim, gdzie miał się odbyć pogrzeb; dlaczego to robił? sam tego nie rozumiał; czyżby zrobił się sentymentalny? to do niego niepodobne; odbiło mu się stiltonem, wyciągnął chusteczkę i porządnie wyczyścił nos. Właśnie wrócił z laboratorium, gdzie poszperawszy trochę na

półkach Maltstueny, znalazł to, czego szukał; miał to teraz przed sobą na kolanach, zapakowane w gazetę; taksówka zatrzymała się przed wejściem do krematorium, Skarphedin zapłacił i wysiadł.

Zerknął na zegarek.

Ceremonia pewnie już się zaczęła.

Ruszył do drzwi, nagle jednak się zatrzymał.

Tuż obok drzwi stał oparty o ścianę mężczyzna w średnim wieku w płaszczu i kapeluszu; stał i mu się przyglądał; Olsen poczuł dziwne ukłucie w piersi, jakby sobie coś przypomniał, rozpoznał, usłyszał głos: już za późno, Olsen; jesteś stary, Olsen; kto to, do licha, jest? Skarphedin poczuł szum w uszach, podszedł do mężczyzny, stanął jakiś metr od niego.

* Kim ty, do diabła, jesteś? * wydukał.

Mężczyzna nie odpowiedział, tylko się uśmiechnął i pokiwał głową; miał wyraziste rysy twarzy, głęboko osadzone duże ciemne oczy; w jakim był wieku? koło pięćdziesiątki?

* Kim naprawdę jesteś? * powtórzył już spokojniej i pewniejszym głosem Skarphedin.

* Jestem pewien, że kiedyś już się spotkaliśmy. Tylko nie pamiętam, kiedy? Ty jesteś Aron Rhymfaxe? Alias Isak Windjarn? A może Simon Kateter? Kilka osób, jedna? Pierwszy kontakt? Tak? A może jesteś Fulcanellim, tym izraelskim naukowcem, badaczem jądrowym, który zaginął? Jesteś duchem?

* Albo samym Paracelsusem? * odpowiedział mężczyzna, nadal się uśmiechając. *

Możliwości jest wiele. Granice wiedzy są nieograniczone. Może wszystko wokół nas jest jedną wielką myślą? * powiedział mężczyzna i rozłożył ręce.

* Mogłeś się, do licha, ujawnić wcześniej! Ta cała alchemia bardzo wszystko opóźniła!

* Przeciwnie * odpowiedział mężczyzna już poważnie. * Zresztą sedno tej wiedzy nadal pozostaje nieznaną. Ślady zostawione w mieszkaniu spełniły swoją rolę, pokierowały wami. Bez tych szczegółów sprawa zapewne nie zostałaby tak szybko rozwiązana. Chociaż pewnie podjęlibyśmy nieco inne decyzje, gdybyśmy wiedzieli, że mamy do czynienia z chorym umysłem. Niestety.

Skarphedin nie odpowiedział. Stał, kopiąc nogą w żwir.

* Wiem, co sobie teraz myślisz * ciągnął dalej nieznajomy. * Twierdzisz, że masz wrażenie, że kiedyś już się spotkaliśmy. Rzeczywiście. Musiałem trochę cię podrażnić, wbić ci parę szpil, żebyś dał z siebie wszystko. Bo przecież wiemy, co potrafisz. Przyznaję, że potrafię być sugestywny, znam też różne sztuczki, może ujmijemy to w ten sposób, dobrze? * powiedział i znów się uśmiechnął.

* Nie możesz mi powiedzieć?

* Nie ma nic więcej do opowiadania. Wiedzieliśmy, że będziesz się starał. I jesteśmy ci bardzo wdzięczni. Żegnaj.

Zanim Skarphedin zdążył zaprotestować, mężczyzna odszedł, zniknął we mgle wśród topoli, tui i cmentarnych nagrobków; czy to droga do wyjścia z cmentarza? zaczął się zastanawiać Skarphedin, zmarszczył czoło i wtedy usłyszał muzykę organową, „Adagio”, pokręcił głową i wszedł do krematorium.

Wewnątrz prawie nie było ludzi.

Kilka osób stało z przodu, obok trumien.

Trzech trumien.

Dwie były większe, jedna mała.

Detektyw ruszył powoli do przodu ze schyloną głową; wyjął z papieru siedem żółtych lilii, wyglądały niemal równie świeżo jak tydzień temu; w laboratorium Maltstueny najwyraźniej miały świetne warunki; Skarphedin poczuł zapach świec i kwiatów, podszedł do katafalku, tego najmniejszego, podniósł głowę i cicho, niemal bezgłośnie chrząknął, zamrugał, żeby oczy przyzwyczyły się do mroku; patrzył na małą trumnę przykrytą kwiatami i małymi wianuszkami, na

szarfię największego wieńca przeczytał: „Mały Benjamin nie chciał, żeby mama i tata wyruszyli w kolejną podróż bez niego”.

Skarphedin schylił głowę, podszedł do trumny i położył na niej kwiaty.

Journeys End.

Odwrócił się na pięcie i szybkim krokiem ruszył do wyjścia.

Spis treści

1. Chłopiec czeka na dzień, w którym na niebie pokażą się cztery słońca, nieznajomy bez twarzy prosi go o pomoc i noc staje się ciemna.....7
2. Skarphedin Olsen odczytuje alchemiczny tekst, rozkoszuje się serem i słyszy huk, ale nie zauważa chłopca przemykającego pod drzewami.....24
3. Pojawia się nazwisko Augusta Strindberga, okazuje się, że nikt nie sprawdził zawartości pojemników na śmieci, ale Olsen się uśmiecha.....41
4. Fredric Drum bada zgryz sumy, okazuje się, że Jezus mógł być es*seńczykiem, a detektyw Olsen dostaje pewną wizytówkę.....57
5. Tor Jonson nadal cytuje Tora Jonsona, alchemia może także dotyczyć numerów rejestracyjnych; rodzą się wątpliwości co do duchowości Skarphedina Olsena.....75
6. Detektyw zastanawia się, czy zamówić książki z Paryża, młoda para całuje się w parku Frogner, a Olsen znajduje samochód z dwoma mandatami.....94
7. Młoda kobieta zapomina zabrać ze sobą pigułki antykoncepcyjne, znalezienie ciała zostaje utrzymane w tajemnicy, a Skarphedin Olsen przeklina ekto plazmową ułudę.....112
8. Fredric Drum odsłania pochodzenie esseńczyków, „Lampa Ala*dyna” okazuje się marnym sklepem, a Skarphedin doświadcza czegoś, czego nie przeżywał już od dłuższego czasu.....121
9. Rozmowy o podeźniętym gardle, szef Centrali Policji Kryminalnej przedstawia się jako kość, a Skarphedin Olsen ogląda plac zabaw.....138
- 5
10. Thomas Aquinas uważał, że powietrze jest oddechem Boga, znaczenie ekstraktu z jagód jałowca, nikt nie wie, kim jest Aron Rhym*faxe, a Skarphedin Olsen podejmuje ważną decyzję.....153
11. Detektyw przybywa na plac targowy, Ungbeldt otrzymuje informacje o przeprowadzce, pieje kogut, a Olsen wspina się po wapiennej skale.....170
12. „Będziesz się smażyć we własnym tłuszczu!, fałszywi prorocy padną na ziemię jak dotknięte zarazą bydło”; Olsen słucha „Adagio” i czyta napis na szarfię.....193